

SIR A. CONAN DOYLE

GŁĘBINA MARACOT

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD BR. J. FALKA

WARSZAWA - 1930

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

„KB”

Ponieważ papiery te złożono w moje ręce z poleceniem ich opublikowania, przypominę na wstępie czytelnikom o smutnym losie parowca „Stratford”, który wyruszył przed rokiem w podróż, celem przeprowadzenia studjów oceanograficznych i badań nad życiem w głębi morza. Wyprawa zorganizowaną została przez dra Maracota, znanego autora, „Formacyj Pseudokoralowych” i „Morfologij Blaszkostrzelnych”. Towarzyszem dra Maracota był Mr. Cyrus Headley, asystent Instytutu Zoologicznego w Cambridge, Massachusetts, a w czasie podróży stypendysta z fundacji Rhodesa w uniwersytecie Oksfordzkim. Doświadczony żeglarz kapitan Howley był dowódcą okrętu, którego załoga składała się z dwudziestu trzech ludzi, wliczając w to mechanika Amerykanina z Warsztatów Merribank w Filadelfji.

Wszyscy ci ludzie zniknęli bez śladu, a jedyną wzmianką o nieszczęsnym parowcu było doniesienie norweskiej barki, której załoga widziała, jak zupełnie do niego podobny statek tonął podczas straszliwej burzy w jesień 1926 r. W pobliżu miejsca, gdzie rozegrała się tragedia znaleziono później łódź z napisem Stratford, kilka przyborów używanych przez marynarzy, pas ratunkowy i maszt. Fakt ten w związku z długim mUczeniem, zdawał się świadczyć, że

statek poszedł na dno wraz z całą załogą. Dziwna depesza, przesłana telegrafem bez drutu uczyniła przypuszczenie to jeszcze bardziej prawdopodobnym, a poszczególne jej ustępy, jakkolwiek niezbyt zrozumiałe nie pozwalały ludzi się co do losów okrętu. Treść jej podam później.

Pewne szczegóły w związku z podróżą Stratforda stały się w swoim czasie przyczyną licznych komentarzy. Przedewszystkiem zwrócono uwagę na tajemnicze postępowanie profesora Maracota. Do prasy odnosił się z niechęcią, a nawet ze wstrętem, a fakt, że nie chciał udzielić reporterom żadnych informacji i nie pozwolił przedstawicielom prasy na zwiedzenie okrętu w czasie, kiedy ten znajdował się jeszcze w Dokach Alberta, wywołał powszechne oburzenie. Krążyły pogłoski o dziwnej budowie statku, który przystosowano do pracy w głębinach morza, a pogłoski te potwierdził zarząd warsztatów Huntera i Ski w Zachodnim Hartlepolu, gdzie dokonano w istocie pewnych zmian w jego konstrukcji. Mówiono, że spód okrętu jest ruchomy, szczegół, który zwrócił uwagę gazeciarzy i zdumiał ich, skoro się o prawdziwości jego przekonali. Zapomniano o nim wkrótce, teraz jednak, kiedy ogół dowiedział się w tak niezwykły sposób o losach wyprawy, rozumiemy, jak wielkie miał dla niej znaczenie.

Tyle o początku podróży Stratforda. Dziś mamy w ręku cztery dokumenty, które odnoszą się do znanych już faktów. Pierwszym jest list, napisany przez Mr. Cyrusa Headley'a ze stolicy Wysp Kanaryjskich do jego przyjaciela sir J. Talbota, z Kolegium Iw. Trójcy w Oksfordzie, w czasie jedyne go, o ile wiemy, postoju Stratfordia w porcie, po opuszczeniu Tamizy. Drugim jest tajemnicza,

depesza, o której wspomniałem. Trzecim jest ustęp z książki okrętowej Arabelli Knowles, odnoszący się do znalezienia szklanej kuli. Czwartym i ostatnim byłaby niezwykła zawartość tego zbiornika, która, o ile nie jest okrutnym i zręcznym oszustwem, otwiera nowy rozdział w dziejach ludzkości. Po tym wstępie przytoczę list Mr. Headley'a, który otrzymałem dzięki uprzejmości sir J. Talbota, a który nie był dotąd ogłoszony. Nosi datę 1 - go września 1926 r.

„Przesyłam ci to pismo, drogi mój Talbocie, z Porta de lo Luz, gdzie zatrzymaliśmy się na kilka dni. Głównym towarzyszem moim w podróży był Bill Scalam, pierwszy mechanik, rodak i bardzo miły człowiek, który stał się moim serdecznym przyjacielem. Ale dziś jestem sam, gdyż ma on tego ranka dużo zajęcia.

„Widziałeś kilkakrotnie Maracota na uroczystościach uniwersyteckich, nie będę go zatem opisywał. Mówiłem ci, o ile się nie mylę, w jaki sposób stałem się uczestnikiem jego wyprawy. Dowiedział się o mnie od starszego Somerville'a, z Instytutu Zoologicznego, który posłał mu wyróżnioną chlubnie pracę moją o krabach. To zadecydowało. Rzecz prosta, pochlebia mi, że jestem uczestnikiem tak interesującej wyprawy, ale wolałbym wybrać się na nią z kimś innym, niż z Maracotem - Ta zasuszonej mumja nie jest chyba człowiekiem w swym oddaniu się pracy i wyrzeczeniu się wszystkiego poza nią. „Twarda sztuka”, mówi Bill Scanlan. A jednak można tylko podziwiać tak wielkie poświęcenie. Nic nie istnieje dla niego poza nauką. Przypominam sobie, że pobudziła cię do śmiechu jego odpowiedź na moje zapytanie, co mam przeczytać, aby się przygotować odpowiednio do pracy. Polecił mi przecież, gdyby chodziło o głębsze studia, przeczytać

jego dzieła w wydaniu zbiorowym, a książki Haeckla „O planktonie” dla rozrywki.

„Znam go dziś nie lepiej, jak w czasie naszej pierwszej rozmowy w małej sali, wychodzącej na Oxford High. Nic nie mówi, a na jego chudej, ponurej twarzy - twarzy Savonaroli, a raczej Torquemady - nigdy nie pojawia się uśmiech. Długi, cienki, bezczelny nos, dwoje małych, błyszczących, szarych oczu, osadzonych blisko siebie pod kępami brwi, wąskie, zaciśnięte usta, policzki pokryte zmarszczkami, świadczącymi o ascetycznym życiu i ustawicznej pracy intelektualnej - wszystko to nie zachęca do rozmowy. Żyje na jakimś „szczyście myślowym”, zdała od innych śmiertelników. Czasami sędzę, że jest nawpół szalony. Naprzykład ten niezwykły przyrząd, który wymyślił... ale będę opowiadał pokolei, o wszystkim pokolei... abyś mógł sam wyrobić sobie zdanie o nim.

Zacznę od naszego wyjazdu. Strotford jest pięknym, niewielkim stateczkiem, zbudowanym specjalnie na tę wyprawę. Ma pojemności tysiąc dwieście ton, silny kadłub, zgrabny kształt i zaopatrzone jest we wszelkie możliwe środki do sondowania, łowienia ryb, dragowania i zapuszczania sieci. Ma, rzecz prosta, potężne kołowoty parowe do wyciągania niewodów i szereg najrozmaitszych przyrządów, z których pewna liczba jest mi znana, reszta jednak budzi we mnie zdumienie. Pod nimi znajdują się wygodne kajuty i przeznaczona do naszych studjów pracownia.

Mieliśmy przed rozpoczęciem podróży opinię tajemniczego statku, a opinia ta, jak się wkrótce przekonałem, była

słuszną. Pierwsze czynności nasze były zupełnie banalne. Zawróciwszy na Morze Północne, zapuściliśmy niewody raz lub dwa razy, że jednak dno znajdowało się tu w odległości zaledwie sześćdziesięciu stóp, a statek nasz zbudowany był specjalnie do pracy w wielkich głębokościach, nie chcieliśmy tracić czasu. W istocie zdobyczą naszą była tylko pewna ilość ryb jadalnych, mątw, ryb galaretowatych i próbek znalezionej na dnie gliny pochodzenia alluwjalnego. Potem okrążyliśmy Szkocję, minęli Wyspy Faroe i pożeglowali na Południe, ku właściwemu celowi wyprawy, który leżał między temi wyspami i wybrzeżem afrykańskim. Przez jedną noc sondowaliśmy dno koło Fuert-Eventura, zresztą jednak podróż nasza była nieciekawa.

W ciągu tych pierwszych tygodni próbowałem zaprzyjaźnić się z Maracotem, ale było to trudne zadanie. Przede wszystkim, jest to najbardziej zajęty i roztargniony człowiek na świecie. Pamiętasz, jak śmiałeś się, kiedy chłopakowi od windy dał napiwek, sądząc, że wsiadł do omnibusa. Przez pół dnia jest zatopiony w myślach i nie zwraca uwagi na to, co się dzieje dokoła i co sam robi. Po drugie, jest on ogromnie skryty. Siedzi przez cały czas nad mapami i dokumentami, które chowa, ilekroć wejść do kabiny. Jestem przekonany, że opracowuje jakiś tajemniczy plan, ale nie chce się z nim zdradzić, jak długo zmuszeni jesteśmy zawijać do portów. Takie odniosłem wrażenie, a dowiedziałem się, że Bill Scanlan jest tego zdania.

- Jak pan sądzi - rzekł pewnego wieczoru, kiedy siedziałem w pracowni, badając ile soli zawierają wydobyte przez nas świeżo z morza okazy

- do czego zdąza ten ten straszak na wróble? Co zamierza uczynić?

— Przypuszczam - rzekłem - że pójdziemy w ślady Challengeera i tuzina innych okrętów, aby dodać parę okazów do listy „ryb i zarejestrować kilka cyfr na karcie głębin morskich.

— Cóż znowu - rzeki. - Proszę się zastanowić. Przedewszystkiem, jak pan sądzi, dlaczego ja tu jestem?

— Na wypadek, gdyby zepsuła się któraś z maszyn - zaryzykowałem.

— Maszyny? Głupstwo! Czuwa nad niemi inżynier Mac Laren, Szkot. Nie, firma Merribank nie wysyłałaby swego pierwszego mechanika do obsługiwania jednej z tych głupich maszyn. Pobieram zbyt wysoką pensję. Chodź pan, a postaram się uświadomić cię.

Wyjął klucz z kieszeni i otworzył nim drzwi w głębi pracowni. Zeszliśmy po schodach pod pokład, gdzie w zamkniętej i zupełnie pustej przestrzeni znajdowały się cztery wielkie, świecące przedmioty, które leżały w pakach, otulone w słomę. Były to płyty stalowe, zaopatrzone w kunsztowne zamki i nity. Każda płyta miała około dziesięciu stóp kwadratowych, była na półtora cala gruba i posiadała w środku okrągły otwór o średnicy osiemnastu cali.

- Cóż to jest, u diabła? - zapytałem zdziwiony.

Ruchliwa twarz Billa Scanlana - ma on coś z komika operetkowego i zawodowego zapaśnika zarazem - wykrzywiła się w uśmiechu.

- To moje dzieciątko, sir - rzekł. - Tak jest, Mr. Headley. Oto dlaczego tu jestem. Nie widział pan stalowego dna, które znajduje się w tej wielkiej skrzyni. Jest również półkolisty sufit i wielki pierścień na łańcuch lub linę. A teraz popatrz pan na

spód statku.

Znajdowała się tam kwadratowa, drewniana platforma, zaopatrzona na rogach w śruby, które świadczyły, że można ją było podnieść.

— Dno jest podwójne - rzekł Scanlan. - Być może, że się mylę, ale mam wrażenie, że Maracot ma zamiar zbudować z tych części składowych coś w rodzaju pokoju - okna są tu również w specjalnym opakowaniu - i spuścić go przez otwór w dnie statku. Mamy tu reflektory, przy pomocy których zamierza, jak mi się zdaje, zbadać, co się dzieć będzie naokół, puszczając snop światła przez okrągłe okienka.

— Gdyby mu tylko o to chodziło, mógłby użyć szyb szklanych - rzekłem.

— To prawda - rzekł Bill Scanlan, drapiąc się w głowę. - Nie mogę tego pojąć. Ale nie ulega wątpliwości, że oddano mnie pod jego rozkazy i polecono pomagać mu w zmontowaniu tego głupiego żelaziwa. Jak dotąd nie rozmawiał ze mną w tej sprawie, a ja również trzymałem język za zębami. Ale mam dobry węch i sędzę, że wkrótce będę wiedział wszystko.

W ten sposób uchyliłem rąbek zasłony, ukrywającej cele naszej podróży. Mieliśmy później przez pewien czas brzydką pogodę, a potem pracowaliśmy na północny zachód od Przylądka Juba, zapuszczając niewody, oznaczając temperaturę głębinową i badając zawartość soli w wodzie morskiej.

Dragowanie w głębinach morza jest pewnego rodzaju sportem, jeśli się używa szerokiej na dwadzieścia stóp sieci

Petarsona na foki, w którą wpada wszystko, co się znajduje na drodze - zwłaszcza ryby, różniące się od siebie gatunkowo już na przestrzeni pół mili, gdyż każda część oceanu, ma swoich mieszkańców podobnie, jak każdy ląd. Czasami wydobywaliśmy z dna morskiego zaledwie pół tony przejrzystej, czerwonej galarety surowego żywego materiału lub szuflę szlamu rozpadającego się pod mikroskopem na mil jony drobnych kuleczek, spoczywających w oprawie z bezkształtnego mułu. Nie chcę zanudzać cię szczegółami, wiesz zresztą, że plon, jaki można zebrać w morzu, jest bardzo obfity, a my byliśmy pilnymi żeńcami. Ale zawsze miałem wrażenie, że Maracota obchodzi to bardzo mało i że w tej dziwnej, wysokiej, wąskiej głowie, przypominającej egipską mumję, snują się inne plany. Wszystko to wydawało mi się raczej próbą załogi i przyrządów przed rozpoczęciem właściwej pracy.

W tym miejscu przerwałem list, aby udać się na ląd celem odbycia przechadzki, gdyż jutro wczesnym rankiem wypływamy na pełne morze. Być może, że uczyniłem dobrze, gdyż na molo przyszło do sprzeczki, w której główną rolę odegrali Maracot i Bill Scanlan. Bill umie się znaleźć w każdej sytuacji i ma dobre pięści, ale nie mógł sprostać sześciu Dagom, którzy opadli go z nożami w rękach. Zjawienie się moje było bardzo na czasie. Zdaje się, że doktor wynajął jedną z tutejszych lichych imitacyj dorożek i objechał przynajmniej pół wyspy badając stosunki geologiczne, ale zapomniał wziąć ze sobą pieniędzy. Kiedy przyszło do płacenia, nie mógł rozmówić się z tymi drabami, a właściciel „dorożki” zabrał mu dla pewności zegarek. To zmusiło do wystąpienia Billa Scanlan i gdybym nie uspokoił doroż-

karzą naddatkiem dwóch dolarów, a towarzysza jego ze znamieniem pod okiem pięciodolarowym darem, znaleźlibyśmy się wkrótce na ziemi ze skórą podziurawioną nożami jak sito. Ale skończyło się wszystko szczęśliwie, a Maracot okazał się tak ludzki, jak nigdy. Kiedy wróciliśmy na statek, zaprosił mnie do swojej kabiny i podziękował mi za przysługę.

— Korzystam ze sposobności, Mr. Headley - rzekł - aby zapytać, czyś pan żonaty?

— Nie - odrzekłem. - Nie mam żony.

— I nikogo pan nie utrzymujesz?

— Nie.

— To dobrze! - rzekł. - Nie mówiłem o celu tej podróży, ponieważ chciałem, aby pozostał do czasu tajemnicą. Jednym z powodów był lęk, aby mnie ktoś nie uprzedził. Przypomina pan sobie historję Scotta i Amundsena. Gdyby Scott zachował w tajemnicy swój plan dotarcia do Bieguna Południowego, stanąłby na nim przed Amundsenem. Cel mojej podróży ma równie wielkie znaczenie, jak Biegun Południowy; dlatego milczałem. Ale teraz, kiedy rozpoczynają się nasze właściwe przygody, żaden rywal nie ma już czasu ukraść moich planów. Jutro wyruszamy do prawdziwego celu naszej wyprawy.

— A celem tym jest? - zapytałem.

Pochylił się naprzód, a ascetyczna jego twarz promieniowała entuzjazmem fanatyka.

- Celem naszej wyprawy - rzekł - jest dno Oceanu Atlantyckiego.

W tern miejscu powinienem przerwać, gdyż jestem przekonany, że słowa powyższe wprawiły cię w osłupienie, jak wprawiły mnie. Gdybym był romansopisarzem, zakończyłbym list w tern miejscu.

Ale ponieważ jestem tylko kronikarzem, mogę dodać, że pozostałem w kabinie starego Maracota jeszcze przez godzinę i że dowiedziałem się o wielu rzeczach, o których zdążę napisać zanim ostatnia łódka popłynie w stronę lądu.

- Tak, młodzieńcze - rzekł - możesz teraz pisać swobodnie, gdyż w czasie, kiedy list twój dojdzie do Anglii, zrobimy nurka.

Uśmiechnął się szydersko, gdyż ma on dziwny sposób odnoszenia się z humorem do własnych słów.

- Tak, sir dobrze powiedziałem; zrobimy nurka, który będzie historycznym w Dziejach Nauki. Muszę panu oświadczyć na wstępie, że jestem głęboko przekonany, jak poważne braki ma obowiązująca doktryna o straszliwym ciśnieniu wody w wielkich głębinach. Jest dla mnie rzeczą jasną, że istnieją inne czynniki, które ciśnienie to neutralizują, chociaż dziś jeszcze nie umiem określić ich natury. To jeden z problemów, który musimy rozwiązać. Co pan sądzi o ciśnieniu w głębokościach mili pod wodą. Jak pan je ocenia?

Spojrzał na mnie przez swe wielkie rogowe okulary.

— Na nie mniej, jak tonę na cal kwadratowy - odpowiedziałem. - Sądzę, że o tem wszyscy wiedzą.

— Zadaniem pionierów jest zbijać to, co ogół uznaje za prawdę. Zastanów się, młodzieńcze. Zajmowałeś się w ciągu ostatniego miesiąca wyławianiem najrozmaitszych form życia głębinowego, stworzeń tak delikatnych, że wydobyć ich z sieci bez uszkodzenia nastroczało nadzwyczajne trudności. Czy znalazłeś na nich jakieś ślady tego ogromnego ciśnienia?

- Ciśnienie się wyrównało - rzekłem. - Było takie samo wewnątrz, jak zewnątrz.

- Słowa - tylko słowa I - zawołał, wstrząsając niecierpliwie swoją chudą głowę. - Wydobywaliśmy z morza i ryby kształtu kulistego, jak np. *Gastrostomus globulus*. Gdyby ciśnienie było tak wielkie jak pan sądzi, rozpląszczyłoby je z całą pewnością. A nasze łapki na foki? Ich drewniane brzegi musiałyby zostać zaciśnięte u wejścia do sieci.

- Ale doświadczenia nurków?

- W istocie, pod pewnymi względami nie da się zaprzeczyć słuszności ich spostrzeżeń. Oceniają oni wprost ciśnienia tak wrażliwym organem, jak ucho środkowe. Ale w myśl mojego planu nie będziemy narażeni na żadne ciśnienie. Opuścimy się w stalowej klatce ze szklanymi szybami. Jeśli ciśnienie nie będzie tak wielkie, aby mogło zgnieść ściany sprasowanej stali, grubej na półtora cala, nie stanie się nam nic złego. Jest to rozszerzeniem doświadczenia braci Williamson w Nassau, o którym pan zapewne słyszał. Jeśli obliczenia moje są błędne - ha, to trudno. Mówiłeś, że nikogo nie utrzymujesz. Umrzemy dla wielkiej idei. Rzecz prosta, jeśli pan nie ma ochoty, pójdę sam.

Pomysł ten wydał mi się szalony, wiesz jednak, jak trudną rzeczą jest odmawiać śmiałkom. Grałem na zwłokę, chcąc zastanowić się nad słowami Maracot.

- Do jakiej głębokości chce się pan opuścić, sir? -

Na stole przed nim leżała mapa. Oparł koniec cyrkla

w punkcie, leżącym na południowy zachód od Wysp Kanaryjskich.

- Przed rokiem sondowałem w tej części oceanu - rzekł. - Jest tu wielka otchłań. Osiągnęliśmy głębokość dwudziestu pięciu tysięcy stóp. Ja pierwszy doniosłem o tem. Tak, przypuszczam, że na przyszłych mapach oznaczoną ona będzie nazwą „Głębina Maracota”.

- Ależ, na miły Bóg I - zawołałem. - Czy pan nie ma zamiaru zstępować do tej otchłani?

- Nie, nie - odpowiedział z uśmiechem. - Ani podtrzymujące klatkę łańcuchy, ani nasze rury powietrzne nie wystarczą na odległość większą, niż pół mili. Chciałem właśnie wytłomaczyć panu, że wokół tej głębokiej czeluści, która jest bezwątpienia dziełem sił wulkanicznych, znajduje się wąska płaszczyna, tworząca brzeg wzniesienia, a oddalona od powierzchni morza zaledwie o trzysta węzłów.

- Trzysta węzłów! Trzecia część mili!

- Tak, w przybliżeniu trzecia część mili. W myśl mojego planu spuszcza nas na tę podmorską ławicę w specjalnie skonstruowanej skrzyni obserwacyjnej. Zajmiemy się tam naukowemi badaniami. Przy pomocy osobnej rury porozumiewać się będziemy z okrętem i wydawać odpowiednie zlecenia. Nie spodziewam się większych trudności. Kiedy zechcemy wrócić na statek, każemy tylko podciągnąć w górę naszą stację obserwacyjną.

- A powietrze?

— Zostanie nam doprowadzone przy pomocy pompy.

— Ależ tam będzie ciemno, jak w studni.

- Tak, to prawda. Doświadczenia Fola i Sarsina na jeziorze Genewskim świadczą, że w tej głębokości niema

nawet promieni ultrafioletowych. Ale cóż to szkodzi? Światła elektrycznego dostarczą nam maszyny okrętowe i sześć dwuwoltowych suchych komórek Helleseena, złączonych razem tak, aby dały prąd dwunastowoltowy. Światło to i wojskowa lampa sygnałowa Lucasa, użyta jako przenośny reflektor, wystarczą do naszych celów. Czy przewiduje pan inne trudności?

- A jeśli przerwą się nasze liny powietrzne?

- Nie przerwą się. Zresztą mamy w zapasie butle ze ściśniętym powietrzem, które wystarczą na dwadzieścia cztery godziny. I cóż, czyś pan zadowolony? Wybierzesz się ze mną?

Decyzja nie była łatwa. Mózg pracuje szybko, a wyobraźnia jest czemś niesłychanie żywym. Zdawało mi się, patrzę oczyma duszy na tę czarną skrzynię w głębinach morskich, że oddycham zepsułym powietrzem, a potem widzę, jak - ściany jej pękają, wyginają się ku wewnątrz, łamią w spójeniach, a woda przenika do środka przez wszystkie szpary, przez wszystkie szczeliny. Była to powolna, okropna śmierć. Ale podniosłem oczy i spojrzałem w twarz starca, który wpatrywał się we mnie, z wyrazem egzaltacji męczennika dla Nauki. Ten rodzaj entuzjazmu zdobywa, a chociaż ma w sobie coś z szaleństwa, jest przynajmniej szlachetnym i niesamolubnym. Dałem się porwać i zerwałem się z krzesła z wyciągniętą ręką.

— Doktorze, pozostanę z tobą do końca - rzekłem.

— Wiedziałem o tym - rzekł. - Zabrałem cię z sobą, mój młody przyjacielu, nie z powodu twoich powierzchownych wiadomości i nie - dodał z uśmiechem - z powodu zażyłych stosunków z krabami. Są inne cnoty, które mogą być bardziej

pożyteczne, a to: odwaga i uczciwość. Po tym komplementcie pożegnał się ze mną. Zdaję sobie sprawę, że całą przyszłość rzuciłem na szalę i że wszystkie moje plany życiowe obróciły się wniwecz. Ostatnia łódź zdążyła w stronę lądu. Muszę oddać list. Albo nie usłyszysz już o mnie, drogi Talbocie, albo otrzymasz pismo, godne przeczytania. Jeśli nie otrzymasz żadnej wiadomości, postaraj się o kamień grobowy i wrzuć go w morze, gdzieś na południe od Wysp Kanaryjskich z napisem: „Tu, względnie w pobliżu, leży wszystko, co ryby zostawiły z przyjaciela mego,

CYRUSA J. HEADLEYW.

Drugim dokumentem odnoszącym się do tego wypadku jest niezrozumiała depesza, przesłana telegrafem bez drutu, a przejęta przez szereg okrętów, między innymi przez Królewski Parowiec Pocztowy Arroya. Otrzymała ją dn. 3-go października 1926 r. o godzinie 3 po południu, co dowodzi, że wysłana została zaledwie w dwa dni po opuszczeniu przez Stratforta Wielkiej Wyspy Kanaryjskiej, jak świadczy poprzednio przytoczony list. Czas wysłania jej zgadza się na ogół z czasem, kiedy to norweska barka widziała poważnie uszkodzony parowiec pędzony przez cyklon w odległości dwustu mil na południowy zachód od Porta de la Luz. Brzmi ona w ten sposób:

„Płyniemy na boku. Lękam się, że położenie nasze
jest beznadziejne. Zgubiliśmy już Maracota,
Headley’a, Scanlana. Sytuacja niezrozumiała.

Chustka Headley’a na końcu liny do sondowania w
głębinie. Boże,

zlituj się nad nami O KR. M. TRATFORD.

Była to ostatnia, niejasna wiadomość, przesiana przez nieszczęsny statek, a jedno zdanie było w niej tak dziwne, że ułożenie go przypisywano bliskiemu obłędu stanowi telegrafisty. W każdym razie zdawała się świadczyć jasno, że zguba okrętu była nieuchronną.

Wyjaśnienia zagadki - jeśli je można uważać za wyjaśnienie - należy szukać w opowiadaniu, ukrytem wewnątrz szklanej kuli. Uważam w pierwszym rzędzie za wskazane rozszerzyć odpowiednio krótką notatkę, jaka pojawiła się w gazetach po znalezieniu kuli. Przepisuję dosłownie odnośny ustęp z księgi okrętowej Arabelli Knowles, statku należącego do Amosa Greona, a jadącego z węglem z Cardiff do Buenos Aires.

„Wtorek, 5-go stycznia 1927. Szer. 27. 14, Dług. 28 zach. Spokój. Niebo błękitne, pokryte małymi chmurkami. Morze, jak tafla szklanna. Z drugim uderzeniem zegara w czasie środkowej zmiany doniósł pierwszy oficer o pojawieniu się jakiegoś świecącego przedmiotu, który wyskoczył z morza, a potem opadł na powierzchnię wody. Zrazu myślał on, że to jakaś dziwna ryba, ale przyjrząwszy mu się przez lunetę, przyszedł do przekonania, że była to srebrzysta kula lub piłka tak lekka, że leżała raczej niż pływała na powierzchni wody. Zawezwany, przyjrzałem się jej dokładnie. Była wielka, jak piłka nożna i błyszczała jasno w świetle słońca. Od okrętu dzieliła ją odległość niespełna pół mili. Zatrzymałem maszyny i wysłałem łódź pod dowództwem diugiego porucznika, który wyłowił przedmiot z morza i przyniósł go na statek.

Przy bliższych oględzinach okazało się, że była to kula zrobiona z niezwykle twardego szkła, a napelniona tak lekką substancją, że wyrzucona w

górze, utrzymywała się w powietrzu przez pewien czas, jak balon dziecienny. Była prawie przezroczysta, a wewnątrz jej mogliśmy widzieć przedmiot przypominający z wyglądu zwój papieru. Mateasjał był jednak tak twardy, że rozbicie kuli i wydobywanie zawartości jej okazało się bardzo trudne. Ponieważ nie udało się nam dokonać tego przy pomocy młota, pierwszy mechanik zgniół ją w maszynie okrętowej. Rozbiła się wówczas na drobny pył tak, że nie pozostał żaden kawałek nadający się do zbadania. Ale papier wyjęliśmy, a przeczytawszy go przyszedłszy do przekonania, że ma on wielką wartość. Schowaliśmy zatem dokument, aby go wręczyć konsulowi angielskiemu po przyjeździe na rzekę Plata. Spędziłem na morzu trzydzieści pięć lat, ale coś podobnego nigdy mi się nie przytrafiło. Tego samego zdania jest i załoga. Pozostawiam wyjaśnienie zagadki mądrzejszym od siebie”.

Oto geneza opowiadania Cyrusa J. Headley’a, które podajemy w dosłownym brzmieniu:

Do kogo piszę? Zwracam się wprawdzie do całego świata, ale mam na myśli przede wszystkim mojego przyjaciela sir J. Talbota, z Uniwersytetu w Oksfordzie, gdyż do niego wysłałem mój ostatni list, a pismo to uważam jakby za jego dokończenie. Sądzę, że jest mało prawdopodobne, aby ta kula, uniknąwszy nawet zębów rekina i wydostawszy się na powierzchnię morza, zwróciła kiedyś uwagę przejeżdżającego żeglarza, a jednak pragnę spróbować. Maracot wysyła drugą, być może zatem, że ostatecznie uda się przekazać światu naszą niezwykłą historję. Ale czy świat w nią uwierzy? Chyba, że widok szklanej kuli, wypełnionej gazem nieznanym na powierzchni ziemi, przekona wątpiących i udowodni, że chodzi tu o coś

niezwykłego. Co do ciebie, jestem pewny, że ją przeczytasz z zaciekawieniem.

Jeśli ktoś pragnie wiedzieć, jak się to wszystko zaczęło i jakim było nasze zadanie, znajdzie wyjaśnienie w liście, który do ciebie pisałem 1 - go września ubiegłego roku w noc przed wyjazdem z Porta de la Luz. Mój Boże! Gdybym przypuszczał, co nas czeka, sądzę, że uciekłbym owej nocy w łodzi, płynącej w stronę lądu. Chociaż - być może, że gdybym nawet zdawał sobie z tego sprawę, nie opuściłbym Doktora i wytrwał razem z nim do końca. Tak, jestem tego pewny.

Przystępuję do opisanego moich przygód od dnia, w którym opuściliśmy Wyspy Kanaryjskie.

Z chwilą, kiedy wyjechaliśmy z portu, stary Maracot ogromnie się ożywił. Nadszedł wreszcie czas działania i w człowieku tym zbudziła się niezwykła energia. Mówię ci, że chwycił za łeb całą załogę i nagiął ją do swej woli. Suchy, zgryźliwy, roztargniony profesor, zniknął nagle, ustępując miejsca ludzkiej maszynie elektrycznej, promieniejącej życiem i drżącej z nadmiaru sił. Oczy jego błyszczały za okularami, jak płomień w latarni. Zdawało się, że był wszędzie, oznaczając na swojej mapie odległości, porównując uzyskane cyfry z wynikami obliczeń kapitana, musztrując Billa Scanlana, wydając mu setki niezrozumiałych poleceń, ale wszystko to robił planowo i w ściśle określonym celu. Okazało się, że zna doskonale zasady mechaniki i elektrotechniki, gdyż spędzał czas przeważnie ze Scanlanem, który pod jego kierownictwem montował z wielką ostrożnością całą maszynerję.

- To, doprawdy, ciekawe - rzekł Bill na drugi dzień. - Chodź pan i zobacz. Doktor jest w istocie zręcznym mechanikiem i pracuje jak wół.

Doznawałem nieprzyjemnego wrażenia, że oglądam własną trumnę, ale i w tym wypadku musiałbym przyznać, że było to doskonale zbudowane mauzoleum. Podłogę przymocowano do czterech ścian stalowych, a do okrągłych okien przyśrubowano szyby. W suficie znajdowały się małe drzwi; drugie podobne widniały w podłodze. Klatka stalowa wisiała na cienkiej lecz bardzo mocnej linie, która nawinięta była na kołowrót, poruszany przy pomocy silnej maszyny, używanej przez nas zazwyczaj do dragowania. Lina, o ile mogłem wnosić, miała prawie pół mili długości. Rury powietrzne były tak samo długie, a razem z nimi biegł drut telefoniczny i drut, przeprowadzający prąd do lamp wewnątrz klatki z elektrycznych bateryj na statku, chociaż rozporządzaliśmy również osobną instalacją.

Tego dnia wieczorem zatrzymano maszyny. Barometr opadł, a ciężka czarna chmura na horyzoncie ostrzegała przed grożącym niebezpieczeństwem. Jedynym okrętem, jaki znajdował się w pobliżu, była barka płynąca pod norweską flagą. Zauważyliśmy, że żagle statku były zwinięte, jakby w przewidywaniu zbliżającej się burzy. Ale narazie pogoda była piękna, a Stratford, kołysał się łagodnie na błękitnych falach oceanu, przystrojonych białymi smugami piany. Bill Scanlan przyszedł do mojej pracowni niezwykle wzburzony.

- Słuchaj pan, Mr. Headley - rzekł. - Spuścili klatkę do studni w dnie okrętu. Czyżby doktor zamierzał zjechać w niej na dno morza}

— Tak jest, Bill. A ja z nim razem.

— To szaleństwo. Ale byłbym nędznikiem, gdybym was puścił samych.

— Przecież cię to nic nie obchodzi, Bill.

— Owszem. To pewne, że nie puszczę was samych. Merribanks polecił maszynę mojej pieczy, a jeśli ma ona iść na dno i ja tam pójde. Miejsce Billa Scanlana jest przy tej stalowej skrzyni - bez względu na to, czy otaczający go ludzie są półgłówkami, czy nie. - Trudno było sprzeczać się z nim, nasz mały klub samobójców powiększył się zatem o jednego członka, który narówni ze mną czekał na rozkazy.

Przez całą noc pracowaliśmy nad złożeniem poszczególnych części, a rano po śniadaniu zeszliśmy do klatki, gotowi do „podróży”. Stalową skrzynię spuszczone przez otwór w spodzie okrętu, poczem zeszliśmy do niej jeden za drugim przez drzwi w suficie, które zamknięto i zaśrubowano. Kapitan Howley uściskał każdemu z nas rękę na pożegnanie, z miną grobową. Potem spuszczone nas jeszcze o kilka stóp, zamknięto studnię w dnie okrętu i napełniono ją wodą dla wypróbowania, czy wszystko w porządku. Klatka wyszła zwycięsko z tej próby; ściany przylegały ściśle do siebie; nie było w nich najmniejszej szczeliny. Potem otworzono zamykającą studnię klapę i znaleźliśmy się zawieszani w morzu, pod spodem okrętu.

Był to w istocie wygodny pokoiczek... Dziwiłem się przezorności i sprytowi, z jakim go urządzono. Światło elektryczne jeszcze się nie paliło, ale promienie podzwrotnikowego słońca przenikały w głąb zielonawej toni. Przez szyby okienek widać było pływające ryby, jak srebrzyste pasma na zielonawym tle. Wzdłuż ścian pokoiku umieszczono siedzenia, nad którymi przybito termometr, przyrząd do oznaczania głębokości i inne instrumenty. Pod siedzeniami znajdował się szereg rur,

które stanowiły nasz rezerwowy zapas świeżego powietrza na wypadek, gdyby dopływ jego został odcięty. Otwory rur doprowadzających powietrze z zewnątrz, umieszczono nad naszymi głowami obok telefonu. Smętny głos kapitana słyszeliśmy zupełnie wyraźnie.

— Jesteście zdecydowani? - zapytał.

— Wszystko w porządku - odpowiedział doktor niecierpliwie. - Proszę spuszczać klatkę powoli i pilnować telefonu. Będę mówił, jak się czujemy. Kiedy opadniemy na dno, wydam odpowiednie rozkazy. Nie chcę zbytnio napinać stalowej liny, ale mam wrażenie, że przesunięcie nas o kilka węzłów na godzinę nie wyrządzi szkody. A teraz: „Na dół”!

Rozkaz ten wydał, krzyżąc. Była to chwila, dla której żył, o której stale marzył. W pewnym momencie ścięła mi się krew w żyłach z przerażenia na myśl, że padliśmy ofiarą przebiegłego, umiejącego zyskać zaufanie, szaleńca. Bill Scanlan miał tę samą myśl, gdyż spojrzął na mnie z żalnym uśmiechem i dotknął palcem czoła. Ale po tym dzikim wybuchu przewodnik nasz odzyskał natychmiast panowanie nad sobą. W istocie, porządek i przezorność, z jaką przygotował wszystko, co mogło być potrzebne, świadczyły jasno o bystrości jego umysłu.

Uwagę naszą pochłonęło teraz całkowicie cudowne doświadczenie, w którym braliśmy udział. Klatka opadała powoli. Jasno zielona toń przybrała barwę ciemno oliwkową. Ta przeszła stopniowo w wspaniałą błękit, który zamienił się z kolei w purpurę. Opadaliśmy coraz niżej - sto, dwieście, trzysta stóp. Wentylatory działały znakomicie. Oddychaliśmy równie swobodnie i naturalnie, jak na pokładzie okrętu. Igła bathymetru poruszała się zwolna dokoła świecącej tarczy. Czteryście, pięćset, sześćset. „Jak się czujecie?” -

zapytał głos z góry z niepokojem.

- Doskonale - zawołał Maracot w odpowiedzi. - Ale światło słabło. Nastał szary półmrok, a potem zupełna ciemność. „Stać!” - krzyknął nasz przewodnik. Zatrzymaliśmy się zawieszeni w głębokości siedmiuset stóp pod powierzchnią morza. Usłyszałem słaby trzask i w tej chwili zapłonęło złotawe światło, którego promienie przedostawały się przez wszystkie okna w otaczającą nas ciemną toń. Z przyłożoną do szyby twarzą, każdy przy swoim okienku, patrzyliśmy na cuda, których nie widział dotąd żaden człowiek.

Dotychczas znaleźliśmy tylko kilka gatunków ryb żyjących w tej głębokości, ryb, które dały się złapać w nasze sieci. Teraz oglądaliśmy ten cudowny świat podwodny własnymi oczyma. Jeśli celem Opatrzności było stworzenie człowieka, należy się dziwić, że ocean ma więcej mieszkańców od lądu. Nawet w niedzielę wieczór na Broadway, nawet na Lombard Street w dzień powszedni niema takiej ciżby, jak w głębinach morza. Minęliśmy strefę górną, gdzie żyją ryby bezbarwne i ryby o brzuchach srebrzystych, a ciemnych grzbietach koloru ultramaryny. Tu oglądaliśmy twory najrozmaitszych kształtów i barw. Młode węgorze mknęły jak smugi roztopionego srebra poprzez tunel światłości. Podobne do węzów gatunki muren, minogi głębinowe wity się i skręcały, przepływając obok... Czarne ryby kolczaste z olbrzymią paszczą spoglądały tępym wzrokiem w nasze twarze. Czasami pojawiła się mątwa, której ponure, jakby ludzkie oczy szukały naszych oczu... czasami ukazał się jeden z tych przezroczystych tworów, cystoma lub glaucus, podobny z wyglądu do uroczego kwiatu. Jakaś wielka makreła uderzała uparcie głową w nasze okno, dopóki nie przysłonił jej cień długiego na siedem stóp rekina i dopóki nie zniknęła w jego rozwartej paszczy. Dr.

Maracot siedział oczarowany, z notesem na kolanach, zapisując co chwilę jakieś godne uwagi spostrzeżenia i mruczając coś ciągle pod nosem. - Co to? Co to takiego? - słyszałem. - Ah, to Chimoera mirabilis, opisana przez Michała Stars. A to lepidion, ale jakiś nowy gatunek. Popatrz na tego głowonoga, Mr. Headley, ma zupełnie inną barwę, niż złowione przez nas do sieci. - Raz tylko cofnął się. Było to wówczas, kiedy jakiś długi owalny przedmiot przesunął się z wielką szybkością koło okna. Jego potężny, ruchliwy ogon, rozciągał się pod i nad nami, jak daleko oko mogło sięgnąć. Przyznaję, że byłem przez chwilę równie zdumiony, jak Maracot, ale Bill Scanlan rozwiązał zagadkę.

- Zdaje się, że John Sweeney spuścił ołowiankę koło nas. Chce nam dać w ten sposób do zrozumienia, że czuwa i że nie powinniśmy się czuć osamotnieni.

- Naturalnie! - rzekł Maracot z uśmiechem. - Plumbus Longicaudatus - nowy gatunek, Mr. Headley, z drucianym ogonem i ołowianym łbem. Ale w istocie, sondowanie jest w tym wypadku koniecznością, jeśli chcą utrzymać się nad ławicą, której wielkość jest ściśle określona, - Wszystko w porządku, kapitanie! - zawołał. - Proszę spuścić nas niżej.

I zaczęliśmy zjeżdżać w dół. Dr. Maracot przekręcił taster od światła elektrycznego i znowu nastąpiła ciemność... Jedyne tarcza bathymetru, który znaczył, jak szybko spadamy, błyszczała w gęstym mroku. Wyjawszy nieznaczne kołysanie, nie odczuwaliśmy żadnego ruchu. Tylko poruszająca się wskazówka pouczała nas, że spadamy ciągle. Znajdowaliśmy się już w głębokości tysiąca stóp i powietrze stało się duszne. Scanlan naoliwił zastawkę odprowadzającą i sytuacja znowu zmieniła się na lepsze. W głębokości tysiąca pięciuset stóp zatrzymaliśmy się po raz drugi i zapalili światło. Jakaś wielka ciemna masa

przesunęła się obok nas, ale nie mogliśmy stwierdzić, czy to był rekin głębinowy, czy też piła lub jakiś nieznany potwór morski. Doktor szybko zgasił światło.

- To nasze największe niebezpieczeństwo - rzekł.

- W głębi morza żyją zwierzęta, których uderzenie może zgnieść naszą klatkę równie łatwo, jako róg nosorożca.

- Wieloryby - rzekł Scanlan.

— Wieloryby zanurzają się do wielkich głębokości - odpowiedział uczony. - Znane są wypadki, że wal grenlandzki zabierze z sobą, dając nurka, milę liny lub więcej. Ale żaden wal nie zanurzy się tak głęboko, o ile nie jest zraniony lub przestraszony. Być może, że był to jakiś wielki narwal. Żyją one w różnych głębokościach.

— Narwali nie potrzebujemy się lękać.

— Róg narwala - odpowiedział profesor - przebije z łatwością stalową płytę. Nasze jednocalowe szyby pękłyby pod jego uderzeniem, jak pergamin.

- Wielki Boże! - krzyknął Bill, kiedy zaczęliśmy znów opadać.

Wkońcu, łagodnie i bez wstrząśnienia, spoczęliśmy na dnie. Zetknięcie się z ziemią było tak delikatne, że pouczył nas o niem dopiero widok zwojów liny w pobliżu klatki, po zapaleniu światła. Lina ta mogła być niebezpieczną dla rur doprowadzających powietrze, dlatego Maracot polecił, aby ją podciągnięto w górę. Bathymetr wskazywał, że znajdujemy się w głębokości tysiąca ośmiuset stóp pod powierzchnią morza. Spoczywaliśmy, nie ruszając się z miejsca, na wzgórzu wulkanicznym na dnie Atlantyku.

II.

Zdaje mi się, że przez pewien czas doznawaliśmy tego samego wrażenia. Nie chciało się

nam na nic patrzeć i nic robić. Siedzieliśmy w milczeniu, próbując uprzytomnić sobie ten cudowny fakt - że znajdujemy się na dnie jednego z wielkich oceanów świata. Wkrótce jednak otaczająca nas scenerja, odsłaniająca swoje tajniki w świetle reflektorów zmusiła nas do podejścia do okien.

Opadliśmy na kępy wysokich alg („Cutleria multifida”, - mówił Maracot), których żółte pętle kołysały się wokół naszej kuli, wprowadzone w ruch przez jakiś prąd głębinowy, niby gałęzie drzew poruszane wiatrem. Nie były tak długie, aby mogły zasłonić roztaczające się przed nami obrazy, chociaż ich wielkie, płaskie liście, koloru złotawego w świetle elektrycznym, przesuwały się od czasu do czasu

przez nasze pole widzenia. Poza nimi leżały czarniawe pagórki z jakiegoś materiału podobnego do gliny, pokryte przez twory o pstrych barwach, strzykwy, zachwy, jamochłony - podobnie jak hiacynty i pierwiosnki pokrywają w Anglii brzegi rzek podczas wiosny. Te żyjące kwiaty morskie, jasno szkarłatne, purpurowe i blade czerwone, widniały w wielkiej ilości na czarnym tle. Tu i ówdzie wyrastały z rozpadlin ciemnych skał, wielkie gąbki, a nieliczne ryby głębinowe przemykały jak barwne strzały przez oświetlony naszymi lampami jasny krąg. Przyglądaliśmy się oczarowani cudownej scenerji, kiedy z rury odezwał się niespokojny głos:

- Jak się czujecie na dnie? Czy wszystko w porządku? Nie zatrzymujcie się tam długo, gdyż barometr spada, co mi się bardzo nie podoba. Czy macie dosyć powietrza? Czego wam jeszcze potrzeba?

- Wszystko w porządku, kapitanie! - zawołał Maracot wesoło, - nie zostaniemy długo. Czujemy się dobrze. Proszę teraz dopilnować, aby przesunięto nas z wolna ku przodowi.

Dostaliśmy się w okolice zamieszkałe przez świecące ryby, to też zgasiliśmy światła i zaczęliśmy w zupełnej ciemności - ciemności, w której możnaby pozostawić bez obawy płytę fotograficzną na przeciąg godziny bez śladu nawet ultrafioletowych promieni - przyglądać się życiu fosforyzujących tworów w oceanie. Jakby na czarnej jedwabnej zasłonie widzieliśmy małe, jasne punkciki świetlne, niby okręty sunące wśród nocy, z szeregiem oświetlonych okien kabin. Jeden z potworów miał błyszczące zęby, którymi poruszał na podobieństwo bestji Apokaliptycznej, Inny miał długie, złote czułki, a jeszcze inny ognisty pióropusz aa głowie. Jak daleko mogliśmy sięgnąć okiem przesuwwały się w ciemnościach błyszczące punkciki, które były żyjątkami

śpieszącymi za zdobyczą i oświetlającymi sobie drogę, jak dorożki w nocy na Strandzie. Po pewnym czasie zapaliliśmy znowu lampy i doktor zaczął robić obliczenia.

- Jakkolwiek jesteśmy kilka mil pod powierzchnią morza, niema tu jeszcze charakterystycznych pokładów głębinowych - rzekł. - Sądzę jednak, że innym razem, przy pomocy długiej dragi...

- Dajże pan spokój! - mruknął Bill. - Mam już tego dosyć.

Maracot uśmiechnął się. - Wkrótce przyzwyczai się pan do tych głębokości, Scanlanie. To nie będzie naszą jedyną próbą.

- Do diabła! - szepnął Bill. - Nie będziesz się pan nad tem zastanawiał, jak nie zastanawiasz się nad zejściem na spód okrętu. Zauważyłeś zapewne, Mr. Headley, że dno morza, o ile można je dostrzec w gęstwinie gąbek krzemionkowych i wodorostów, jest pokryte lawą i czarnymi odłamami bazaltu, co wskazuje na działanie sił wulkanicznych. W istocie, potwierdza to moje zapatrywanie, że lawica ta jest częścią dawnego wulkanu i że Głębina Maracota - wymawiał te słowa z lubością - leży na zboczach góry. Sądzę, że będzie to interesujące doświadczenie, jeśli się da przesunąć naszą klatkę aż do samego brzegu otchłani i zbadać w tem miejscu formacje geologiczne. Należałoby się spodziewać znalezienia ogromnej przepaści o prostopadłych ścianach, która się gubi gdzieś w niezmiernej głębokości.

Doświadczenie wydawało mi się niebezpiecznym, nie wiedzieliśmy bowiem, czy lina nasza nie pęknie przy próbach poruszenia klatki na bok, ale dla Maracota nie istniało niebezpieczeństwo kiedy chodziło o zdobycze naukowe. Zatrzymałem oddech w piersiach, równie jak Scanlan, kiedy ledwie uchwytnie poruszanie się stalowej łupiny, usuwające z drogi ruchome kępy wodorostów pouczyło nas, że linę poddano decydującej próbie - Wytrzymała ją i zaczęliśmy posuwać się zwolna po dnie oceanu. Maracot z kompasem w dłoni wydawał rozporządzenia i kierował ruchami klatki, aby nie dopuścić do zderzenia się jej z ewentualnymi przeszkodami.

- Ta bazaltowa ławica nie może być szersza nad milę - objaśniał. - Wiem, że głębina znajduje się na zachód od miejsca, w którym spuściliśmy się do morza. Wobec tego osiągniemy ją w krótkim czasie.

Sunęliśmy bez większych wstrząsów po wulkanicznej równinie, pokrytej falującymi, złotymi algami i przystrojonej wspaniałymi klejnotami natury, błyszczącymi w swoich dżetowych oprawach. Nagle doktor skoczył do telefonu.

- Stać! - zawołał. - Jesteśmy tam.

Przed nami otworzyła się nagle olbrzymia czeluść. Było to miejsce budzące grozę, jak straszna zmora senna. Czarne, świecące zręby bazaltowe opadały w dół, gubiąc się w bezdennej otchłani. Brzegi ich porośnięte były blaszecznicą, jak paproć porasta na powierzchni ziemi krawędzie rozpadlin, ale poza tym falującym, kołyszącym się obramowaniem widniały tylko czarne, błyszczące ściany studni. Skalisty brzeg jej wyginał się lekko w obie strony, ale oznaczenie szerokości przepaści było niepodobieństwem, gdyż światła naszych lamp

nie mogły przebić otaczających stalową klatkę ciemności. Kiedy skierowaliśmy reflektor Lukasa w dół, snop złotych promieni padł na ściany studni, oświetlając je daleko w głąb i gubiąc się w mrocznej czeluści.

- To doprawdy cudowne I - zawołał Maracot, przypatrując się jej z wyrazem zadowolenia na chudej, energicznej twarzy. - Jeśli chodzi o głębokość otchłani, nie potrzebuję mówić, że znane są jeszcze większe. I tak: Głębina Challengeera w pobliżu Wysp Złodziejskich ma dwadzieścia, sześć tysięcy stóp, Głębina Planeta koło Filipin trzydzieści dwa tysiące stóp. Znam jeszcze wiele innych, ale Głębina Maracota zajmuje między nimi wyjątkowe ze względu na niezwykle strome ściany, które ją otaczają i, fakt, że pozostała nieznaną mimo szczegółowych pomiarów tylu badaczy Atlantyku. Wątpię, czy...

Przerwał w środku zdania, a na twarzy jego pojawił się wyraz zdumienia. Bill Scanlan i ja, wyrzawszy z poza jego pleców, stanęliśmy jak wryci, na widok, który przedstawił się naszym przerażonym oczom.

Jakiś wielki twór sunął ku nam w tunelu światła, rzuconego w głąb otchłani. Daleko w dole na pograniczu już w mroku pogrążonej części studni zaznaczyły się kontury ciężkiego, potwornego ciała, posuwającego się zwolna ku górze. Płynęło ono z trudnością, wykonywując ruchy wahadłowe, do brzegu czeluści. Teraz, kiedy znajdowało się w kręgu światła, mogliśmy się dokładnie przypatrzeć jego potwornym kształtom. Było to zwierzę nieznanie uczonym, ale podobne do wielu spotykanych. Zbyt długie na wielkiego kraba i zbyt krótkie na olbrzymiego homara, przypominało z wyglądu

najbardziej rzeczno raka z dwoma ogromnymi szczypcami i parą szesnastopowych wąsów, które poruszały się przed czarnymi, posepnymi niesamowitymi oczami. Pancierz, koloru żółtawego mógł mieć dziesięć stóp szerokości, a jego długość po wyłączeniu wąsów musiała wynosić conajmniej stóp trzydzieści.

— Wspaniałe! - zawołał Maracot, zapisując coś do swojego notesu. - Oczy uszypułowane, elastyczne, lamellae, rodzina skorupiaków, gatunek nieznan. Crustaceus Maracotil - czemu nie? czemu nie?

— Pał diabli nazwisko, ale zdaje się, że włązi nam w drogę! - zawołał Bill. - Panie doktorze, możeby zgasić światło?

- Jeszcze chwilkę, dopóki się nie przekonam, jaki ma układ siatkowy! - zawołał przyrodnik. - Tak, tak, to wystarczy. - Przekreślił taster i znaleźliśmy się znowu w ciemności z przelatującymi zewnątrz nakszał pocisków światełkami, które przypominały meteory w czasie bezksiężycowej nocy.

— To okropne zwierzę - rzekł Bill, ocierając pot z czoła.

— W istocie, wygląda strasznie, - zauważył Maracot - a i spotkanie z niem musi być straszliwe. Ale w naszej stalowej osłonie możemy przyglądać się mu bez obawy, nie dbając o jego szczypce.

Zaledwie wypowiedział te słowa, ściana naszej klatki zadrżała, jakby pod uderzeniem topora. Potem dało się słyszeć silne skrobanie i drapanie, zakończone drugim potężnym uderzeniem.

- Chce się dostać do środka! - zawołał Bill Scanlan zaniepokojony - Do diabła! Trzeba było wymalować na ścianie napis: „Wstęp - wzbroniony!” Jego drżący głos wskazywał, że sili się na wesołość, a ja przyznaję, że kolana ugięły się pod mną ze strachu, kiedy spostrzegłem, że straszliwy potwór zasłania swoim cielskiem już i tak ciemne okna nasze, obmacując tę dziwną łupinę, która zawierać mogła doskonałe pożywienie, a która opierała się jego wysiłkom.

— Nie może nam uczynić nic złego - rzekł Maracot tym razem tonem mniej pewnym. - Możeby lepiej było strząsnąć tego potwora. Zawezwał przez telefon kapitana.

— Podnieście nas w górę o dwadzieścia lub trzydzieści stóp - zawołał.

W kilka sekund unieśliśmy się w górę i zawisnęli w spokojnej toni. Ale straszliwe zwierzę nie ustępowało. Po chwili usłyszeliśmy znowu skrobanie i silne uderzenia?, szczypcami, którymi potwór obmacywał ściany klatki. Krew ścinała się nam w żyłach z przerażenia na myśl, że śmierć krąży tak blisko, ale siedzieliśmy w milczeniu. Czy szyby wytrzymają, jeśli padnie na nie cios potężnych szczypców? To pytanie zadawał sobie każdy z nas.

Nagle położenie nasze stało się jeszcze bardziej groźne. Uderzenia przesunęły się ku sufitowi stalowej klatki, która zaczęła się kołysać to w jedną, to w drugą stronę.

- Wielki Boże! - zawołałem. - Chwycił za linę. Przetnie ją, to nie ulega wątpliwości.

- Sądzę, doktorze, że czas wracać. Widzieliśmy, cośmy chcieli widzieć... Każ pan podnieść nas w górę.

— Ależ dokonaliśmy dzieła za ledwie w połowie - mruknął Maracot. - Zaczęliśmy dopiero oglądać brzegi otchłani. Przekonajmy się przynajmniej, jak jest szeroka. Wrócimy, kiedy przedostaniemy się na drugą stronę. - I krzyknął do rury:

— Wszystko w porządku, kapitanie. Przesuń nas pan o dwa węzły i zatrzymaj się na rozkaz.

Zawinęliśmy nad brzegiem przepaści. Ponieważ ciemności nie uchroniły nas przed napadem, zapaliliśmy znowu światła. Jedno z okien zasłonięte było przez odwłok zwierzęcia. Głowa jego i potężne szczypce pracowały ponad nami, to też kołysaliśmy się wciąż, jak bijący dzwon. Siła potwora musiała być olbrzymia.

Czy ludzie znajdowali się kiedyś w podobnej sytuacji z rozwierającą się u ich stóp pięciomilową otchłanią i groźnym napastnikiem w górze? Kołysanie stawało się coraz gwałtowniejsze. Z rury dobiegł nas niespokojny głos kapitana, którego uwagę zwróciło silne pociąganie za linę, a Maracot zerwał się z miejsca, wznosząc ręce nad głowę. Nawet wewnątrz stalowej łupiny usłyszeliśmy zgrzyt zerwanych żelaznych kabli, a w chwilę później zaczęliśmy spadać w rozwierającą się u naszych stóp bezdenną otchłań.

Przypominam sobie jeszcze dziki okrzyk Maracota.

- Lina pękła! Nic pan uczynić nie możesz. Jesteś my zgubieni! - ryczał do telefonu, a potem: - Bądź zdrow, kapitanie, bądźcie zdrowi wszyscy! - To były ostatnie słowa przesłane przez nas światu.

Spadaliśmy powoli, jak to było do przewidzenia. Mimo wielkiego ciężaru wypełniona powietrzem stalowa łupina zjeżdżała łagodnie i

niezbyt szybko w głąb czeluści. Słyszałem, jak klatka wysunęła się z chrzęstem z szczypców potwora, który nas zgubił, poczem zaczęliśmy ruchem wirowym spadać w bezdenną otchłań. Upłynęło może pięć minut, które wydały nam się godziną, zanim drut telefonu nie rozwinął się zupełnie i nie zerwał, jak nitka. Prawie równocześnie pękła rura, doprowadzająca powietrze i przez wentyle zaczęła się lać słona woda. Bill Scanlan podwiązał rurę sprawnie i szybko powrozem, tamując dopływ wody, a doktor odkręcił kurek zbiornika ze ścieśnionem powietrzem, które zaczęło wydobywać się z sykiem ze stalowego rezerwoaru. Światło zgasło, kiedy zerwał się drut, ale po ciemku udało się doktorowi połączyć suche komory Hellesena, które zaopatrywały kilka lamp na suficie.

- Wystarczą nam na tydzień - rzekł, siląc się na humor. - Przynajmniej umrzemy przy świetle. - Potem wstrząsnął smutno głową i na szczupłej twarzy jego pojawił się uśmiech. - Nie o mnie chodzi. Jestem stary i życie moje właściwie już się skończyło. Mam tylko wyrzuty sumienia, że pozwoliłem wam, młodym, wybrać się razem ze mną. Powinienem był sam zaryzykować.

Uścisnąłem mu tylko rękę, chcąc go uspokoić, gdyż wszelkie dysputy na ten temat były bezcelowe. Bill Scanlan również nic nie powiedział. Spadaliśmy powoli... Ciemne kontury ryb zaznaczyły się na naszych oknach. Zdawały się płynąć w górę, jakkolwiek to my opadaliśmy w dół. Klatka kołysała się wciąż... Zacząłem się lękać, że przewróci się na bok. Na szczęście odzyskaliśmy równowagę. Spojrzawszy na bathymetr, ujrzałem, że znajdujemy się już w głębokości mili.

— Widzicie, że jest tak, jak mówiłem -

zauważył Maracot z pewnym zadowoleniem. - Trzeba było przysłuchać się mojemu wykładowi w Towarzystwie Oceanograficznym o zależności ciśnienia od głębokości. Szkoda, że nie mogę skomunikować się ze światem, chociażby celem przekonania Bulowa z Giessen, który występował przeciw mnie.

— Eh! Gdybym miał możliwość skomunikowania się ze światem, nie traciłbym czasu na przekonywanie upartych - rzekł mechanik. - Mam w Filadelfji dziewczynę, która wypłacie sobie oczy, kiedy usłyszy o śmierci Billa Scanlana.

— Trzeba było pozostać - rzekłem, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Nie jestem tchórzem - odpowiedział. - Było to moim obowiązkiem i cieszę się, że go spełniłem.

— Jak długo będziemy żyć? - zapytałem po chwili doktora.

— W każdym razie, dopóki nie opadniemy na dno otchłani - rzekł. - Powietrza wystarczy nam jeszcze na cały dzień. Gdyby tylko dało się usunąć wytworzony przez nasze organizmy dwutlenek węgla...

— Ale to jest, o ile mi się zdaje, niepodobieństwem.

— Mamy również jeden balon czystego tlenu. Gaz ten, wypuszczany ód czasu do czasu w małych ilościach, orzeźwi nas. Jesteśmy obecnie, jak widzicie, w głębokości zgórą dwóch mil.

— Poczóż mamy starać się o przedłużenie życia? Im wcześniej, tern lepiej - rzekłem-

— Słusznie - zawołał Scanlan. - Skończmy z tern jak najprędzej.

— A widok, którego nie oglądały dotąd oczy żadnego śmiertelnika! - rzekł Maracot. - Okazalibyśmy się zdrajcami Nauki. Nie! Obowiązkiem naszym jest obserwować, co się dzieje dokoła, chociażby zebrane przez nas wiadomości miały zginąć wraz z naszymi ciałami. Wytrwamy na stanowisku do końca.

— Zawsze ten sam! - zawołał Scanlan. - A no, dobrze! Wytrwamy do końca.

Siedzieliśmy cierpliwie na ławce, czepiając się jej rękami - ilekroć klatka zakołysała się i zachwiała - a ryby poza oknami wciąż sunęły w górę.

- Jest już trzy mile - zauważył Maracot. - Otworzę na chwilę balon z tlenem. Tak, to już zrobione. Nie ulega wątpliwości - dodał z wymuszonym uśmiechem - że głębina ta nazywać się będzie odtąd głębina Maracota. Kiedy kapitan Howey wróci, koledzy moi dowiedzą się, że grób mój jest również i moim pomnikiem. Nawet Bulow z Giessen... - Zaczął mówić pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa...

Siedzieliśmy znowu w milczeniu, przyglądając się igle, która zwolna przesuwała się ku czwartej mili. Raz zderzyliśmy się z jakimś ciężkim przedmiotem, a uderzenie było tak silne, że groziło przewróceniem się na bok naszej stalowej łupiny. Być może, że zetknęliśmy się z jakąś wielką rybą lub otarli się o głaz wystający ze ściany przepaści. Klatka spadała, kręcąc się i kołysząc, niżej i coraz niżej w ciemną, zielonkawą toń. Bathymetr wskazywał teraz głębokość dwudziestu pięciu tysięcy stóp.

- Podróż nasza kończy się - rzekł Maracot. - Największa głębokość, jaką wskazywała mi sonda

ubiegłego roku wynosiła dwadzieścia sześć tysięcy siedemset stóp. Za kilka minut będziemy wiedzieć, co nas czeka. Być może, że rozbijemy się na dnie. Być może, że...

I w tej chwili wylądowaliśmy.

Opadliśmy na dno Oceanu Atlantyckiego bez najmniejszego wstrząśnienia, dzięki grubemu podkładowi mułu. Było to wydarzenie szczęśliwe, gdyż klatka spoczęła na wystającym głazie pokrytym warstwą lepkiego, grząskiego łu i każde poważniejsze wstrząśnienie straciłoby ją w dół i przewróciło. Stalowa łupina zakołysała się jednak tylko nieznacznie i chociaż połowa jej podstawy nie miała oparcia, po kilku wychyleniach pozostała nieruchomą. Maracot, który spojrział w tej chwili przez okno wydał okrzyk zdumienia i czempredzej zapalił światła.

**

Ku wielkiemu naszemu zdumieniu widzieliśmy wszystko dokładnie. Przez nasze okna wdierało się do wnętrza stalowej klatki przyćmione, mgliste światło, które przypominało pierwsze, chłodne promienie wschodzącego słońca w ponury dzień zimowy. Przyglądaliśmy się dziwnej scenerji, nie umiając sobie wytłumaczyć, dlaczego bez najmniejszych trudności mogliśmy sięgnąć wzrokiem na jakie sto jardów w każdym kierunku. Ale to nie było złudzenie. Dno oceanu promieniowało.

- Czemu nie? - zawołał Maracot, kiedy po kilku minutach ochłonęliśmy ze zdumienia. - Powinienem był przewidzieć to. Pokrywający dno szlam jest przecież produktem rozkładu gnijących ciał bil jonów tworów organicznych. A czyż rozkładowi nie towarzyszy zazwyczaj

fosforescencja? Gdzieżby jej należało szukać na świecie, jeśli nie tutaj właśnie? Ach! Szkoda, że nie możemy podzielić się tak wzniosłymi wrażeniami z resztą ludzi.

— A jednak - zauważyłem - wydobyliśmy swojego czasu pół tonny tego szlamu i nie spostrzeżliśmy, że świeci.

— Zapewne traci on zdolność promieniowania w czasie wydobycia go z wody. Zresztą, co znaczy pół tonny w porównaniu z temi rozległymi równinami, pokrytymi rozkładającą się materią? Patrzcie, patrzcie!... - wołał w podnieceniu. - Stworzenia głębinowe pasą się na tej organicznej murawie, jak nasze trzody na łąkach!

W tej chwili ujrzelśmy stado wielkich, czarnych ryb, które płynęły ku nam zwolna, nurkując pomiędzy gąbczaste wodorosty. Nawprost nas widać było jakieś wielkie, czerwone stworzenie, podobne z wyglądu do krowy morskiej, przeżywającej pokarm; inne zwierzęta pasły się to tu, to tam, podnosząc od czasu do czasu głowę i spoglądając na dziwny przedmiot, który zjawił się nagle pomiędzy nimi.

Mogłem podziwiać Maracota, który w tej zepsutej atmosferze, w obliczu grożącej nam śmierci, myślał jeszcze o Nauce i zapisywał w notesie każde spostrzeżenie. Jakkolwiek nie przejąłem się jego metodami, zrobiłem jednak szereg notatek pamięciowych, które wryły się w moim mózgu raz na zawsze. Dno morza tworzyła czerwona glina, pokryta miejscami szarym szlamem głębinowym, nadającym wielkiej równinie wygląd falisty. Na równinie wznosiły się liczne, zaokrąglone na szczycie pagórki, podobne do tego, na któryśmy spadli - wszystkie błyszczące w upiornym świetle.

Pomiędzy temi wzgórzami uganiały się chmary dziwnych ryb, przeważnie nieznanych przyrodnikom, mieniać się najrozmaitszemu barwami, z przewagą jednak koloru czarnego i czerwonego. Maracot przyglądał się im z tłumionem podnieceniem i wciąż robił notatki.

Powietrze stało się tak trudnem do oddychania, że musieliśmy znowu wypuścić trochę tlenu. Rzecz ciekawa, zaczął nas trapić głód... Byliśmy głodni, jak wilcy, to też rzuciliśmy się z apetytem na konserwy mięsne i dostarczoną nam przez przewidującego Maracota wódkę z wodą. Pokrzepiony, usiadłem przy mojem oknie i zabierałem się do zapalenia ostatniego w życiu papierosa, kiedy oczy moje spostrzegły coś, co zbudziło we mnie szereg dziwnych myśli i przeczuć.

Mówiłem, że na falistej, szarej równinie wznosił się szereg jakby kopców. Jeden z nich, szczególnie wielki, znajdował się nawprost mojego okna w odległości około trzydziestu stóp. Na stoku wzgórza widniał jakiś niezwykły znak. Przypatrując się dokładniej, spostrzegłem zdumiony, że znak ten powtarza się szereg razy wzdłuż całego zbocza. Kiedy śmierć zagląda w oczy, lada drobnostka związana z tym światem budzi dreszcz wzruszenia, ale wówczas na chwilę serce przestało bić w mojej piersi, gdyż uprzytomniłem sobie, że był to fryz, zniszczony wprawdzie i uszkodzony miejscami, ale fryz rzeźbiony ręką ludzką. Maracot i Scanlan przybiegli do mojego okna i zaczęli przyglądać się z bezbrzeżnem zdumieniem tym dowodom wszędzie przenikającego geniuszu człowieka.

- To rzeźby, na pewno rzeźby! - zawołał Scanlan. - Przypuszczam, że to dach jakiegoś budynku. Te inne wzgórza muszą być również

budynkami. Można by powiedzieć, że znajdujemy się w rumach starożytnego miasta.

— W istocie, to jakieś starożytne miasto - rzekł Maracot. - Geologowie uczą, że morza były kiedyś kontynentami, a kontynenty morzami” nie wierzyłem jednak, aby w okresie czwartorzędnym zapadła się część lądu w fale Atlantyku. To, co mówił Plato o egipskich legendach nie było zatem mrzonką. Formacje wulkaniczne zdają się świadczyć, że powodem tej katastrofy było trzęsienie ziemi.

— Budowle te stoją w regularnych odstępach - zauważyłem.

— Zdaje się, że nie są to osobne domy... Wyglądają raczej na kopuły i ornamenty dachu jakiegoś wielkiego budynku.

— Ma pan słuszność - rzekł Scanlan. - Cztery większe znajdują się na rogach, a małe stoją między nimi w szeregu. Jest to jakiś duży budynek i to budynek bardzo duży.

— Zagrzebany jest aż po dach przez opadające wciąż szczątki - rzekł Maracot. - Bądź co bądź, nie rozpadł się. Przeszkodziła temu stała temperatura nieco powyżej 32° Fahrenhaita, jaka panuje w wielkich głębinach. Dzięki niej rozkład odbywa się powoli. Ale popatrzcie! Te znaki nie są fryzem, ale napisem.

Wistocie miał słuszność. Te same symbole widać było i w innych miejscach. Nie ulegało wątpliwości, że znaki były literami jakiegoś archaicznego alfabetu.

- Swojego czasu zajmowałem się badaniem fenickich starożytności i zdaje mi się, że to jest pismo bardzo do fenickiego podobne - rzekł nasz przywódca. - Tak jest, towarzysze, oglądaliśmy na

własne oczy zapadłe w toń morską starożytne miasto i wiadomość o niem zabierzemy ze sobą do grobu. Nie dowiemy się więcej niczego. Księga wiedzy jest dla nas zamknięta. Zgadzam się z wami, że im prędzej przyjdzie koniec tem lepiej.

A koniec już się zbliżał. Powietrze było zepsute i nie możliwe do oddychania. Było tak przesycone bezwodnikiem węglowym, że tlen z trudnością wydobywał się już ze zbiornika. Stanąwszy na ławie można było jeszcze zaczerpnąć świeżego powietrza, ale warstwa trującego gazu stawała się zwolna coraz grubszą - Dr. Maracot złożył ręce z wyrazem rozpacz na twarzy i opuścił głowę na piersi. Scanlan zaczął się słać na nogach i usiadł na podłodze; I ja czułem, że lada chwila stracę przytomność. Oddychałem z wielką trudnością. Zamknąłem oczy, potem otworzyłem je znowu, aby ostatni raz spojrzeć na świat, który miałem opuścić. I w tej chwili zerwałem się na nogi z okrzykiem zdumienia.

Przez okno spoglądała na nas twarz człowieka!

Czyżby to było złudzenie? Chwyciłem Maracota za ramię i wstrząsnąłem niem gwałtownie. Usiadł i przyglądał się zjawie oniemiały ze zdumienia. Jeśli ją jednak zobaczył, jak ja, nie mogła być wytworem wyobraźni. Twarz była długa i chuda, o ciemnej cerze, z krótką spiczastą brodą i parą ruchliwych oczu, które rzucały szybkie spojrzenia. Na twarzy człowieka malowało się bezgraniczne zdumienie. Światła nasze płonęły jasno, to też widok jaki przedstawił mu się w tej klatce śmierci - w której jeden człowiek leżał bez zmysłów na ziemi, a dwóch innych spoglądało na niego z obliczem wykrzywionem w przedśmiertnej

męce - musiał być niezwykle, ale i wyraźny zarazem. My dwaj dusiliśmy się już od kilku minut. Przyłożone do gardła ręce i ciężko wznoszące się klatki piersiowe świadczyły, że sytuacja nasza była rozpaczliwa. Człowiek skinął ręką i zniknął.

— Opuścił nas! - zawołał Maracot.

— Albo poszedł wezwać pomocy. Położmy Scanlanę na ławie. Inaczej zginie.

Ułożyliśmy mechanika na ławce i wsparliśmy głowę jego o poduszkę. Twarz miał szarą, jak popiół. Bredził coś w gorączce, ale pulsu jego jeszcze się mogłem domacać.

- Nie traćmy nadziei - szepnąłem.

- Ależ to szaleństwo I - zawołał Maracot - Jakżeż może człowiek żyć na dnie oceanu? Jak może oddychać? Jest to zbiorowa halucynacja. Mój drogi przyjacielu, tracimy zdolność rozumowania.

Spojrząwszy na czarną, opustoszałą równinę, tonącą w upiornym świetle, pomyślałem, że Maracot może mieć słuszość. A potem nagle spostrzegłem poruszające się w wodzie jakieś cienie. Cienie te stawały się z każdą chwilą coraz wyraźniejsze i przekształcały się w ludzkie postacie. Tłum ludzi śpieszył ku nam przez podmorską równinę. W chwilę później zebrał się przed oknem klatki, żywo gestykułując. Ujrzałem w ciżbie kilka kobiet, przeważną część jednak tworzyli mężczyźni. Jeden z nich, silnie zbudowany, z wielką głową i czarną brodą był widocznie jakąś ważną osobistością. Rzucił okiem na naszą stalową łupinę, a że brzeg jej podstawy wystawał z poza krawędzi skały, na której spoczywaliśmy, mógł zauważyć w podłodze prowadzące na zewnątrz drzwi. Wysłał teraz posłańca z jakimś poleceniem, a nam zaczął dawać energiczne i rozkazujące znaki, abyśmy drzwi

otworzyli.

— Dlaczego nie? - zapytałem. - Kto wie, czy nie lepiej utopić się, jak udusić. Nie mogę dłużej wytrzymać.

— Nie utopimy się - rzekł Maracot. - Woda przedostająca się do wnętrza klatki nie może wznieść się ponad poziom ścieśnionego powietrza. Daj Scanlanowi wódki. Musi zdobyć się na wysiłek, chociażby ostatni.

Wlałem do gardła mechanika trochę brandy. Przełknął napój i rozejrzał się dokoła zdumionymi oczyma. Posadziliśmy go na ławce i stanęli po obu jego stronach. Był jeszcze nawpół przytomny, ale w kilku słowach wyjaśniłem mu sytuację.

- Jeśli woda dostanie się do baterji, grozi nam zatrucie chlorem - rzekł Maracot. - Otwórzcie wszystkie zbiorniki z powietrzem. Im większe będzie ciśnienie, tym mniej wody wejdzie do środka. A teraz pomóżcie mi otworzyć drzwi.

Wspólnymi siłami udało się nam odśrubować okrągłą płytę żelazną w podłodze naszego małego domku, chociaż czyniąc to, doznawałem wrażenia, że popełniam samobójstwo. Zielona woda, iskrząca się i lśniąca w świetle lamp, wdarła się z szumem do wnętrza klatki. Wzniosła się szybko do naszych stóp, kolan, piersi i tu się zatrzymała. Ale ciśnienie powietrza było trudne do zniesienia. W głowach huczało nam, a błonom bębenkowym w naszych uszach groziło pęknięcie. Życie w takiej atmosferze było niepodobieństwem. Resztkami sił trzymaliśmy się wieszadeł, aby nie upaść w wodę.

Nie mogliśmy już teraz wyglądać przez okna i nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, co się dzieje na zewnątrz klatki. Wistocie wszelka myśl o skutecznej pomocy wydawała się nam szaleństwem, a jednak zachowanie się tych ludzi, a zwłaszcza ich krępego, brodatego dowódcy, budziło w naszym sercu złudną nadzieję. Nagle spostrzeżliśmy twarz jego w wodzie u naszych stóp, a w chwilę później przedostał się on przez okrągły otwór w podłodze do wnętrza klatki i wszedł na ławę tak, że stał teraz obok nas - krótka, krzepka postać, sięgająca mi zaledwie do ramion, ale przyglądająca się nam wielkimi, brunatnymi oczami, które budziły dziwną otuchę.

Teraz dopiero zauważyłem jeden ciekawy szczegół. Człowiek ten, o ile można było określić go tem mianem, miał dokoła siebie przezroczystą osłonę, która ochraniała jego głowę i tułów, podczas gdy ręce i nogi były wolne. Osłona ta była tak przezroczysta, że nikt z nas nie zauważył jej w wodzie, teraz jednak, kiedy znalazł się obok nas w powietrzu, lśniła jak srebro, chociaż pozostała tak przejrzystą jak najlepsze szkło. Na obu ramionach miał on pod zabezpieczającą go przezroczystą pokrywą ciekawe okrągłe przedmioty. Wyglądały, jak podłużne skrzyneczki z licznymi otworami i przypominały wojskowe epolety.

Kiedy nasz nowy przyjaciel wdrapał się na ławę wyrzała przez otwór w podłodze druga postać, która włożyła do klatki coś, co z wyglądu przypominało wielką kulę szklaną. Trzy takie kule wprowadzono do wnętrza naszego stalowego domku. Unosiły się na powierzchni wypełniającej klatkę wody. Potem wręczono nam sześć małych skrzyneczek, a nasz nowy znajomy przywiązał po

jednej parze każdemu z nas do ramion przy pomocy skórzanych pasków. Zacząłem pojmować, że życie tych dziwnych istot podlega tym samym prawom, co nasze i że jedne skrzyneczki produkują powietrze w sposób mi nieznany, podczas gdy drugie pochłaniają wydychany dwutlenek węgla. Włożył nam teraz na głowy przeroczyste suknie. Uczuliśmy, że przylegają one ściśle do naszych ramion i piersi i że spięte są w pasie elastycznymi taśmami udaremniającymi przenikanie wody. Wewnątrz osłon oddychaliśmy bez najmniejszego trudu... Ku wielkiej radości ujrzałem, że Maracot mruga na mnie wesoło, jak dawniej, poza swoimi okularami, a Bill Scanlan uśmiecha się na dowód, że czuje się już doskonale. Wybawca nasz przyglądał się nam przez chwilę z wyrazem zadowolenia na twarzy, a potem dał znak, abyśmy poszli za nim. Tuzin chętnych dłoni pomogło nam wydostać się przez otwór w podłodze i podtrzymywało nas, kiedy stawialiśmy pierwsze kroki na pokrytem grząskim i lepkiem mułem dnie oceanu.

Nawet dziś jeszcze przypominam sobie, jak dziwnego doznaliśmy wrażenia. Oto znajdowaliśmy się wszyscy trzej na dnie pięciomilowej wodnej otchłań - zdrowi i swobodni. Gdzież było to straszliwe ciśnienie, którym grozili nasi uczeni? Nie odczuwaliśmy go, jak nie odczuwały pływające dokoła ryby. To prawda, że ciała nasze chronione były przez te delikatne dzwony szklane, które dorównywały jednak w wytrzymałości najtrwalszej stali, ale i ruchy członkami nie sprawiały nam żadnego prawie trudu. Dziwne wzruszenie ogarnęło nas, kiedyśmy się odwrócili, aby raz jeszcze spojrzeć na opuszczoną przed chwilą stalową łupinę. Baterje działały dotąd, to też otaczały ją stada ryb, zwabione

do okien żółtem światłem płonących lamp. Przyglądaliśmy się jej długo w milczeniu, aż wreszcie przywódca ujął Maracota za rękę i powiodł nas przez wodne trzęsawisko w nieznany, tajemniczy świat.

III.

I teraz zdarzył się dziwny wypadek, który musiał wprawić w zdumienie nie tylko naszych nowych towarzyszków, ale i nas samych. Ponad naszymi głowami pojawił się jakiś mały, czarny przedmiot, który wyłonił się z ciemności w górze i opadł wirując na dno oceanu w pobliżu miejsca, gdzieśmy przystanęli. Była to ołowianka opuszczona ze *Startforda*, który sondował głębokość otchłani związanej tak ściśle z losami wyprawy. Patrzyliśmy już raz na opadającą w dół sondę przez szyby stalowej klatki, to też zrozumieliśmy, że teraz po przerwie wywołanej naszym tragicznym zniknięciem przystąpiono znów do dalszych pomiarów, nie przypuszczając, że ołowianka spadnie prawie do naszych stóp. Leżała teraz nieruchomo, co świadczyło, że załoga nie wie chwilowo o rezultacie obliczeń. W górze widać było drut łączący mnie przez pięć mil wody z pokładem naszego statku. Oh, gdybym mógł napisać kilka słów i przywiązać do niego list! Myśl taka była absurdem, ale czyż nie mogłem przesłać jakiejś wiadomości, któraby dowodziła, że żyjemy? Bluzę moją pokrywała szklana osłona i dlatego nie mogłem sięgnąć do kieszeni na piersiach, ale szczęśliwym trafem chustka do nosa znajdowała się w kieszeni od spodni. Wyjąłem ją i okręciłem dokoła ołowianki. Obciążenie wprawilo odrazu w ruch automatyczny

mechanizm i biały skrawek płótna zaczął się w moich oczach unosić w górę w drodze do tego świata, który był już dla nas prawdopodobnie stracony na zawsze.

Zaledwie zrobiliśmy kilkaset kroków, brodząc wśród wodorostów, kiedyśmy się zatrzymali przed małymi drzwiczkami. W górze nad nimi widniał jakiś napis. Drzwi były otwarte; weszliśmy przez nie do wielkiego, pustego pokoju. Znajdowała się w nim ruchoma ściana, którą spuszczone w dół poza nami przy pomocy odpowiedniej dźwigni. Rzecz prosta, nie mogliśmy nic usłyszeć w naszych szklanych dzwonach, ale już po kilku minutach zauważyliśmy, że woda w górze opada najprawdopodobniej wskutek działania jakiejś potężnej pompy. Nie minął kwadrans, a stanęliśmy na kamiennych płytach, wyścielających dno komory. Nasi nowi przyjaciele zabrali się teraz do zdejmowania z nas przeźroczystych osłon. W chwilę później znaleźliśmy się w ciepłym i jasnozielonym pokoju. Oddychaliśmy swobodnie czystym powietrzem, a śniady lud otchłani tłoczył się dokoła nas, śmiejąc się i pokrzykując wesoło. Mówił dziwnym i chrapliwym językiem; nie rozumieliśmy ani słowa, ale przyjazne gesty i spojrzenia nie mogły wprowadzać w błąd nawet na dnie oceanu. Szklane pokrywy powieszono na ponumerowanych wieszadłach na ścianie, a życzliwa ludność zaprowadziła, względnie popchnęła nas ku drzwiom wiodącym na długi korytarz. Po zamknięciu tych drzwi nie przypominało nam już nic zdumiewającego faktu, że byliśmy nieproszonymi gośćmi nieznanego narodu na dnie Oceanu Atlentyckiego, odcięci raz na zawsze od ziemskiego świata.

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, czuliśmy się wyczerpani. Nawet Bill Scanlan, który był zbudowany jak Herkules, zaledwie powłóczył nogami, podczas gdy ja z Maracotem opieraliśmy się całym ciężarem na ramionach prowadzących nas przewodników. Ale mimo zmęczenia uważałem bacznie na wszystko. Nie ulegało wątpliwości, że powietrza dostarczała jakaś maszyna, gdyż wydobywało się ono kłębam z okrągłych otworów w ścianach. Światło było rozproszone i polegało widocznie na ulepszonym systemie fluoryzacji, który zwrócił już uwagę naszych europejskich inżynierów, szukających sposobów usunięcia z lamp włókien roślinnych i knotów.. Źródłem jego były długie cylindry z czystego szkła zawieszane na gzymsach przejść. Nie mogłem czynić dalszych spostrzeżeń, gdyż nagle skończył się prowadzący w dół korytarz i weszliśmy do wielkiego pokoju - i obwieszonego dywanami i bogato umeblowanego, ze złożonymi krzesłami i wygodnymi sofami - który przypominał trochę z wyglądu egipskie grobowce. Tłum rozproszył się, a pozostał tylko brodaty przywódca i jego służba. „Manda”, powtórzył kilka razy, wskazując na siebie. Z kolei dotknął palcem każdego z nas i powtarzał nazwiska Maracota, Scanlana i moje, dopóki się ich nie nauczył. Potem dał znak, abyśmy usiedli i wydał jakiś rozkaz jednemu ze służących, który wyszedł z pokoju i wrócił z bardzo starym jegomościem, z siwymi włosami i długą brodą. Miał on na głowie czapkę kształtu stożka z czarnego sukna. Nie wspomniałem, że lud ten nosił kolorowe tuniki, sięgające do kolan i wysokie buty ze skóry ryb lub szagrynu. Czcigodny przybysz był widocznie lekarzem, gdyż obejrzał każdego z nas jpokolei, kładąc nam rękę na czole i zamykając oczy,

jakby chciał odczuć, w jakim znajdujemy się stanie.

Wi-

docznie wyniki badania nie zadowolily go, gdyz wstrzasnal glową i rzekl kilka slow do Mandy. Ten ostatni wyslal zaraz sluzacego, który przyniosl tacę z jedzeniem i butelkę wina. Byliśmy zbyt zmęczeni, aby pytać się, co to takiego, ale jedzenie smakowało nam bardzo. Potem zaprowadzono nas do innego pokoju, gdzie stały trzy łózka. Rzucilem się na jedno z nich. Przypominam sobie, jak przez sen, że Bill Scanlan podszedł i usiadł obok mnie.,,

- Ten łyk wódki ocalił mi życie - rzekł. - Ale gdzie jesteśmy?

— Nie mam pojęcia.

— Wszystko jedno - rzekł sennym głosem, wracając do swego łózka. - Wino było wspaniałe. - Były to ostatnie słowa, jakie słyszałem, poczem zapadłem w głęboki sen.

Kiedy się ocknałem, nie mogłem z początku zdać sobie sprawy, gdzie się znajdujemy. Wypadki poprzedniego dnia wydały mi się seinnem marzeniem; nie mogłem uwierzyć w ich rzeczywistość. Przyglądałem się zdziwiony pomalowanym na żółto ścianom wielkiego pokoju bez okien, smugom migotliwego, czerwonego światła, spływającego wzdłuż gzymsów, rozstawionym bez planu meblom, a wkońcu dwóm innym łóżkom. Od jednego z nich dochodziło głośnie a dobrze mi znane chrapanie Maracota. Prawda wydawała mi się zbyt groteskową i dopiero wówczas, kiedy obmacałem pościel i zobaczyłem z jak dziwnego była zrobiona materiału, zrozumiałem, że przeżywamy w istocie niezwykłą przygodę. Rozmyślenia moje przerwał głośny wybuch śmiechu i Bill Scanlan usiadł w swoim łóżku.

— Dzień dobry - zawołał, nie przestając się śmiać, kiedy ujrzał, że się obudziłem.

— Jesteś w dobrym humorze - rzekłem - chociaż nie pojmuję, dlaczego się śmiejesz?

— Mój Boże! Przyszła mi głupia myśl do głowy, kie dy zrozumiałem, gdzie jesteśmy. Coby się stało, gdybyśmy przywiązali się wówczas do tej liny z ołowianką? Przyjmuję za pewnik, że w naszych szklanych osłonach moglibyśmy dobrze oddychać. Gdyby tak Howie ujrzał nas wszystkich na końcu liny! Wspaniale!

Śmiech nasz obudził doktora, który usiadł w łóżku równie zdumiony, jak ja przedtem. Zapomniałem o naszych troskach przysłuchując się, rozbawiony, jego uwagom. Cieszyła go myśl, że znalazł pole do studjów i równocześnie dręczył smutek, że nie ma nadziei, aby o wynikach ich dowiedzieli się kiedyś jego uczeni koledzy na ziemi. Wkońcu pomyślał jednak o rzeczywistości.

— Jest godzina dziewiąta - rzekł, patrząc na zegarek. Potwierdziliśmy to, porównując nasze chronometry, ale nie mogliśmy powiedzieć, czy był dzień, czy też noc.

— Musimy prowadzić własny kalendarz - rzekł Maracot. - Spuściliśmy się do otchłani 3-go października. Przybyliśmy tu wieczorem tego samego dnia. Jak długo trwał nasz sen?

— Kto wie: może miesiąc - rzekł Scanlan. - Spałem tak twardo, jak po szóstej rundzie z Mickey Scottem.

Ubraliśmy się i umyli, gdyż wszystkie przybory były pod ręką. Drzwi jednak pozostały zamknięte; nie ulegało

wątpliwości, że jesteśmy narazie więźniami. Mimo braku wentylatorów, atmosfera była przyjemna, gdyż prąd powietrza przenikał przez małe otwory w ścianach. Jakkolwiek nie widziałem żadnego pieca, w pokoju było ciepło, dzięki systemowi centralnego ogrzewania. Nagle zauważyłem na ścianie jakiś guzik i przycisnąłem go. Był to, jak się spodziewałem, dzwonek, gdyż drzwi otworzyły się natychmiast i stanął w nich niski, ciemnowłosy mężczyzna, przybrany w żółte suknie. Spojrzał na nas pytająco wielkimi, brunatnymi oczyma.

- Jesteśmy głodni - rzekł Maracot. - Proszę nam przynieść coś do jedzenia.

Człowiek wstrząsnął głową i uśmiechnął się. Widocznie nie rozumiał, czegośmy od niego żądali.

Scanlan spróbował szczęścia, ale słowa jego przyjęto tym samym grzecznym uśmiechem. Dopiero kiedy otworzyłem usta i włożyłem do nich palec, gość nasz skinął głową i opuścił nas z pośpiechem.

W dziesięć minut później drzwi otworzyły się i weszło dwóch żółtych służących, tocząc przed sobą mały stolik na kółkach. Wistocie, nie brakowało niczego, jak w najlepszym hotelu. Była tu kawa, gorące mleko, pieczywo, delikatne ryby i miód. Przez pół godziny jedliśmy, nie zastanawiając się nad tem, co jemy i skąd pochodzi dostarczone nam jedzenie. Po upływie tego czasu pojawiło się znowu dwóch służących, którzy zabrali stolik i zamknęli drzwi za sobą.

- Czy to sen? - wykrzyknął Scanlan. - Powiedz pan, doktorze, co o tem sądzisz?

Doktor wstrząsnął głową.

— I mnie wszystko wydaje się snem, ale to sen przyjemny. Coby na to świat powiedział?

— To jedno nie ulega wątpliwości - rzekłem - że legenda o Atlantydzie była oparta na pewnych podstawach i część jej ludności ocalała w sposób niewytłomaczony.

- Ale chociażby ocalała - zawołał Bill Scanlan, drapiąc się w głowę - nie mogę zrozumieć, skąd bierze powietrze, słodką wodę i resztę. Może wytłomaczy nam to ten cudaczny jegomość z brodą, którego widzieliśmy ubiegłej nocy.

- Trudno, musimy poprzestać na zebranych przez nas obserwacjach - rzekł Maracot. - Jedno już rozumiałem. Miód, który nam podano przy śniadaniu był sztuczny. Jeśli zaś lud ten umie robić sztuczny miód, dlaczego by nie umiał sporządzać syntetycznej kawy lub pieczywa. Molekuły elementów to cegielki, a cegielki te leżą wszystkie dokoła nas. Trzeba umieć tylko odpowiednio je układać. Czasem jedna cegielka burzy porządek rzeczy...

— Pan sądzi zatem, że chemja u nich stoi bardzo wysoko?

— Jestem tego pewny. Zresztą mają wszystko pod ręką. Wodór i tlen znajduje się w wodzie morskiej. Azot i węgiel w masach morskiej roślinności, fosfor i wapień w pokładach głębinowych. O ile mają zręcznych i mądrych chemików, mogą robić wszystko.

Doktór zabierał się do dłuższej przemowy, kiedy drzwi otworzyły się i wszedł Manda, witając nas serdecznie. Towarzyszył mu ten sam czcigodny starzec, którego widzieliśmy ubiegłej nocy. Musiał to być uczony, postawił nam bowiem szereg pytań, prawdopodobnie w kilku językach, ale wszystkie

były jednakowo niezrozumiałe. Wzruszył ramionami i powiedział coś do Mandy, który wydał rozkaz czekającym przy drzwiach żółtym służącym. Zniknęli, ale wrócili niebawem z dużym ekranem, rozpostartym między dwoma słupkami. Przypominał on z wyglądu nasze ekrany kinematograficzne, ale pokryty był jakąś błyszczącą i iskrzącą się w świetle masą. Ustawiono go pod ścianą. Starzec odmierzył teraz odległość i oznaczył ją na podłodze. Stanąwszy w tym miejscu, zwrócił się do Maracota i dotknął się jego czoła, wskazując na ekran.

- Niema nic - rzekł Scanlan. - Puste pole.

Maracot wstrząsnął głową, na znak, że nie wie, co ma robić. Na twarzy starca widać było zakłopotanie. Potem wskazał jednak na siebie, zwrócił się w stronę ekranu, wlepił w niego oczy i zdawał się skupiać całą swoją uwagę. W chwilę później pojawiło się na ekranie jego odbicie. Potem wskazał na nas i w jednej chwili miejsce jego podobizny zajęła nasza mała grupa. Nie była do nas bardzo podobna. Scanlan wyglądał jak komiczny Chińczyk, Maracot jak nieboszczyk, ale nie ulegało wątpliwości, że tak przedstawiliśmy się w oczach operatora.

— To odbicie myśli - zawołałem.

— Ma pan słuszność - rzekł Maracot. - To cudowny wynalazek, a jednak jest on tylko kombinacją telepatji i telewizji, o których mamy na ziemi bardzo słabe pojęcie.

— Na Boga! - zawołałem. - Poruszylibyśmy świat cały, gdybyśmy o nim opowiedzieli na ziemi. Ale czego on chce? Daje jakieś znaki.

— Ten stary chce, aby pan spróbował swoich sił, doktorze.

Maracot stanął w oznaczonym miejscu i skupił uwagę. Ujrzeliśmy najpierw podobiznę Mandy, a potem *Stratforda*, w chwili kiedyśmy go opuszczali.

Manda i stary uczoney skinęli głową na widok statku, a Manda poruszył rękami, wskazując najpierw na nas, a potem na ekran.

- Chce, abyś mu pan wszystko opowiedział - zawołałem. - Chce widzieć na obrazach, kim jesteście i skąd się wzięli.

Maracot skinął głową, aby okazać Mandzie, że zrozumiał i zaczął rzucić na ekran obraz naszej podróży, kiedy Manda powstrzymał go ruchem ręki. Na jego rozkaz służący wynieśli ekran, a dwaj Atlantyjczycy dali nam znak, abyśmy poszli za nimi.

Był to wielki budynek i dopiero minąwszy szereg korytarzy, weszliśmy do obszernej sali, w której stały rzędy krzeseł, jak w czytelnicy. Z jednej strony znajdował się szeroki ekran, podobny do tego, któryśmy już widzieli. Na wprost niego zebrany był tłum ludzi, złożony co najmniej z tysiąca osób, którzy przywitali nasze wejście przychylnym szepcaniem. Składał się on z osób obojga płci w różnym wieku, - ciemnowłosych i brodatych mężczyzn, młodych kobiet i pięknych oraz poważnych matron. Nie mieliśmy sposobności przyjrzeć się im dokładnie, gdyż Manda zaprowadził nas do pierwszego rzędu krzeseł. Maracota zaproszono na podwyższenie naprzeciw ekranu i po zgaszeniu światła, w sposób nam nieznanym, polecono mu, aby zaczął opisywać nasze dzieje.

Rolę swoją zagrał doskonale. Ujrzeliśmy przedewszystkiem, jak statek nasz wypływa z portu na Tamizie. Na jego widok i widok współczesnego miasta dał się słyszeć szmer zdziwienia. Potem zjawiała się mapa z oznaczeniem przebytej przez nas drogi. Później ukazała się stalowa klatka, którą przywitano okrzykami. Ujrzeliśmy raz jeszcze, jak spuszcza się w niej na dno i zbliżamy do brzegu otchłani. Potem ukazał się potwór, który stał się powodem naszej katastrofy. Zjawienie się jego przywitał lud okrzykami: „Marax! Maral. Nie ulegało wątpliwości, że zwierzę było tu znane i że się go lękano. Kiedy potwór zaczął nas obmacywać swojemi kleszczami nastąpiła cisza, a kiedy zerwał linę, strącając nas w przepaść, rozległ się okrzyk zgrozy. Cały miesiąc wyjaśnień nie dałby tak znakomitego pojęcia o naszych przygodach, jak ta półgodzinna, demonstracja obrazowa.

Kiedy przedstawienie się skończyło, zebrani w sali mieszkańcy otoczyli nas, okazując gestem, że jesteśmy mile widzianymi gośćmi w kraju. Przedstawiono nas kilku wodzom, których ubranie i sposób bycia świadczył, że o godności wodza decydowała wyłącznie mądrość, nie różnili się oni bowiem napozór od reszty ludzi. Mężczyźni nosili tuniki koloru szafranowego, sięgające do kolan, pasy i wysokie buty z twardego materiału podobnego do łuski. Kobiety były wspaniale udrapowane, jak starożytne posągi; nosiły powiewne szaty niebieskie, czerwone i zielone, przystrojone sznurami pereł i opalizującymi w świetle muszlami. Niektóre z nich były nadziemsko piękne. Jedna z nich - ale nie chcę mówić o sprawach osobistych... Zaznaczę tylko, że Mona jest jedyną córką Scarpy, jednego z wodzów, i że od pierwszego naszego spotkania nawiązała się

między nami przyjaźń i sympatja. Jej czarne oczy znalazły wkrótce drogę do mojego serca, a i ona okazywała mi na każdym kroku, że nie jestem jej obojętny. Nie chcę unosić się teraz nad pięknnością tej wyjątkowej kobiety. Wystarczy, jeśli wspomnę, że od jej poznania życie nabrało dla mnie większej wartości. Ujrzawszy Maracota w ożywionej rozmowie z przystojną damą, a Scanlana, stojącego w gronie śmiejących się dziewcząt, zrozumiałem, że moi towarzysze znaleźli jaśniejsze strony w naszej tragicznej sytuacji. Umarli dla świata, mieliśmy przynajmniej możliwość rozpocząć nowe życie w odpowiednich warunkach.

Manda pokazał nam jeszcze tego samego dnia pewne części olbrzymiego budynku. Zebrany w ciągu stuleci muł pokrył go całkowicie tak, że można się było do niego dostać tylko przez dach, skąd wiódł w dół szereg korytarzy. Komora wstępna znajdowała się zatem o kilkaset stóp ponad poziomem dawnego dna morskiego i dolnemi salami budynku. W dnie morskiem wykonano zkolei szereg korytarzy, które prowadziły w głąb ziemi. Obejrzelismy aparaty do robienia powietrza z pompami, które rozprowadzały je po całym budynku. Maracot przekonał się, ku wielkie!”, „swojemu zdumieniu, że przyrządy te wytwarzały nie tylko iwn i azot, ale również inne gazy, któreim mogły być jedynie argon, neon i mniej znane składniki atmosfery. Zainteresowały nas również urządzenia elektryczne a aparaty do destylowania wody, ale maszyny te były zbyt skomplikowane, abyśmy sobie mogli wytłumaczyć znaczenie wszystkich ich części składowych. Mogę powiedzieć tylko, że widziałem na własne oczy, jak doprowadzano do maszyn różne chemikalia w formie płynów i gazów, poddawano je działaniu gorąca,

wysokiego ciśnienia i elektryczności otrzymywano tą drogą pieczywo, kawę lub wino przedniej jakości.

W czasie zwiedzania budynku nabraliśmy wkrótce pewności, że zatopienie jego było z góry przewidziane i że zastosowano wszelkie środki ostrożności, aby nie dopuścić do wtargnięcia wody. W istocie, na każdym kroku znajdowaliśmy ślady świadczące, że wielki ten gmach budowano, przeznaczając go z góry na miejsce schronienia. Ogromne retorty i cylindry, służące do wytwarzania powietrza, pożywienia, wody destylowanej i innych koniecznych produktów były wmurowane w ściany i stanowiły bezsprzecznie części pierwotnej budowli. To samo odnosi się do komory wstępnej, fabryki, w której wyrabiano szklane osłony, i potężnych pomp. Wszystko to przygotowano tak dokładnie, że musieliśmy nabrać wysokiego wyobrażenia o mądrości i zapobiegliwości tego niezwykłego narodu, którego władza sięgała, jak się zdaje - o ile mogliśmy wnosić z zebranych później wiadomości - z jednej strony do Środkowej Ameryki, z drugiej do Egiptu i który pozostawił ślady swoje na ziemi, kiedy potężne to państwo pogrążyło się w falach Atlantyku. Co do potomków jego, zdaje się, że ulegli ona degeneracji, jak to było do przewidzenia i że poszczycić się mogli jedynie zachowaniem okruchów wiedzy i nauki przodków, nie siląc się nawet na pogłębienie swoich wiadomości. Rozporządzali cudownymi środkami, a jednak zrobili na mnie wrażenie ludzi pozbawionych wszelkiej inicjatywy. Jestem pewny, że Maracot osiągnęłyby większe rezultaty, gdyby mu dano możliwość zużytkowania wiadomości, które posiadali - Co do Scanlana, to zabawiał on towarzystwo sztuczkami, które budziły w nich takie zdumienie, jak ich wiedza u nas. Miał on w kieszeni ulubioną

harmonijkę ustną, którą zabrał ze sobą na dno morza i na której wygrywał różne piosenki ku ogromnemu zadowoleniu swoich towarzyszy, siedzących koło niego i przysłuchujących się jak oczarowani muzyce.

Wspomniałem, że nie pokazano nam pewnych części budynku i chciałbym to teraz podkreślić. I tak, był tam stary korytarz, prowadzący w dół i bardzo uczęszczany, który przewodnicy w wycieczkach naszych troskliwie omijali. Rzecz prosta, że zbudziło to naszą ciekawość, postanowiliśmy zatem pewnego wieczoru zaryzykować wycieczkę w tamtą okolicę na własną odpowiedzialność. Wymknąwszy się chyłkiem z naszego pokoju, skierowaliśmy kroki ku nieznannej dzielnicy w czasie, kiedy było tam niewiele ludzi.

Korytarz zaprowadził nas do wysokich, sklepionych drzwi, które zrobione były, zdaje się, ze złota. Otworzył je, znaleźliśmy się w wielkiej sali w kształcie czworoboku. Wszystkie ściany dokoła były pokryte i przyozdobione niezwykle malowidłami z podobiznami groteskowych postaci w ogromnych czapkach na głowie. Na końcu tej wielkiej sali znajdował się olbrzymi posąg bożka w pozycji siedzącej, ze skrzyżowanymi nogami, jak u Buddy. Wyraz twarzy jego nie miał jednak nic z tej dobroćliwości, jaka cechuje łagodne rysy Buddy. Przeciwnie, było to uosobienie Gniewu, z otwartymi ustami i dzikimi, czerwonymi oczyma. W łonie jego znajdował się wielki ciemny piec, wypełniony, jak się okazało, popiołem.

- Moloch! - rzekł Maracot. - Moloch lub Baal, dawny bóg Fenicjan.

— Wielkie nieba! - zawołałem, gdyż przyszła mi na myśl Kartagina. - Czyżby łagodny ten lud składał krwawe „ofiary”?

— Chyba nie mają zamiaru poświęcić nas temu bożkowi w ofierze - rzekł Scanlan, zaniepokojony.

— Nie; sądzę, że własne nieszczęście nauczyło ich litować się nad innymi - rzekłem.

— Ma pan słuszność - zauważył Maracot, grzebiąc w popiele. - Bożek jest stary, ale kult jego stał się na pewno łagodniejszy. Widzę tu dużo spalonych liści i kwiatów. Ale być może, że ongiś...

Rozmyślenia na ten temat przerwał nam w tej chwili jakiś surowy głos. Obejrzawszy się, ujrzelśmy kilku mężczyzn w żółtych ubraniach i wysokich czapkach, którzy byli widocznie kapłanami świątyni. Z wyrazu ich twarzy mogłem wnosić, że o mało co nie staliśmy się ostatnimi ofiarami Baala. Wistocie, jeden z nich wyjął nawet nóż z zapasa. Z groźnymi gestami i okrzykami wypędzili nas z świętego przybytku.

- Na Bogal - zawołał Scanlan. - Dam w łeb temu chamowi, jeśli będzie mi wymachiwał rękami pod nosem. Precz, draby!

Przez chwilę lękałem się, że przyjdzie do zaciętej bitki między stróżami świątyni i Scanlanem. Ale udało się nam pociągnąć za sobą rozgniewanego mechanika i wrócić do naszego pokoju bez szwanku. Z zachowania się Mandy i innych naszych przyjaciół mogłem wnosić jednakże, że o wycieczce naszej do świątyni wiedzieli i że ich to uraziło.

Pokazano nam natomiast bez najmniejszych trudności podobiznę innego bóstwa, a fakt ten ułatwił niespodziewanie porozumiewanie się między nami i naszymi towarzyszami. Znajdowało się ono w dolnej części świątyni w pokoju pozbawionym ozdób i nie różniącym się z wyglądu od innych znanych nam sal. Był to posąg z kości słoniowej, poźółkłej ze starości, przedstawiający kobietę z włócznią w ręku. Na ramieniu jej siedziała sowa. Strażnikiem posągu był sędziwy starzec; na pierwszy rzut oka poznaliśmy, mimo podeszłego jego wieku, że należał do innej rasy, niż mieszkańcy Schronu. Świadczyły o tern delikatne rysy twarzy i smukłą budowa ciała. Kiedy przyglądaliśmy się posągowi z kości słoniowej, który wydawał się Maracotowi i dziwnie znajomym, starzec zagadnął nas.

- Thea - rzekł, wskazując na statuę.

- Na Boga! - zawołałem. - On mówi po grecku.

-. Thea! Athena! - powtórzył starzec.

Nie było wątpliwości. „Bogini - Atena” - słowa te mogły mieć tylko jedno znaczenie. Maracot, którego cudowny mózg wchłonął cośkolwiek z każdej gałęzi wiedzy ludzkiej, zaczął natychmiast stawiać pytania w klasycznej greczyźnie. Starzec zrozumiał je tylko częściowo i odpowiadał w dialekcie tak archaicznym, że czasami nie wiedzieliśmy, co chce powiedzieć. Znalazł jednak pośrednika i przy jego pomocy mógł z wielką trudnością udzielić nam pewnych wyjaśnień.

- Jest to niezbitym dowodem - mówił tego wieczoru Maracot - że legendy opierają się zawsze na prawdziwych faktach, które dopiero z czasem ulegają przeinaczeniu. Wiecie zapewne - a może nie wiecie - że w okresie, kiedy przyszło do zagłady

wielkiej wyspy, toczyła się wojna między Grekami i mieszkańcami Atlantydy. Wspomina o tem Solon, który czerpał wiadomości od kapłanów w Sais. Możemy przyjąć, że w owym czasie znajdowali się w Atlantyckie jeńcy greccy, że pewna ich liczba przeznaczoną była do obsługi kapłanów świątyni i że niewolnicy ci zachowali wiarę swych ojców. Człowiek, który z nami rozmawiał, był, o ile mogłem zrozumieć, dziedzicznym kapłanem kultu. Kto wie, czy się później nie dowiemy czegoś więcej o tym starożytnym narodzie?

— Co do mnie - rzekł Scanlan - wolę ich piękną boginię, niż tego bożka z czerwonymi oczyma i skrzynią na węgle na kolanach.

— Szczęście, że nasi gospodarze nie znają twoich zapatrywań. Mógłbyś przyplącić to życiem.

— Eh, nie lękam się - rzekł Scanlan. - Od czasu, kiedy wygrywam im na harmonijce najpiękniejsze piosenki nie wyobrażam sobie, aby mogli z lekkim sercem wyrzec się mojego towarzystwa.

Był to w istocie naród pogodnego usposobienia i życie nasze ułożyło się szczęśliwie, ale czasami ogarniała mnie tęsknota za utraconą ojczyzną i wtedy snuły mi się przed oczyma wizje starych więzów i pól Harvardu i dobrze mi znanych budynków Oksfordzkich. Wówczas zdawało mi się to wszystko równie dalekiem, jak jakiś krajobraz księżycowy i dopiero teraz budzi się w mojej duszy słaba nadzieja zobaczenia znowu drogich mi okolic.

IV

W kilka dni po naszym przybyciu gospodarze zabrali nas ze sobą na wyprawę na dno oceanu.

Poszło ich z nami sześciu pod dowództwem Mandy. Zebraliśmy się w tej samej komorze, w której przyjęto nas na wstępie do tej nieznannej krainy tak, że mogliśmy teraz obejrzeć ją dokładniej. Był to wielki pokój, długi i szeroki przynajmniej na sto stóp, a jego niskie ściany i sufit pokrywała zielona pleśń. Wzdłuż ścian widniał szereg kołków ze znakami, które, jak sądzę, były liczbami, a na każdym z nich wisiał jeden z przezroczystych dzwonów szklanych i para oddechowych baterij na ramiona. Kamora wyłożona była płaskimi kamieniami, w których gdzieniegdzie znajdowały się płytkie zagłębienia, wypełnione obecnie wodą, ślady stóp szeregu pokoleń. - Całość kąpała się w świetle, wychodzącym z rur fluorowych, umieszczonych wzdłuż gzymsu. Przyobleczono nas w szklane osłony i wręczono każdemu silny, zastrzony na jednym końcu kij, zrobiony z jakiegoś lekkiego metalu. Potem Manda dał nam znak, abyśmy chwycili się biegnącej wzdłuż ścian pokoju poręczy, co uczynił również on i jego towarzysze. Jak się okazało, nie było to bezcelowem, gdyż po uchyleniu drzwi zewnętrznych woda morska wdarła się do pokoju z taką siłą, że zwałiłaby nas z nóg, gdyby nie przedsięwzięte środki ostrożności. Podniosła się jednak szybko do poziomu naszych głów i wyżej, a równocześnie ciśnienie jej spadło. Manda stanął na czele pochodu i w chwilę potem znajdowaliśmy się znowu na dnie oceanu, pozostawiwszy za sobą szeroko rozwartą bramę.

Rozglądając się w zimnym, migotliwym, upiornym świetle, w którego promieniach spoczywa równina głębinowa, mogliśmy widzieć wszystko dokładnie w promieniu co najmniej ćwierci mili. Dziwiło nas jednak, że na pograniczu pola widzenia

zaznacza się jakiś jasno błyszczący przedmiot. Przewodnik nasz skierował swe kroki ku niemu, a my ruszyliśmy za nim gęsiego. Posuwaliśmy się powoli, ze względu na opór, jaki stawiała woda i na miękki grząski grunt pod naszymi stopami. Ale wkrótce stało się jasnym, co jest źródłem zaciekawiającego nas światła. Była to nasza klatka, ostatnia pamiątka z ziemi, która spoczywała z zapalonemi lampami na jednej z kopuł wielkiego budynku. Była w trzech czwartych wypełniona wodą, ale warstwa ścieśnionego powietrza nie dopuściła do przedostania się jej do tej części, w której mieściły się elektryczne baterje. Widok jej przyprawił nas o dziwne wzruszenie. Instrumenty i siedzenia znajdowały się jeszcze na swoim miejscu, chociaż szereg większych ryb pływał wewnątrz stalowej łupiny, jak minogi w butelce. Jeden za drugim weszliśmy do klatki przez otwarte drzwi w podłodze, Maracot, aby ocalić książkę z notatkami, która unosiła się na powierzchni wody, ja i Scanlan, aby zabrać kilka drobiazgów. Manda z dwoma towarzyszami wszedł również, aby oglądnąć bathymetr i termometr oraz kilka przytwiedzonych do ściany instrumentów. Przyrządy te zdjęliśmy i zabrali z sobą. Może zainteresuje uczonych fakt, że w tej największej głębinie świata panuje temp. 40° Fahrenheita, i że jest ona dzięki chemicznym procesom w rozkładającym się szlamie, wyższą aniżeli w górnych warstwach morza.

Celem wyprawy było, jak się okazało, nie tylko zapoznanie nas z podmorską równiną. Od czasu do czasu widziałem, że towarzysze nasi zabijali przy pomocy ostrych kijów wielkie, płaskie ryby podobne do turbotów, które leżały w mule. Wkrótce każdy z nich miał przytroczone do boku

przynajmniej dwie takie sztuki. Scanian i ja przyłączyliśmy się do polowania i schwytali każdy po parze, ale Maracot szedł, jakby we śnie, oczarowany cudami oceanu, wypowiadając słowa, których nie można było słyszeć, ale które czytaliśmy z rysów jego twarzy.

Szara równina wydała się nam zrazu monotonna, ale wkrótce przekonaliśmy się, że wznoszą się na niej liczne pagórki - dzieło prądów głębinowych, zastępujących tutaj ziemskie rzeki. Prądy te żłobiły kanały w miękkiej glinie i odsłaniały znajdujące się pod nią pokłady. Te ostatnie składały się głównie z czerwonego łu, który stanowi zwierzchnią warstwę łożyska oceanu. Tkwiące w nim białe przedmioty uważałem za muszle, były to jednak, jak się okazało, kości wielorybów i zęby rekinów oraz innych potworów morskich. Jeden z tych zębów, który podniosłem, miał piętnaście cali długości. Na szczęście groźny ten potwór przebywa tylko w górnych warstwach oceanu. Należy jednak zaznaczyć, jak twierdzi Michel Hedges, że nawet największe schwytane rekiny miały na tułowiu ślady zębów stworzeń od nich jeszcze groźniejszych i większych.

Charakterystyczną cechą głębin morskich jest, jak już wspomniałem, stale zimne światło, którego źródłem są ulegające powolnemu rozkładowi wielkie masy organicznej materji. Ale w górze panuje zupełna ciemność. Przypomina to ponury dzień zimowy przed wielką śnieżycą. Z tej ciężkiej, czarnej chmury w górze pada ustawicznie śnieg białych, delikatnych płatków, które błyszczą na ciemnym tle. Są to muszle ślimaków morskich i innych małych stworzeń, żyjących i ginących w szerokim na pięć mil pasie wody, który dzieli nas od

powierzchni, a chociaż wiele z nich rozpuszcza się podczas upadku i przekształca AV sól morską, reszta tworzy w ciągu wieków ten pokład, który zagrzebał wielkie miasto, pozostawiając dziś w stanie mieszkalnym tylko wyżej położone jego części.

Porzuciwszy ostatnie ogniwo łączące nas z ziemią, ruszyliśmy w mroczny świat podmorski, gdzie nas czekały nowe przygody. Po drodze spotkaliśmy tłum ludzi w szklanych osłonach, którzy ciągnęli za sobą wielkie sanie naładowane węglem. Była to ciężka praca i biedni robotnicy, wykonywali ją w pocie czoła, posługując się linami ze skóry rekina. Każdej grupie towarzyszył jeden przywódca, którego wygląd świadczył, że należy do innej rasy, niż robotnicy. Ci ostatni byli słusznego wzrostu, przystojni, silnie zbudowani i mieli niebieskie oczy. Tamtych już opisałem, jako ludzi niskich, krępych, przysadkowatych, o cerze ciemnej, prawie czarnej. Nie prosiliśmy o wyjaśnienie nam tej zagadki, ale odniosłem wówczas wrażenie, że jedna rasa była rasą niewolników, druga panów. Zdaniem Maracota niewolnicy mogli być potomkami tych więźniów greckich, których boginię widzieliśmy w świątyni.

Spotkaliśmy jeszcze przed przybyciem do kopalni szereg grup tych ludzi, ciągnących ładunek węgla. Znajdowała się tu wielka studnia, drążąca przez warstwy piasku i gliny, nie licząc pokładu szlamu organicznego, który w tym miejscu usunięto. W glinie widniały czarne pasma węgla, świadczące, że ta część dna morskiego, znajdować się musiała kiedyś na powierzchni ziemi. W studni na rozmaitych poziomach pracowały liczne rzesze robotników, którzy kopali węgiel, ładowali go i wydobywali na wierzch w ko-

szykach. Kopalnia była tak wielka, że nie mogliśmy dostrzec drugiego brzegu olbrzymiej studni, wydrążonej w dnie oceanu przez szeregi pokoleń. Ona to dostarczała materiału opałowego, do wszystkich maszyn Atlantydy. Wspomnę, tu mimochodem, że nazwa starego miasta zachowała się - rzecz ciekawa - bez zmiany we wszystkich legendach, kiedyśmy bowiem wspomnieli o niej Mandzie i jego towarzyszom, zdziwiło ich to niezmiernie. - Kiwnęli jednak głowami na znak, że zrozumieli.

Minąwszy wielką kopalnię węgla - a raczej skręciwszy od niej na prawo - przybyliśmy do pasma niskich wzgórz bazaltowych o ścianach tak błyszczących, jakby dopiero wystrzeliły z pod ziemi. Wierzchołki ich gubiły się w mroku ponad naszemi głowami, a podstawy tonęły w gąszczu wysokich wodorostów. Przez pewien czas posuwaliśmy się brzegiem tych gęstych zarośli... Towarzysze nasi wypłaszali uderzeniami kija szeregi nieznanych ryb i skorupiaków częścią dla zabawienia nas, częścią celem upolowania sztuk szczególnie smacznych. Uszliśmy tak milę lub więcej, kiedy Manda zatrzymał się nagle i zaczął się rozglądać, zdziwiony i zaniepokojony. Towarzysze jego poznali natychmiast z gestów przywódcy o co mu chodzi, a i my zrozumieliśmy niebawem, co jest powodem zaniepokojenia Mandy. Dr. Maracot zniknął.

Był napewno przy wejściu do kopalni i towarzyszył nam aż do skał bazaltowych. Nie mógł nas wyprzedzić, musiał zatem znajdować się na skraju gęstwiny wodorostów. Jakkolwiek towarzysze nasi byli bardzo zmartwieni, Scanlan i ja, nie przypuszczaliśmy, znając kaprysy i roztargnienie profesora, aby go spotkało jakieś nieszczęście.

Przekonani, że zatrzymał się, aby obejrzyć jakieś ciekawe morskie stworzenie, zaczęliśmy wracać tą samą drogą. Nie uszliśmy nawet stu jardów, kiedy się nam ukazał.

Biegł - biegł, co sił starczyło... Ręce rozpostarł, jakby wzywał pomocy i pędził tak, jak nie przypuszczałem, że może pędzić. Przyczyną jego pośpiechu były trzy straszliwe stworzenia, które następowały mu na pięty. Były to olbrzymie kraby, koloru czarnego w białe pasy, każdy wielkości psa nowofunlandzkiego. Na szczęście, one same nie poruszały się zbyt prędko, w każdym razie jednak sunęły po dnie morskiem prędej, niż uciekający.

Zapewne dogoniłyby go w ciągu kilku minut i rozszarpały szczypcami, gdyby nie interwencja naszych przyjaciół. Wpadli oni na potwory z swemi metalowemi laskami, a Manda oślepił je światłem silnej lampy elektrycznej, którą miał przywiązaną do pasa. Rzuciły się do ucieczki i przepadły między wodorostami. Towarzysz nasz usiadł na kawałku koralu, zupełnie wyczerpany. Opowiedział nam później, że zapuścił się w gąszcz wodorostów w nadziei, że schwyta jakiś rzadki okaz fauny głębinowej i wpadł do gniazda tych straszliwych krabów, które rzuciły się za nim w pogoń. Dopiero po dłuższym wypoczynku mógł puścić się w dalszą wędrówkę.

Z kolei zawróciliśmy w stronę naszego więzienia. Na szarej równinie przed nami widać było kopce i wielkie wyniosłości, które świadczyły, że pod nią leżało starożytne miasto. Zostałoby zupełnie zagrzebane przez szlam, jak Porapea przez popiół, a Herculanium przez lawę, gdyby nie mieszkańcy świątyni, którzy odkopali wejście do niego. Wejście to wiodło do długiego, prowadzącego w dół

korytarza, który kończył się na szerokiej ulicy. Po obu jej stronach stały wielkie budynki o ścianach dziś częściowo zburzonych i zrujnowanych, gdyż wystawione były z lichego kamienia. Wnętrza domów były jednak przeważnie w takim stanie, jak w dniu katastrofy, chociaż najrozmaitsze produkty morza - piękne niekiedy, a niekiedy ohydne - zmieniły wygląd pokoi. Przewodnicy nasi nie zachęcali do oglądania pierwszych z brzegu, ale zaprowadzili nas do rozległej fortecy centralnej lub pałacu, który stał w środku miasta. Słupy, kolumny, rzeźbione stropy, fryzy i schody tego budynku były najpiękniejsze, jakie widziałem w życiu. Przypominały one naogół ruiny świątyni w Karnac w Egipcie, a - rzecz ciekawa - ozdoby i na wpółzatarłe rzeźby budowli były łudząco podobne do rzeźb egipskich na kapitelach kolumn. Dziwne wzruszenie ogarniało nas, kiedy stąpaliśmy po marmurowych posadzkach wielkich sal, w których stały olbrzymie posągi i widzieliśmy równocześnie pływające nad naszymi głowami srebrzyste węgorze i spłoszone światłem lampy ryby. Chodziliśmy po pokojach, urządzonych z wyszukaniem przepychem, który jak głoszą legendy ściągnął na lud gniew Boży. Jedna z sal wyłożona była perłową macicą i mieniła się jeszcze dziś opalowymi barwami, kiedy na ściany jej padło światło. Ozdobny stół z złotego metalu i łożo z tego samego materiału stały w jednym rogu sali, przeznaczonej prawdopodobnie na sypialnię królowej. Ale nie było tu żywej duszy. Ogarnęło mnie dziwne przygnębienie - a sądzę, że i moi towarzysze doznali tego samego wrażenia - to też z prawdziwą radością wyszliśmy z pałacu. Minąwszy ruiny amfiteatru i groblę z latarnią morską, która świadczyła, że było to miasto portowe

pozostawiliśmy wkrótce za sobą złowrogie zwałiska i znaleźli się znowu na dobrze nam znanej podwodnej równinie.

Ale czekały nas jeszcze dalsze przygody. W chwili, kiedy Manda dał rozkaz do powrotu, jeden z towarzyszących mu ludzi wskazał zaniepokojony w górę. Spojrzawszy w tę stronę, ujrzelśmy widok niezwykle. Z ciemnej toni morskiej wynurzył się jakiś wielki przedmiot i zaczął szybko opadać w dół. Zrazu była to bezkształtna masa, ale kiedy się znalazł w obrębie światła, ujrzelśmy, że było to cielsko olbrzymiej ryby z rozdartym tułowiem i wypatroszonymi wnętrznościami. Nie ulega wątpliwości, że gazy nagromadzone w brzuchu martwego potwora pociągnęły go ku górze i utrzymywały tam do czasu, kiedy procesy gnilne lub zęby rekinów nie uutorowały im drogi na zewnątrz, poczem martwe ciało siłą ciężkości opadło na dno morza. W czasie naszej wędrówki zauważyliśmy już kilkakrotnie wielkie szkielety tych potworów, objedzone dokładnie przez ryby, ale ten znajdował się jeszcze w stanie zbliżonym do normalnego, pomijając fakt, że uległ wypatroszeniu. Przewodnicy nasi chcieli zrazu odprowadzić nas na bok, abyśmy nie ulegli zgnieceniu przez spadającą masę, ale przekonali się wkrótce, że ewentualność ta nie wchodzi w rachubę. Dzięki szklanym hełmom nie słyszeliśmy głuchego odgłosu cielska uderzającego o dno oceanu, ale wnosząc z uniesionej w górę masy mułu w miejscu upadku, musiał to być ciężar olbrzymi. Był to wieloryb długi na siedemdziesiąt stóp, a z radosnych gestów podwodnego ludu mogłem wnosić, że wartość tłuszczu i olbrotu tego zwierzęcia jest mu znana. Na razie jednak, pozostawiwszy cielsko potwora, gdyż

byliśmy za bardzo zmęczeni - zawróciliśmy ku bramie. W ciągu kilku minut znaleźliśmy się znowu cali i zdrowi, bez szklanych osłon, na kamiennej posadzce przygotowawczej komory.

W kilka dni później - według ziemskiego czasu - zaproszono nas na uroczyste przedstawienie obrazów w rodzaju tego, które pouczyło ludność o naszych przygodach po opuszczeniu *Stratforda*. Poznaliśmy dzięki niemu w prosty i cudowny sposób dzieje tego niezwykłego narodu. Nie przypuszczam, aby odbyło się ono wyłącznie na naszą cześć, gdyż mam powody sądzić, że o wypadkach tych przypominało ludowi od czasu do czasu i że część uroczystości, na którą nas zaproszono, była tylko jakąś przygrywką do długiej ceremonii religijnej. Jakkolwiek się sprawa ma, opiszę to, co widziałem.

Zaprowadzono nas do tej samej wielkiej sali, czy teatru, w którym dr. Maracot rzucał na ekran nasze przygody. Sala była pełna ludzi... Posadzono nas, jak pierwszym razem, na miejscach honorowych przed wielkim, błyszczącym ekranem. Potem, po długiej pieśni, która mogła być jakimś hymnem patriotycznym, wystąpił naprzód siwowłósy starzec, historyk lub kronikarz narodu, witany okrzykami publiczności i zaczął rzucać na błyszczącą powierzchnię przed nim szeregi obrazów, przedstawiających dzieje i upadek swojej ojczyzny. Szkoda, że nie mogę ci pokazać ich! Moi dwaj towarzysze i ja sam zapomnieliśmy o całym świecie, a widzowie byli poruszeni do głębi i płakali lub biadali nad rozgrywającą się w ich oczach tragedią, która przedstawiała zagładę ojczyzny ich i rasy.

W pierwszej serji obrazów widzieliśmy stary kontynent w pełni chwały, tak, jak go odmalowały przekazywane z ojców na synów legendy.

Widzieliśmy kraj szczęśliwy, rozległy, dobrze nawodniony, z wielkimi łąkami zboża, kwitnącymi sadami, pięknymi rzekami, lesistymi pagórkami, jeziorami i malowniczymi skalami. Pełno w nim było wiosek, bogatych zagród i prywatnych rezydencji. Potem ujrzeliśmy stolicę, miasto piękne i wielkie nad brzegiem morza, port pełen galer naładowanych towarami, obwiedziony wysokimi murami, głębokimi fosami i strzeżony przez potężne wieże obronne. Ulice ciągnęły się daleko w głąb lądu, a w środku miasta znajdował się zamek warowny lub cytadela - tak wspaniała i piękna, jak marzenie senne. Pokazano nam później twarze ludzi żyjących w tym złotym wieku, mądrych i czcigodnych starców, mężnych wojowników, świętobliwych kapłanów, uroczych kobiet, miłych dzieci, apoteozę ludzkiego rodu.

Potem przyszły inne obrazy. Widzieliśmy wojny, ciągle wojny, wojny na lądzie i morzu. Widzieliśmy ludzi nagich i bezbronnych pod kopytami koni i kołami wielkich wozów bojowych. Widzieliśmy skarby nagromadzone przez zwycięzców, ale w miarę wzrostu dóbr twarze na ekranie stawały się bardziej zwierzęce i okrutne; spadali coraz niżej z pokolenia na pokolenie. Mogliśmy dostrzec ślady rozwiązłego życia i moralnego zwyrodnienia, wzrost kultu materji i upadek wartości duchowych. Brutalne zabawy kosztem innych zajęły miejsce dawnych męskich ćwiczeń. Nie

dbano już o spokojne życie rodzinne, o kształcenie umysłu... Ludziom chodziło tylko o własną przyjemność. Gonili ze nią bezustannie i chociaż nie znajdowali zadowolenia, łudzili się, że je w ten sposób osiągną. Z jednej strony powstała klasa bogaczy, żądnych zmysłowych rozkoszy, z drugiej - biedaków, których przeznaczeniem było wysługiwać się swoim panom i spełniać wszelkie ich, chociażby najgorsze, zachcianki.

Poruszono teraz nowe struny. Pojawili się reformatorzy, którzy próbowali nawrócić naród ze złej drogi i skierować go ku dawniejszym, wzniosłym celom. Ujrzeliśmy ich, ludzi poważnych, którzy usiłowali wpłynąć na lud i uchronić go przed zgubą. Ale wysiłki ich spotykały się z drwinami i szyderstwem, zwłaszcza kapłanów Baala, którzy tymczasem doszli do wielkiego znaczenia. A jednak reformatorzy nie zrażali się niczem. Walczyli wciąż o zbawienie narodu, a twarze ich stawały się coraz poważniejsze i groźne, jak twarze ludzi ostrzegających przed strasliwym niebezpieczeństwem. Zaledwie drobna część słuchaczy zmieniała pod ich wpływem sposób życia, ale inni zlekceważyli sobie mądre rady i wyśmiewając je pograżali się w błocie coraz głębiej. I przyszedł czas, kiedy zabrakło reformatorów, gdyż bezowocność wszelkich wysiłków zmusiła ich do zaniechania prób ocalenia tego zwyrodniałego narodu.

Potem ujrzeliśmy dziwny obraz. Znalazł się reformator, człowiek niezwykle silnej woli, który pociągnął za sobą drugich. Miał majątek, wpływy, znaczenie i rozporządzał środkami dzisiaj nam nieznanymi. Ujrzeliśmy go w stanie, zbliżonym do transu, porozumiewającego się z wyższymi duchami.

On to zużytkował zdobycie wiedzy - a wiedza stała w tym kraju o wiele wyżej, niż u nas w czasach obecnych - i przystąpił do zbudowania arki ochronnej w przewidywaniu zbliżającej się katastrofy. Ujrzeliśmy tysiące ludzi przy pracy i wznoszone szybko mury, podczas gdy tłumy lekkomyślnych obywateli wyśmiewały się z niepotrzebnych, zdaniem ich, środków ostrożności. Widzieliśmy, że o wiele łatwiejszą byłaby ucieczka do jakiegoś bezpiecznego kraju, jeśli pobyt w Atlantydzie przyprawia o niepokój i lęk. Odpowiedziałem - o ile mogliśmy zrozumieć - że chce pozostać w zbudowanej przez siebie Świątyni Bezpieczeństwa dla dobra pewnych osób, które musi ocalić w ostatniej chwili. Tymczasem ściągnął do niej swoich stronników i trzymał ich tam stale, nie znał bowiem dnia ani godziny, chociaż o zbliżającej się klęsce zawiadomiły go siły nadprzyrodzone. To też po ukończeniu arki i zamknięciu oraz Wypróbowaniu uszczelnionych drzwi, czekał na katastrofę wraz ze swoją rodziną, przyjaciółmi i służbą.

I katastrofa przyszła. Nawet na obrazie przejmowała grozą. Bóg jeden wie, jaką była w rzeczywistości. Ujrzeliśmy najpierw wznoszącą się na spokojnym oceanie olbrzymią, potworną górę wodną. Potem ujrzeliśmy, jak góra ta posuwa się naprzód, mila za milą, wielka, błyszcząca, pokryta pianą. Rosła z każdą chwilą... Na grzbiecie spienionej fali pływały szczątki strzaskanych galer. Fala runęła na brzeg, zalała miasto, a domy jego padały pod naporem wód, jak zboże, powalone przez huragan. Ujrzeliśmy na dachach domów ludzi, czekających na śmierć nieuchronną, z przerażeniami twarzami, błędnymi oczyma i wykrzywionymi

ustami, - ludzi, którzy załamywali z rozpaczyny ręce i wrywali sobie włosy z głowy. Ci sami mężczyźni i kobiety, którzy przyjmowali ze śmiechem wszelkie ostrzeżenia, błagali teraz Niebiosa o litość, leżąc na ziemi, lub klęcząc z wzniesionymi w górę rękoma. Nie było już czasu, aby szukać schronienia w arce, która stała za miastem, ale tłumy ludzi uciekły do cytadeli, wybudowanej na wzgórzu. Niebawem zaczęła się jednak walić i cytadela. Wszystko zaczęło się walić. Woda przedostała się do wnętrza ziemi, ogień wulkanów zmienił się w parę, a ta wysadziła w powietrze duże przestrzenie lądu. Domy, miasta padały jeden za drugim wśród okrzyków zgrozy zebranych w sali widzów. Grobla portowa runęła. Dachy domów wyglądały przez pewien czas z wody, jak skały nadbrzeżne, o które rozbijają się bałwany, ale i one wkrótce pograżyły się w toni. W końcu i cytadela, która utrzymywała się najdłużej nad wodą, jak olbrzymi jakiś okręt, obsunęła się w otchłań wraz z ludźmi, szukającymi w niej ocalenia. Dramat dobiegł do kresu i miejsce kontynentu zajęło morze, na którego powierzchni pływały ciała zmarłych ludzi i zwierząt, krzesła, stoły, części ubania, kapelusze i inne rzeczy, świadczące, że w miejscu tern rozegrała się niedawno straszliwa tragedia. Wkrótce i one zniknęły... Po wielkim państwie, które Bóg skazał na zagładę, nie pozostał żaden ślad na bezmiarze lśniących, jak żywe srebro, wód oceanu.

Przedstawienie skończyło się. Nie stawialiśmy żadnych pytań, gdyż w myśli mogliśmy sobie dośpiewać resztę. Wielki ten kraj opadać musiał coraz niżej w otchłań wodną wśród wstrząśnień wulkanicznych, dzięki którym powstał wokół niego pierścień podmorskich gór. Oczyma duszy widzieliśmy na dnie Atlantyku zburzone i

zatonione miasto obok arki schronienia, w której zebrała się garść ludzi pozostałych przy życiu. I teraz zrozumieliśmy, w jaki sposób udało im się ocalić przed śmiercią. Kierując się wskazówkami swego wielkiego przywódcy nauczywszy się od niego wszelkich sztuk, żyli w arce przez szereg pokoleń. Z pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu jej pierwotnych mieszkańców powstało całe społeczeństwo, które wkopało się w głąb ziemi, aby znaleźć dla siebie dosyć miejsca. Taki był los pozostałych przy życiu mieszkańców potężnej Atlantydy. W dalekiej przyszłości, kiedy szlam głębinowy zmieni się w kredę i jakiś nowy kataklizm wydobędzie znowu to wielkie miasto z morskiej otchłani, geologowie zdziwią się, znalazłszy w kamieniołomach, zamiast muszli i krzemieni, szczątki zamierchłej cywilizacji i ślady dawnej katastrofy.

Tylko jeden szczegół pozostał niewyjaśniony, a to, jaki okres czasu upłynął od chwili zagłady Atlantydy. Dr. Maracot znalazł jednak sposób obliczenia go w przybliżeniu. W jednym ze skrzydeł wielkiego budynku znajdowało się podziemie, służące za kryptę grobową wodzów. Podobnie jak w Egipcie i w Jukatanie zwłoki zmarłych balsamowano i przechowywano tutaj w niszach ściennych. Manda, który pokazywał nam niezliczone szeregi tych smutnych relikwii, zwrócił naszą uwagę z pewną dumą na ostatnią niszę, która była przeznaczona dla niego.

- Jeśli weźmiemy, jako probierz, stosunki europejskie - rzekł Maracot tonem mentora - należałoby przyjąć, że panowanie króla trwa przeciętnie dwadzieścia lat. Trudno przypuścić, aby tu było inaczej. Nie mam pretensji do naukowej dokładności w tym względzie, ale policzyłem mumje

i jest ich ogółem czterysta.

- A - więc osiem tysięcy lat?

— Właśnie. I obliczenie to zgadza się do pewnego stopnia z obliczeniem Platona. Do zagłady Atlantydy musiało przyjść jeszcze w czasie, kiedy pismo w Egipcie nie było znane. Tak jest, możemy powiedzieć, że oglądaliśmy na własne oczy reprodukcję tragedji, która rozegrała się przynajmniej przed ośmiu tysiącami lat. Ale, rzecz prosta, do rozwoju takiej cywilizacji, jakiej ślady widzimy na każdym kroku, potrzeba było wielu tysięcy lat.

— W ten sposób - zakończył - rozszerzyliśmy horyzont historii ludzkości, jak żaden człowiek przed nami.

W miesiąc - według ziemskich obliczeń - po naszym przybyciu do zagrzebanego miasta, zdarzyło się w istocie coś zdumiewającego. Sądziłyśmy już w owym czasie, że nic nie zdoła nas poruszyć, ale fakt ten był zgoła nieoczekiwanym.

Scanlan pierwszy przyniósł nam wieść, że dzieje się coś niezwykłego. Masz wiedzieć, że w owym czasie czuliśmy się już w wielkim budynku, jak w domu; wiedzieliśmy, gdzie się znajdują sypialnie i sale przyjęć; słuchaliśmy koncertów (ich muzyka była bardzo dziwna i subtelna) i przedstawień teatralnych, w których żywe i dramatyczne gesty tłumaczyły jasno niezrozumiałe słowa; krótko mówiąc należeliśmy do społeczeństwa. Złożyliśmy szereg prywatnych wizyt, a życie upływało nam w spokoju i zadowoleniu, dzięki życzliwości tych dziwnych ludzi. Co do mnie, czułem się szczęśliwy w towarzystwie kobiety, o której już wspomniałem, a którą była Mona, córka jednego z wodzów plemienia. Rodzina jej przyjęła mnie z niezwykłą serdecznością mimo różnic

rasowych i językowych. To prawda że w stosunkach między kobietą i mężczyzną obowiązują od wieków te same prawa. Jestem pewny, że to, co się podobało mojej wybranej na dnie morza, przypadłoby do gustu i dziewczęciu z Kollegjum Browna w Massachusetts. Pod tym względem niema różnic między starożytną Atlantydą, a (nowoczesną Ameryką.

Ale wracam do Scanlana i jego opowieści.

- Przybiegł właśnie jakiś człowiek - mówił nasz mechanik - i to wzburzony, że zapomniał zdjąć z siebie szklaną osłonę. Paplał przez kilka minut, zanim zdał sobie sprawę, że nikt go nie może usłyszeć. Potem dopiero rozgadał się na dobre... Musi to być coś ważnego, bo wszyscy idą za nim do komory przygotowawczej. Wybieram się i ja z nimi.

Wybiegłszy z pokoju na korytarz, ujrzelśmy naszych przyjaciół, którzy śpieszyli gdzieś, żwawo gestykułując. Przyłączywszy się do pochodu, znaleźliśmy się wkrótce w tłumie ludzi, którzy zdążali za wzburzonym wysłannikiem przez morską równinę. Posuwali się tak szybko, że z trudem dotrzymywaliśmy im kroku; światło niesionych latarni ułatwiało nam jednak orjentację, ilekroć pozostaliśmy w tyle. Droga wiodła zrazu u podnóża bazaltowych skał. Potem przybyliśmy do schodów, zniszczonych przez ciągłe użycie i wiodących na wyżynę. Wszedłszy po nich, znaleźliśmy się między skałami, na terenie nierównym, który nastroczał poważne trudności dla idących, ze względu na liczne rozpadliny. Minąwszy wyżynę pokrytą lawą dawnego wulkanu, wydostaliśmy się na półkolistą płaszczyznę, jaśniejącą fosforycznym światłem, na której widniał jakiś wielki przedmiot. Ujrawszy go, stanąłem jak wryty. Z wyrazu twarzy moich towarzyszków wnosiłem, że i oni byli głęboko

wzruszeni.

Zaryty w muł, leżał wielki parowiec. Złamany komin jego zwisał ku dołowi pod jakimś dziwnym kątem. °rzedni maszt okrętu był strzaskany, a kadłub orzechylony na bok, zresztą jednak statek nie wykazywał żadnych uszkodzeń i wyglądał tak, jakby dopiero opuścił doki. Pośpieszyliśmy ku niemu. Możesz sobie wyobrazić nasze zdumienie, kiedy podszedłszy do rufy okrętu przeczytaliśmy napis: „Stratford, Londyn”. Statek nasz podążył w ślad za nami do Głębin Maracota.

V

Po pewnym czasie zrozumieliśmy, co się stało. Przypomnieliśmy sobie, że barometr spadał, że mijająca nas norweska barka miała zwinięte żagle i że na horyzoncie ukazała się ciemna chmura w chwili, kiedy nas spuszczano w morze. Niewątpliwie zerwał się straszliwy huragan i Stratford padł jego ofiarą. Załoga zginęła prawdopodobnie wraz z okrętem, gdyż większa część łodzi wisiała na dźwigach w stanie godnym politowania. Zresztą, któżby szukał ocalenia na łodziach w czasie cyklonu) Tragedja musiała się rozegrać w godzinę lub dwie po naszej katastrofie. Być może, że sonde, którą widzieliśmy, spuszczone bezpośrednio przed burzą. Jakżeż to dziwnie się złożyło, że nasza trójka pozostała przy życiu, a ci, którzy oplakiwali śmierć naszą, zginęli! Trudno rozstrzygnąć, czy statek unosił się przez pewien czas w górnych warstwach oceanu, czy też leżał od szeregu dni w miejscu, gdzie go teraz znaleźli mieszkańcy Atlantydy.

Biedny kapitan Howie, względnie to, co z niego pozostało, trwał jeszcze na swoim posterunku, na pomoście, trzymając się poręczy skostniałymi rękami. Oprócz jego ciała znaleźliśmy jeszcze tylko ciała trzech palaczy w oddziale maszyn. Wyniesiono je na nasze życzenie i pochowano w szlamie na dnie morza, strojąc grób ich kwiatami głębinowemu Wspominam o tem w nadziei, że przyniesie to ulgę pogrążonej w żałobie pani Howie. Nazwisk palaczy nie znaleźliśmy.

Tymczasem mali ludkowie buszowali po okręcie. Widać ich było wszędzie, jak muchy na serze. Wzburzenie i ciekawość, jaką okazywali, świadczyły, że był to pierwszy okręt nowoczesny - być może pierwszy parowiec - który spadł do nich. Dowiedzieliśmy się później, że ich aparaty do wytwarzania tlenu wewnątrz szklanych osłon nie pozwalały na przebywanie w wodzie dłużej nad kilka godzin tak, że oddalać się mogli od swej siedziby zaledwie o parę mil. Zabrali się odrazu do pracy, rozbijając kadłub okrętu i usuwając wszystko, co im się przydać mogło - proces bardzo długi i dotąd jeszcze nie ukończony. Postaraliśmy się również zabrać z naszych kabin pozostawione tam ubrania i książki, które nie uległy zniszczeniu.

Między innymi rzeczami ocaliliśmy księgę okrętową, prowadzoną aż do ostatniego dnia. I znaleźliśmy w niej ustęp odnoszący się do naszej katastrofy, który przyprawił nas o dziwne wzruszenie. Brzmiał, jak następuje:

„3 października. - Trzej dzielni, ale lekkomyślni awanturnicy spuścili się dziś, wbrew mojej woli, w klatce swojej na dno oceanu i stało się to, co przewidywałem. Panie, świeć nad ich duszami! Spuścili się o jedenastej przed południem, chociaż

nie byłem z tego zadowolony, gdyż zanosilo się na burzę. Żałuję teraz, że ich nie powstrzymałem, gdyż może nie przyszłoby do katasDofy. Pożegnałem każdego z nich z osobna z uczuciem, że go już nigdy nie zobaczę. Przez pewien czas wszystko szło dobrze... O jedenastej czterdzieści pięć osiągnęli głębokość trzystu węzłów i dotarli do dna. Dr. Maracot porozumiewał się ze mną kilka razy i nic nie wróżyło nieszczęścia, kiedy na de usłyszałem jego niespokojny głos i równocześnie ujrzałem, że ktoś pociąga za żelazną linę. W chwilę potem lina pękła. Zdaje się, że wisieli wówczas nad głęboką rozpadliną, gdyż na życzenie doktora statek powoli posuwał się naprzód. Rury powietrzne rozwijały się jeszcze przez jakieś pół mili, a potem zerwały się również. Zdaje się, że los Dra Maracota, Mra Headley'a i Mra Scanlana jest przypieczętowany.

A jednak muszę wspomnieć jeszcze o niezwykłym wydarzeniu, nad którego znaczeniem nie miałem czasu jeszcze się zastanowić, gdyż mam wiele zajęć w związku z grożącą burzą. Próbowaliśmy sondować dno morskie bezpośrednio po katastrofie i osiągnęliśmy głębokość dwudziestu sześciu tysięcy sześciuset stóp. Naturalnie, że ciężarek pozostał na dnie, ale wyciągnęliśmy drut i - rzecz niepojęta - razem z nim przyczepioną do porcelanowej podstawki chustkę Mr. Headley'a z jego inicjałami. Załoga nie może wyjść ze zdumienia, gdyż nikt nie ma pojęcia, jak się to stało. Napiszę o tym obszernie następnym razem. Przez kilka godzin staliśmy w miejscu, łudząc się, że coś wypłynie jeszcze na powierzchnię wody; wyciągnęliśmy również linę, której koniec był poszarpany. Ale muszę wydać rozporządzenia załodze, gdyż zbliża się straszna burza, a barometr

spada ciągle, chociaż wskazuje już 26,5”.

Tak brzmiały ostatnie wieści o naszych poprzednich towarzyszach. Cyklon, który zerwał się wkrótce potem, musiał zatopić statek jeszcze tego samego dnia.

Zatrzymaliśmy się obok okrętu czas dłuższy i dopiero uczucie duszności wewnątrz szklanych dzwonów i klucie w piersiach ostrzegło nas, że trzeba wracać. W drodze powrotnej przytrafiła się nam przygoda, świadcząca jasno, że lud głębinowy narażony był na wielkie niebezpieczeństwa. Zrozumieliśmy teraz, dlaczego, mimo upływu czasu, ludność podmorskiego miasta wynosiła najwyżej pięć tysięcy mieszkańców, wliczając w to greckich niewolników.

Zeszliśmy po schodach i maszerowaliśmy znowu brzegiem zarośli, wzdłuż pasma skał bazaltowych, kiedy Manda wskazał zaniepokojony na jednego z naszych towarzyszy, który oddalony był o kilkanaście kroków. Równocześnie on i otaczający go ludzie schowali się między wielkie głazy, pociągając nas za sobą. Dopiero teraz ujrzeliśmy przyczynę, zaniepokojenia. W pewnej odległości ponad nami widać było ogromną rybę, która szybko opuszczała się w dół. Potwór niezwykle kształtu, o białym podbrzuszu i długim, czerwonym ogonie przypominał z wyglądu pływającą pierzynę. Oczu i gęby jego nie było widać. Poruszał się z niezwykłą szybkością. Towarzysz nasz, który znajdował się na terenie otwartym, zamierzał również schronić się między głazy, ale było już za późno. Jego wykrzywiona ze strachu twarz świadczyła, że wie, co mu grozi. Straszliwe stworzenie spadło na niego i otoczyło go ze wszystkich stron; leżało na swojej ofierze, wgniatając ją w muł. Tragedja rozegrała się

w odległości kilku jardów od nas, a jednak towarzysze nasi byli tak zaskoczeni, że stracili głowę. Dopiero Scanlan wypadł i wskoczywszy na szeroki, pokryty czerwonymi i brunatnymi cętkami grzbiet potworą, zagłębił ostrze swej metalowej laski w jego miękkim ciele.

Poszedłem za przykładem Scanlana - a w końcu Maracot i inni zaatakowali straszliwe stworzenie, które uniosło się powoli w górę, pozostawiając za sobą smugę oleistej, śluzowej wydzieliny. Ale pomoc nasza przyszła za późno, gdyż szklany dzwon Atlantyczyjka pękł pod ciężarem wielkiej ryby, co spowodowało śmierć nieszczęśliwego. Był to dzień żałoby, kiedy ciało jego zaniesiono do Schronu, ale był to zarazem dzień triumfu dla nas, gdyż nasza energiczna pomoc wzbudziła szacunek w mieszkańcach Atlantydy, Co do dziwnej ryby, zdaniem Maracota, była to znana dobrze ichtjologom płaszczka, ale wprost potwornych rozmiarów.

Wspomniałem o tern stworzeniu, ponieważ stało się powodem tragedji, mógłbym jednak - i prawdopodobnie napszę książkę o cudownem życiu, jakieśmy pędzili. Przeważającymi barwami w głębi morza jest czerwień i kolor czarny podczas gdy rośliny są barwy blado oliwkowej i mają tak silne utkanie, że dragi nasze nie mogą wydobyć na powierzchnię wody poszarpanych ich części; wprowadziło to w błąd uczonych, którzy uważają dno oceanu na nagie i pozbawione vegetacji. Pewne morskie odmiany są uderzająco piękne, a inne tak groteskowe w swojej brzydocie i tak groźne, jakby były wytworami gorączkującego umysłu. Widziałem czarną raję z ogonem zaopatrzonym w potężny szpon, którego ukłucie mogło zabić każde żywe

stworzenie. Widziałem również podobne do ropuchy zwierzę z wybałuszonymi, zielonymi oczyma, które składa się właściwie z rozdziawionej paszczy i olbrzymiego żołądka poza nią. Spotkanie z nią grozi również śmiercią, chyba, że odstraszy je blask elektrycznej latarki. Widziałem ślepego, czerwonego węgorza, który leży między kamieniami i zabija wystrzykiwaną przez siebie trucizną, i widziałem również olbrzymiego skorpiona morskiego, postrach mieszkańców głębin oraz czyhającą między wodorostami rybę-wiedźmę.

Raz udało mi się ujrzeć prawdziwego węża morskiego, zwierzę, które pokazuje się rzadko ludzkim oczom, gdyż żyje w wielkich głębinach i wypływa na powierzchnię morza tylko, o ile przestraszy je wybuch jakiegoś podwodnego wulkanu. Dwa z nich przepłynęły, a raczej prześlizgnęły się pewnego dnia koło mnie i Mony, iciedy rozmawialiśmy w krzewach blaszeczniczy. Były olbrzymie - grube na jakie dziesięć stóp, a długie na stóp dwieście, czarne na grzbiecie, srebrzystobiałe pod spodem, z małymi oczami, nie większymi niż u wolu. Opisuje je szczegółowo, głównie jak i szereg innych okazów, dr. Maracot w sprawozdaniu, które podąży tą samą drogą, co mój list do ciebie.

Tydzień upływał za tygodniem w naszym nowem życiu. Stało się ono bardzo przyjemne, gdyż zwolna uczyliśmy się tego dawno zapomnianego języka naszych towarzyszy. Przedmiotów do studjów i rozrywki w Schronie nie brakowało, a Maracot zdążył już opanować zasady starożytnej chemji do tego stopnia, że, jak sam głosi, mógłby zmienić zapatrywania ludzi na szereg zagadnień, gdyby się mu udało przesłać im zdobyte w

Atlantydzie wiadomości.

Między innymi Atlantyj czycy nauczyli się rozkładać atomy, a chociaż energia uzyskana tą drogą jest mniejsza, niż przewidywali nasi uczeni, wystarcza im jednak do najrozmaitszych potrzeb. Znają się oni również o wiele lepiej od nas na naturze i własnościach eteru... I tak, niepojęta dla nas przemiana myśli na obrazy, przy pomocy której opowiedzieliśmy im naszą historję, a oni nam, polega na umiejętnem zmaterializowaniu fal eteru.

A jednak, mimo ich wiedzy, pewne szczegóły w związku z nowoczesnemi odkryciami naukowemi były dla nich czemś zupełnie nieznanem.

Dziełem Scanlana było wykazywanie im tego. Przez szereg tygodni żył on jakby w gorączce, ukrywając przed wszystkimi swoją wielką tajemnicę i śmiejąc się sam do siebie na myśl o ujawnieniu jej w przyszłości. W tym czasie widywaliśmy go bardzo rzadko, gdyż był ciągle zajęty. Towarzyszem jego i powiernikiem był tłusty i jowialny Atlantyjczyk, nazwiskiem Berbrix, który pilnował jakiejś zbudowanej przez Soanlana maszyny. Porozumiewali się oni wprawdzie tylko na migi, ale nie przeszkadzało im to w zawarciu serdecznej przyjaźni tak, że obecnie przebywali stale razem. Pewnego wieczoru przyszedł do nas Scanlan z twarzą rozpromienioną.

— Chciałbym, panie doktorze - rzekł do Maracota - pokazać tym ludziom coś ciekawego. Jesteśmy do tego zobowiązani, gdyż oni wprawili nas kilka razy w zdumienie. Czy nie możnaby ich zaprosić wieczorem na przedstawienie?

— Charlestona, czy jazzbandu? - zapytałem.

— Charleston, to nic. Zobacz pan sam. Nie powiem więcej ani słowa, dopóki wszystkiego nie przygotuję.

W istocie, ludność zebrała się następnego wieczoru w znanej nam sali. Scanlan i Berbrix stali na platformie, dumni i zadowoleni. Jeden z nich przycisnął guzik i...

— Tu Londyn - zawołał jakiś czysty głos. - Londyn do Wysp Brytyjskich. - Nastąpiło zwyczajne sprawozdanie meteorologiczne. - Ostatnie wiadomości: Jego Królewska Mość dokonał dziś rano otwarcia Szpitala dla dzieci w Hammersmith - i t d. Byliśmy znowu w Anglii, znów braliśmy udział w jej pracy i codziennych zajęciach. Potem nastąpiły wiadomości z zagranicy, wiadomości sportowe.. Stary świat nic się nie zmienił. Nasi przyjaciele Atlantyjczycy słuchali zdumieni, ale nic nie rozumieli. Kiedy jednak po codziennych komunikatach orkiestra wojskowa zagrała marsza z „Lohengrina”, okrzyk zadowolenia wydobył się z piersi zebranych. Zaciekawieni, wstąpili na platformę i uchylwszy zasłony, zaczęli szukać za ekranem źródła muzyki. Tak jest, wycisnęliśmy na cywilizacji podmorskiej piętno niezatarte.

— Nie, sir - rzekł nam później Scanlan. - Nie mogłem zbudować stacji nadawczej. Nie mają materiału, zresztą nie wieai, jak się do tego zabrać. Ale w domu mam aparat odbiorczy dwulampowy; nauczyłem się obchodzić z nim i wiem, jak jest zrobiony. Nie wątpię, że mając do rozporządzenia prąd elektryczny, a nad głowami szklany dach, który może zastąpić antenę, uda mi się schwytać fale eteru, przechodzące przez wodę równie łatwo, jak przez powietrze. Stary Berbrix o mało nie zwarjował, kiedy nawiązaliśmy po raz pierwszy łączność ze światem, ale uspokoił się wkrótce i teraz umie obchodzić się z aparatem doskonale.

Chemicy starożytnej Atlantydy znali między

innymi gaz dziewięć razy lżejszy od wodoru który Maracot nazwał levigenem. Jego doświadczenia z tym gazem nasunęły nam myśl wysłania na powierzchnię oceanu kuli szklanych z wiadomościami o naszych losach.

- Porozumiałem się w tej sprawie z Mandą - rzekł Maracót. - Wydał on odpowiednie rozkazy i za dzień lub dwa kule będą gotowe.

— Ale w jaki sposób prześlemy w nich wieści o nas?

— W każdej kuli znajduje się mały otwór dla doprowadzenia gazu. Tędy włożymy papiery. Potem robotnicy zamkną otwór. Jestem pewny, że puszczone wolno wypłyną na powierzchnię wody.

— I pływać będą niezauważone przez całe lata.

— Być może. Ale powierzchnia kul będzie odbijać promienie słońca. To napewno zwróci uwagę. Byliśmy na linii okrętów krążących między Europą a Południową Ameryką. Nie widzę powodu, aby w razie wysłania kilku kul, któraś z nich nie została znaleziona.

— To tłumaczy, drogi mój Talbocie i wy wszyscy, którzy będziecie czytać to opowiadanie, w jaki sposób dostało się ono w wasze ręce. Ale chodzi tu o sprawę poważniejszą. Jest to pomysł amerykańskiego mechanika.

— Słuchajcie, przyjaciele - rzekł on, kiedy pewnego razu siedzieliśmy sami w naszym pokoju. - Jest nam tu dobrze; jedzenia i picia nie braknie, ludzie są bardzo ciekawi, ale czasami ogarnia mnie tęsknota za ojczyzną.

— I my tęsknimy za nią - rzekłem - ale nie mam sposobu, jak temu zaradzić.

— Sprawa prosta! Jeśli te wypełnione gazem

kule mogą przewieźć wiadomości od nas, mogłoby przewieźć i nas samych. Nie są to żarty, gdyż zdaje mi się, że przez połączenie kalku kul dałoby się stworzyć dźwig odpowiedni do tego celu. Potem włożylibyśmy nasze szklane dzwony, przywiązali się do kul i jazda! Cóż się nam może przytrafić w drodze na powierzchnię? - Rekiny.

- Eh! Głupstwo. Przelecimy tak prędko koło każde go rekina, że nas nawet nie zauważy. Wyobrażam sobie zdziwienie człowieka, który zobaczy nas wyskakujących z morza.

- Przypuściwszy jednak, że to możliwe, co się stanie później?

- Mniejsza z tem. Trzeba spróbować szczęścia. Ja jestem gotów zaryzykować.

- I ja pragnę gorąco wrócić do ojczyzny, chociażby celem przedłożenia rezultatów naszej wyprawy moim uczonym kolegom - rzekł Maracot. - Tylko moja obecność przekona ich o prawdziwości zebranych przeze mnie szczegółów. Zgadzam się na projekt Scanlana.

Być może, że błyszczące oczy Mony wpłynęły na to, że nie zapaliłem się do pomysłu naszego mechanika.

— Nie postępujmy lekkomyślnie. O ile nie wyłowi nas statek, czekający na nasze zjawienie się, zginiemy z głodu i z pragnienia.

— Ależ, w jaki sposób możemy nakazać komuś, aby nas oczekiwał?

- Dałoby się to urządzić - rzekł Maracot. - Wystarczy podać dokładną szerokość i długość geograficzną gdzie przebywamy.

— Wtedy spuszczoneby drabinę - rzekłem z przekąsem.

— Na co drabina? Doktor ma słuszość. Pan, Mr. Headley, wysła list do świata - widzę już, jak gazety rozpisują się o jego znalezieniu - że jesteśmy pod 27 stopniem szerokości północnej i 28.14 stopniem długości zachodniej. Potem doda pan, że trzech znakomitych ludzi, wielki uczony Maracot, wschodząca gwiazda, zbieracz owadów Headley i Bob Scanlan, chluba warsztatów w Merribank, proszą o pomoc z dna morskiego. Rozumiesz pan?

- Tak. No i co?

- Reszta należy do nich. Jest to wezwanie, którego „niepodobna zlekceważyć; coś podobnego czytałem o Stanley’u i Livingstonie. Ich rzeczą będzie wydobyć nas z morza lub czekać w oznaczonym przez nas miejscu, dopóki sami tego nie dokonamy.

- Możemy im pracę ułatwić - rzekł profesor. - Napisz pan, aby spuścili na dno morza ołowiankę, a będziemy jej szukać. Znalazłszy ją, przywiążemy do końca liny list z prośbą, aby na nas czekali.

- Doskonale! - zawołał Bil Scanlan. - Tak będzie najlepiej.

- A gdyby jakaś kobieta zechciała wybrać się razem z nami sądzą, że to sprawy nie zmieni - rzekł Maracot, patrząc na mnie z szelmowskim uśmiechem.

- Tak; jedna lub dwie osoby więcej, to sprawy nie zmieni - rzekł Scanlan. - A teraz, do dzieła, Mr. Headley! Napisz pan list, a za sześć miesięcy będziemy znowu w Londynie.

Przyszła chwila wrzucenia naszych dwóch kul do wody, która jest dla nas tem, czem dla was powietrze. Baloniki nasze popłyną w górę. Czy

osiągną swój cel? Być może. Zdajemy się na łaskę Opatrzności. Jeśli projekt nasz okaże się niewykonalnym, niechaj znajomi i przyjaciele dowiedzą się przynajmniej, że jesteśmy zdrowi i szczęśliwi. A jeśli pomysł da się urzeczywistnić przy nakładzie energii i pieniędzy, wskazówki przesłane w tym liście, przyczynią się do uwieńczenia starań pomyślnym rezultatem. Tymczasem, żegnajcie nam - lub może dowidzenia?

Tak kończyło się opowiadanie, znalezione w szklanej kuli. Odnosi się ono do faktów znanych w owym czasie ogółowi. Kiedy dokument znajdował się już w rękach zecera przyszło jednak do nieoczekiwanego i sensacyjnego epilogu. Mam na myśli uratowanie członków wyprawy przez yacht parowy Mr. Favergera „Marion” i opis jego przesłany przez okrętową stację telegrafu bez drutu, przejęty przez stację na Wyspach Zielonego Przylądka i przekazany dalej do Europy i Ameryki. Opis uratowania awanturników jest dziełem Mr. Key Osborna, znanego przedstawiciela Prasy Zjednoczonej.

Zdaje się, że zaraz po wysłaniu, do Europy pierwszych wiadomości o losie Dra Maracota i jego przyjaciół, zorganizowano po cichu ekspedycję celem ich uratowania. Mr. Favenger oddał do dyspozycji członków wyprawy swój słynny yacht parowy i wybrał się sam w podróż. „Marion” wyjechała z Cherbourga w czerwcu, zabrała na pokład w Southamptonie Mr. Keya Osborna oraz operatora kinowego i ruszyła do miejsca, oznaczonego w dokumencie oryginalnym. Cel swój osiągnęła pierwszego lipca.

Spuszczono cienką linę do sondowania; na końcu jej obok ciężkiej ołowianki zawieszono

flaszkę z listem, który brzmiał, jak następuje:

„Sprawozdanie o losach waszej wyprawy zostało znalezione. Przybyliśmy, aby wam pomóc. Wiadomość tę przesyłamy również telegrafem bez drutu w nadziei, że ją odbierzecie. Będziemy krążyć w tej okolicy. Po odczepieniu flaszki przyślijcie nam w niej odpowiedź. Zastosujemy się do waszych wskazówek.

Przez dwa dni „Marion” krążyła powoli w różnych kierunkach - bez rezultatu. Trzeciego dnia spotkała uczestników wyprawy ratunkowej wielka niespodzianka. Mała, błyszcząca kula wyskoczyła z wody w odległości kilkuset jardów od okrętu. Zawierała ona, jak się okazało, list, który wydobyła z pewną trudnością. Brzmiał w ten sposób:

„Dzięki, drodzy przyjaciele. Oceniamy w całej pełni waszą szlachetność i energię. Wiadomości telegrafem bez drutu otrzymujemy bez trudu. Próbowaliśmy pochwycić waszą linę, ale prądy podmorskie unoszą ją w górę, posuwa się zresztą z szybkością, której sprostać nie możemy. Mamy zamiar wykonać plan nasz jutro o szóstej rano t.j. o ile nie mylimy się w rachubach, we wtorek 5-go lipca. Będziemy przybywać pojedynczo tak, że wszelkie spostrzeżenia, możecie przesłać drogą telegraficzną tym, którzy przybędą później. Przyjmijcie raz jeszcze serdeczne podziękowania.

Maracot, Headley, Scanlan.”

A teraz oddaję głos Mr. Osbornowi:

Był to piękny poranek, czyste, błękitne niebo przeglądało się w szafirowej toni morza. Cała załoga „Marion” wyległa na pokład bardzo wcześnie, oczekując z zainteresowaniem wypadków. W miarę, jak zbliżała się godzina szósta ogarniało nas coraz większe zdenerwowanie. Na maszcie sygnałowym okrętu umieszczono strażnika, który na pięć minut przed oznaczonym terminem zwrócił naszą uwagę głośnym okrzykiem na wodę po lewej stronie yachtu. Zebraliśmy się na lewym pokładzie, a mnie udało się wsiąść do jednej z łodzi, skąd widziałem wszystko doskonale. Ujrzałem wówczas w toni morskiej jakby srebrzystą bańkę mydlaną, która zbliżała się z niezwykle szybkością. Wyskoczyła ponad powierzchnię wody w odległości około dwustu jardów od okrętu i wzniosła się w górę, poczem porwana prądem powietrza popłynęła z wiatrem, jak balon. Był to ciekawy widok, ale przyglądaliśmy się mu zaniepokojeni, gdyż zdawało się nam, że rzemień pękł i ciężar przymocowany do kuli - która miała niespełna trzy stopy średnicy - oderwał się od niej w drodze na powierzchnię. Nadaliśmy natychmiast depeszę tej treści:

„Wysłana przez was kula ukazała się tuż przy okręcie. Nie była miczem obciążona i uleciała z wiatrem”.

Tymczasem spuściliśmy łódź na morze i oczekiwaliśmy dalszych wydarzeń.

W kilka minut po szóstej strażnik nasz dał znowu sygnał i w chwilę później ujrzałem drugą srebrzystą kulę, wypływającą z otchłani o wiele wolniej, niż poprzednia. Wydostawszy się na powierzchnię, uniosła się w górę, ale opadła zaraz, gdyż przytwierdzony do niej ciężar pozostał w

wodzie. Okazało się, że ciężarem tym był wielki wór z rybiej skóry, wypełniony książkami, papierami i najrozmaitszymi przedmiotami. Wyciągnęliśmy go na pokład i potwierdzili jego odbiór telegrafem bez drutu, oczekując z niecierpliwością następnej przesyłki.

Nie czekaliśmy długo. Nowa srebrzysta bańka, nowe załamanie się powierzchni morza, ale tym razem błyszcząca kula wyskoczyła wysoko w powietrze, unosząc - ku wielkiemu naszemu zdumieniu - smukłą postać kobiecą. Ale wyrzucił ją w górę tylko rozpęd i w chwilę później przyciągnęliśmy ją do okrętu. Do szklanej kuli przytwierdzony był skórzany pierścień, a odchodzące od niego rzemienie łączyły się z szerokim pasem wokół kibici kobiety. Górną część ciała jej pokrywała osłona szklana w kształcie gruszki... Mówię szklana, chociaż zrobioną była z tego samego twardego materiału, co przejrzysta kula. Ta szklana pokrywa przytwierdzoną była do piersi i grzbietu kobiety, przylegając szczelnie w miejscu zetknięcia się z ciałem, a wewnątrz jej znajdował się wspomniany w rękopisie Headley'a nieznanym lecz prostym i praktycznym preparatem chemicznym do wytwarzania powietrza. Po zdjęciu dzwonu oddechowego - co nastęczało pewne trudności - przeniesiono kobietę na pokład. Była bezprzytomna, ale regularny oddech świadczył, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo i że wkrótce przyjdzie do siebie po wstrząsie, wywołanym szybką podróżą i zmianą ciśnienia. Ten ostatni czynnik nie mógł odgrywać większej roli, gdyż ciśnienie powietrza wewnątrz osłony było znacznie większe, niż ciśnienie naszej atmosfery, ale utrzymywało się mniej więcej na tej wysokości, która umożliwia

jeszcze oddychanie. Prawdopodobnie jest to kobieta znana z rękopisu Headley'a pod nazwiskiem Mona. Sądząc po niej, rasa Atlanty języków zasługuje w zupełności na sprowadzenie z powrotem na ziemię. Ma śniadą cerę, rysy piękne i regularne, długie, czarne włosy i wspaniałe oczy, które przygląda się nam teraz z niekłamanym zdziwieniem. Przybrana jest w jasną tunikę i przystrojona muszlami oraz ozdobami z perłowej macicy, wpiętymi również we włosy. Nie można sobie wyobrazić piękniejszej morskiej Najady. Ma wszelkie cechy tego tajemniczego i imponującego żywiołu. Obserwowaliśmy, jak z wolna przychodziła do siebie; ocknąwszy się z omdlenia, zerwała się nagle na równe nogi i z żywością młodej sarenki pobiegła do burty. - Cyrus! Cyrus! - zawołała.

Tymczasem wysłaliśmy do pozostałych na dnie morza uspokajającą depeszę. Teraz przybywali już w krótkich odstępach jeden za drugim, wyskakując w powietrze na trzydzieści lub czterdzieści stóp i spadając w morze, skąd wydobywaliśmy ich natychmiast. Wszyscy trzej byli bezprzytomni, a Scanlan krwawił z uszu i z nosa, - ale odzyskali zmysły w krótkim czasie. Charakteryzuje ich najlepiej pierwsza czynność po powrocie. Scanlan poszedł w gronie śmiejących się marynarzy do baru, skąd słychać obecnie wesołe okrzyki. Dr. Maracot wyjął ze skórzanego worka zwój papierów, wyciągnął jakiś dokument pokryty znakami algebraicznemu i zniknął w swojej kajucie, podczas gdy Cyrus Headley pobiegł do tajemniczej nimfy i jak mi donoszą, zachowuje się tak, jakby nie miał zamiaru rozłączyć się z nią już nigdy. Tak sprawy stoją. Mam nadzieję, że nasza słaba

stacja nadawcza zdoła przesłać wieści o uratowaniu członków wyprawy Maracota do Wysp Zielonego Przylądka; szczegóły tej cudownej ekspedycji zostaną podane do wiadomości ogółu dopiero później, a to, jak sądzę, przez samych jej członków.

WŁADCA CIEMNOŚCI. I.

Niebezpieczeństwa morskiej głębin.

Bardzo wielu ludzi pisało zarówno do mnie, Cyrua Headley'a, stypendysty Rhodesa w uniwersytecie oksfordzkim, jak i do profesora Maracota, a nawet do Billa Scanlana, gdyż nasze cudowne przygody na dnie Oceanu Atlantyckiego w odległości dwustu mil na południowy wschód od wysp Kanaryjskich, stały się nie tylko powodem rewizji poglądów na życie w głębi morza i panujące w niem ciśnienie, lecz doprowadziły także do odkrycia resztek zamierchłej cywilizacji, która mimo niezwykle trudnych warunków przetrwała aż do obecnych czasów. W listach tych domagano się od nas ustawicznie podania dalszych szczegółów naszych przeżyć. Pragnę podkreślić że chociaż pierwotne moje sprawozdanie było z konieczności bardzo powierzchowne, nie pominąłem w niem prawie żadnego ważniejszego wydarzenia. Jednakże o pewnych faktach nie wspomniałem celowo. Mam tu na myśli przede wszystkim epizod z Władcą Ciemności. W ścisłym związku z nim pozostają pewne wydarzenia, które doprowadzały nas do wniosków tak dziwnych, że wszyscy bez wyjątku uznaliśmy za wskazane o epizodzie tym narazie nie wspominać. Dziś jednak, kiedy Nauka przyjęła do wiadomości nasze sprawozdanie, a społeczeństwo przyjęło już moją narzeczoną - nikt nie może zarzucać nam kłamstwa. Skłania mnie to do ogłoszenia opowiadania, które z początku wywołałoby zapewne ogólny niesmak - Jednakże zanim przystąpię do opisanie tego budzącego grozę wydarzenia, przytoczę kilka wspomnień z okresu

naszego pobytu w zagrzebanej stolicy Atlanty języków, którzy dzięki swoim przezroczystym i zawierającym powietrze osłonom mogą spacerować po dnie oceanu równie swobodnie, jak mieszkańcy Londynu po Hyde-Parku.

Bezpośrednio po naszym straszliwym upadku w otchłań i ocaleniu nas przez mieszkańców Schronu, byliśmy tam raczej więźniami niż gośćmi. Pragnę opisać teraz, w jaki sposób się to zmieniło i jak dzięki doktorowi Maracotowi zyskaliśmy sławę, która przetrwała w dziejach tego narodu dziesiątki lat i każe im czcić nas jak nadziemskie istoty. Ponieważ zaś nie wiedzą, w jaki sposób opuściliśmy Atlantyde - zapewne nigdyby się na to nie zgodzili - jestem przekonany, że uwierzyli obecnie w powrót nasz w sfery niebiańskie, dokąd zabraliśmy z sobą najpiękniejszą ich przedn stawicielkę.

Pragnę opisać teraz pokolei pewne osobliwości tego cudownego świata i niektóre z naszych przygód, zanim przejdę do najwybitniejszej z nich - zjawienia się Władcy Ciemności i związanych z nim niezapomnianych wrażeń. Czasami żałuję, że nie pozostaliśmy dłużej w Głębinie Maracota, gdyż było tam wiele tajemnic i rzeczy dla nas aż do końca niezrozumiałych tean bardziej, że uczyliśmy się języka Atlantyjczyków bardzo prędko i wkrótce moglibyśmy zebrać o wiele więcej wiadomości.

Doświadczenie nauczyło tych ludzi, co było groźnem, a co nieszkodliwym. Przypominam sobie, że pewnego dnia zaalarmowano niespodziewanie mieszkańców Schronu i wszyscy wyruszyli w powietrznych dzwonach na podmorską równinę. Przyłączyliśmy się do nich, nie wiedząc nawet, gdzie i po co biegniemy. Na twarzach otaczających nas

ludzi można było czytać grozę i niepokój. Na równinie spotkaliśmy garść greckich robotników, którzy śpieszyli z kopalni węgla w stronę bramy naszej osady. Szli z takim pośpiechem i byli tak zmęczeni, że potykali się co chwilę. Nie ulegało wątpliwości, że odgrywaliśmy rolę wyprawy ratunkowej, której celem było użyczenie pomocy wyczerpanym i pozostającym w tyle. Nie widzieliśmy śladu przygotowań do obrony przed grożącym niebezpieczeństwem. Skoro ostatni robotnik znalazł się za bramą, spojrzałem w stronę, skąd uciekali, ale zobaczyłem tylko dwa zielonawe obłoki, błyszczące w cieniu, a postrzępione na kraju, które raczej płynęły niż poruszały się w naszym kierunku. Na ich widok - chociaż oddalone były o dobre pół mili - towarzyszących naszym ogarnęła panika. Zaczęli dobijać się do bramy, aby dostać się do środka jak najprędzej. Zbliżenie się tych tajemniczych obłoków budziło w istocie niepokój, ale pompy działały sprawnie i wkrótce byliśmy znowu bezpieczni. Ponad bramą Schronu znajdował się wielki blok z przejrzystego kryształu, długi na dziesięć, a szeroki na dwie stopy. Światłem tak umieszczonym, że promienie jego przenikały na zewnątrz. Kilku z nas - między nimi i ja - wspięło się po drabinach, przygotowanych w tym celu i wyjrzało przez to zaimprovizowane okno. Tajemnicze zielonawe kręgi świetlne zatrzymały się przed bramą. Widząc to, Atlantyjczycy zaczęli drżeć ze strachu. Jedno z mglistych stworzeń przed bramą podpłynęło do naszego kryształowego okna. Towarzysze kazali mi momentalnie przykucnąć, zdaje się jednak, że nie zdołałem uchronić części moich włosów od szkodliwego wpływu promieni wysyłanych przez te tajemnicze stworzenia. Włosy,

które dostały się w obręb ich działania są do dzisiejszego dnia siwe i martwe.

Na otwarcie bramy odważyli się Atlantyjczycy dopiero po dłuższym czasie, a kiedy wreszcie wysłano człowieka na zwiady, towarzysze żegnali się z nim, jak z bohaterem. Przyniósł on pomyślne wieści i wkrótce radość zapanowała w Schronie, którego mieszkańcy zapomnieli, jak się zdawało, niebawem o tych niezwykłych odwiedzinach.

Z często powtarzanego wyrazu „Praxa” wnosiliśmy tylko, że tak zwało się to groźne stworzenie. Zjawienie się jego przyprawiło o radość jedynie profesora Maracota, który zaledwie dał się powstrzymać od wybrania się na wycieczkę z małą siatką i szklanym naczyniem. „Nowy gatunek, częścią organiczny, częścią gazowy, ale bezsprzecznie obdarzony rozumem”, tak brzmiało jego określenie. „Twór z piekła rodem” - epitet ten nie mający pretensji do ścisłości naukowej, pochodzi od Scanlana.

W dwa dni później, na wyprawie zorganizowanej celem zbadania terenu, natrafiliśmy niespodziewanie na leżące między wodorostami ciało jednego z robotników z kopalni węgla, który bez wątplenia nie zdążył uciec przed temi tajemniczymi stworzeniami. Oslaniający go szklany dzwon był rozbity - co świadczy o działaniu ogromnej siły, gdyż przejrzysta ta substancja jest niezwykle twarda, jak przekonali się ci wszyscy, którzy znaleźli pierwotny mój dokument. Człowiek ten miał wydłubane oczy, ale zresztą na ciele jego nie było żadnej rany.

- Wyśmienity przysmak! - rzekł profesor po naszym powrocie. - W Nowej Zelandji żyje jastrząb,

który zabija jagnięta tylko dlatego, że lubi ich tłuszcz w okolicy nerki. Podobnie to stworzenie zabija człowieka dla jego oczu. W górze pod nieboskłonem i w głębi wód Przyroda zna tylko jedno prawo, a prawem tym jest, niestety, bezwzględne okrucieństwo.

W głębinach oceanu spotykaliśmy się często z przykładami tego strasznego prawa. I tak, przypominam sobie, że niejednokrotnie widzieliśmy w miękkim mule ciekawą brózdę, jakby po dnie morskim toczono beczkę. Pokazywaliśmy ją naszym towarzyszom, a kiedy poduczyliśmy się już ich języka, próbowaliśmy się dowiedzieć czegoś o tym stworzeniu. Nazwa jego brzmiała w ustach Atlanty języków tak dziwnie, że nie silę się na powtórzenie go w żadnym europejskim języku i przy pomocy żadnego europejskiego alfabetu. Krixchok byłoby może najbliższym prawdy określeniem. Co do wyglądu jego posłużyliśmy się, jak w każdym wątpliwym przypadku, myślowym reflektorem Atlanty języków, przez który przyjaciele nasi rzucali na ekran to wszystko, co sobie wyobrażali. Przy pomocy tego przyrządu pokazali nam oni obraz dziwnego zwierzęcia morskiego, które profesor sklasyfikował jako olbrzymiego ślimaka. Było to zwierzę potwornych rozmiarów, kształtu kielbasy, z oczyma uszypułkowanymi, porośnięte gęstym włosiem czy szczeciną. Pokazujący nam jego podobiznę Atlantyńczycy starali się podkreślić przy pomocy gestów, że budzi w nich ono przemożny strach, zmieszany ze wstrętem,

Ale wszystko to, jak mógł przewidzieć każdy, znający Maracota, rozbudziło w nim tylko żądę wzbogacenia swoich wiadomości i kazało tembardziej szukać sposobów spotkania się z

nieznanym potworem. To też nie zdziwiłem się, kiedy w czasie naszej następnej wycieczki, profesor zatrzymał się w miejscu, gdzie widniały w mule ślady zwierzęcia i skierował swe kroki w stronę gęstwiny morskich wodorostów, ku bazaltowym skałom, dokąd zdawały się prowadzić. Z chwilą opuszczenia przez nas równiny ślady, rzecz prosta, zniknęły, ale znaleźliśmy między skałami wąską rozpadlinę, która zdawała się wieść do gniazda potwora. Wszyscy trzej uzbrojeni byliśmy w używane przez Atlantyjczyków ostre kije, ale wydawały mi się one zbyt słabą bronią przed nieznanym napastnikiem. Jednakże profesor szedł ciągle na przód, musieliśmy mu zatem towarzyszyć.

Wąwóz wiódł w górę, a ściany jego utworzone były przez potężne głązy wulkanicznego podchodzenia, pokryte długimi wstęgami czerwonej i czarnej blaszecznicy, która jest charakterystyczną dla największych głębin oceanu. Tysiące przepięknych zachw i szkarłupni o najróżnorodniejszych barwach i kształtach widniało w gąszczu tych zarośli, gdzie kryły się całe legjony skorupiaków i niższych gatunków żyjątek. Posuwaliśmy się krok za krokiem, gdyż wędrówka po dnie morskiem jest zawsze uciążliwą, zwłaszcza pod górę. I nagle ujrzeliśmy poszukiwane przez nas zwierzę. Przyznaję, że widok jego nie budził zaufania. Potwór wychylił się połową ciała z gniazda, które mieściło się w skalnym zagłębieniu. Pięć stóp włochatego cielska widać było doskonale; widzieliśmy również, jego oczy wielkości talerzy, żółte, błyszczące jak agaty, które obracały się zwolna na długich szypułach, wypatrując zbliżających się do niego śmiałków. Potem zaczął rozwijać się powoli, kurcząc i rozkurczając potężne swoje cielsko na

podobieństwo gąsienicy.. Raz podniósł głowę, która zawisała na wysokości czterech stóp ponad kamienistym dnem, jakby chciał się nam dokładnie przypatrzeć i wówczas ujrzałem na karku jego coś, co przypominało z barwy, kształtu i ogólnego wyglądu stare podeszwy pantofli tenisowych. Nie wiedziałem, co by to być mogło, ale zwierzę udzieliło nam wkrótce lekcji pogładowej, demonstrując użyteczność tego narządu.

Profesor wyciągnął rękę uzbrojoną w kij i przybrał postawę wojowniczą. Nadzieja upolowania nieznanego zwierzęcia wypędziła trwogę z jego serca. Scanlan i ja czuliśmy się mniej pewni, ale nie mogliśmy się cofnąć. Zwierzę przyglądało się nam przez czas dłuższy, a potem zaczęło zwolna i niezdarnie czołgać się w naszą stronę, torując sobie drogę wśród głazów i wznosząc od czasu do czasu w górę swe uszypulowane oczy, jakby się chciało przekonać, co robimy. Poruszało się tak powoli, że przestaliśmy się lękać, gdyż mogliśmy uciec przed nim z łatwością w każdej chwili. A jednak w nieświadomości naszej igraliśmy ze śmiercią.

Jedynie Opatrzności zawdzięczamy nasze ocalenie. Zwierzę zbliżało się bardzo powoli i było już od nas oddalone zaledwie o sześćdziesiąt jardów, kiedy jakaś wielka ryba wypłynęła z gęstwiny alg po naszej stronie wąwozu, sunąc jak strzała, w przeciwnym kierunku. Znajdowała się właśnie w połowie drogi między nami i zwierzęciem, kiedy, jakby piorunem rażona, zadrżała i spadła nieżywa głową na dół na dno rozpadliny. Równocześnie ciłami naszymi wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz i kolana ugięły się pod nami... Stary Maracot zorientował się w jednej chwili. Zwierzę obdarzone było własnością wysyłania fal elektrycznych, przy

pomocy których zabijało swą zdobycz i kije nasze były w walce z niem bronią zupełnie bezużyteczną. Gdyby nie szczęśliwy przypadek, że ryba ściągnęła na siebie ładunek elektryczności, czekalibyśmy do chwili, kiedyby było w stanie skierować na nas swoją baterję, co przyprawiłoby nas o śmierć nieuchronną. Uciekaliśmy, co sił starczyło, przyrzekając sobie zostawić raz na zawsze w spokoju olbrzymiego elektrycznego robaka.

Ale istniały jeszcze groźniejsze zwierzęta głębinowe. Jednym z nich był mały hydrops ferox, jak go nazwał profesor. Była to czerwona ryba, nie większa od śledzia z ogromną gębą i rzędem groźnych zębów. W zwyczajnych okolicznościach była zupełnie nieszkodliwą, ale najmniejsza ilość krwi przyciągała ją i wówczas ofiara ginęła bez ratunku, rozszarpana przez roje atakujących. Pewnego razu byliśmy świadkami śmierci robotnika w kopalni, który skaleczył się w rękę. W jednej chwili tysiące tych ryb, nadpływając ze wszystkich stron rzuciły się na niego. Napróżno padł na ziemię i zaczął się bronić; napróżno przerażeni jego towarzysze odpędzali je przy pomocy kijów i łopat. Zginął w tłumie otaczających go ryb. Przed chwilą był to jeszcze człowiek. W kilkanaście sekund była to już tylko czerwona masa z przeświecającymi wśród niej białymi kośćmi. Nie upłynęła minuta, a pozostał jedynie nagi szkielet na dnie oceanu. Był to widok tak straszny, że zrobiło się nam słabo, a Scanlan nawet zemdlał i musieliśmy go zanieść do domu.

Ale oglądanie cudów głębin morskiej nie zawsze połączone było z niebezpieczeństwem. Przypominam sobie, że na jednej z wycieczek, przedsięwziętych zrazu z przewodnikiem, a potem,

kiedy gospodarze nasi przekonali się, że nie potrzebujemy już ciągłej opieki, bez niego - znaleźliśmy się W miejscu dobrze nam znanem. Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu zauważyliśmy, że dno morskie na przestrzeni pół morga lub więcej było jakby ogołocone z piasku i przybrało jasno żółtą barwę. W chwili, kiedyśmy przystanęli, zastanawiając się, czy zmiany tej dokonało trzęsienie ziemi, czy jakiś prąd głębinowy, cała ta przestrzeń uniosła się w górę i przepłynęła zwolna nad naszemi głowami. Dopiero po pewnym czasie - po minucie lub dwóch - zniknęła nam z oczu. Była to olbrzymia płaska ryba, podobna do naszych flonder, ale potwornych rozmiarów. Wypasła się widocznie na zasłanem najrozmaitszemi odpadkami dnie morskiem i przekształciła w wielki, błyszczący, biały i żółty dywan.

Zupełnie niespodziewanem, a względnie częstem zjawiskiem w głębi morza były gwałtowne burze. Przyczyna ich leży, jak się zdaje, w perjodycznych przyływach prądów podmorskich. Pojawiają się one zgoła nieoczekiwanie i są prawdziwą klęską, gdyż powodują równie wielkie spustoszenia, jak trąby powietrzne na powierzchni ziemi. Nie ulega wątpliwości, że bez tych burz gniłoby wszystko i niszczało na dnie morza w absolutnej nieruchomości tak, że pojawienie się ich jest zupełnie celowym chociaż groźnym przejawem sil Natury.

Jednemu z takich cyklonów zawdzięczam przygodę, która mogła zakończyć się tragicznie. Było to w czasie spaceru, na który wybrałem się z moją ukochaną, Moną, córką Mandy. W odległości mili od naszej kolonji znajdowała się bardzo piękna ławica, na której rosły algi o tysiącu rozmaitych barw. Był to ogpód Mony, który otaczała specjalną opielcą - mnóstwo szkarłatnych wieloszczetów, purpurowych wężowideł i czerwonych strzyków. Tego dnia zabrała mnie, aby mi go pokazać i właśnie, kiedy staliśmy przed nim, zerwała się burza. Prąd był tak silny, że zmuszeni byliśmy chwycić się za ręce i szukać schronienia wśród skał, inaczej porwałby nas ze sobą. Zauważyłem, że prąd wody był ciepły, co wskazywałoby na wulkaniczne pochodzenie tych cyklonów, które powstają gdzieś daleko w łożysku oceanu. Prąd podmorski poruszył pokłady mułu pokrywającego wielką równinę... Zrobiło się ciemno, dzięki uniesionym przez wodę obłokom organicznej materji. Znalezienie drogi zpowrotem było niepodobieństwem, gdyż straciliśmy orientację, a zresztą nie mogliśmy walczyć z prądem wody. I wówczas klucie w piersiach i trudności w oddychaniu ostrzegły mnie, że zapas powietrza zaczyna się wyczerpywać.

Rzecz znamienna, że w obliczu śmierci potężne prymitywne namiętności wybijają się na plan pierwszy, usuwając wszelkie pośledniejsze uczucia. W tej chwili zdałem sobie sprawę, że kocham moją słodką towarzyszkę, kocham z całej duszy i że miłość ta jest nieodłączną częścią mojej istoty. Jakżeż cudownym zjawiskiem jest miłość! Jak trudnem do zanalizowania I Zbudziła ją we mnie nie jej urocza twarz i postać, nie głos jej, chociaż równie melodyjnego nigdy nie słyszałem, nie podobieństwo

charakterów, gdyż myśli Mony czytać mogłem jedynie, z wrażliwego, ustawicznie się zmieniającego jej oblicza. Nie, było coś w głębi jej czarnych, marzycielskich oczu, coś na dnie mojego i jej serca, co nas złączyło na wieki. Ująłem dłoń Mony i czytałem w twarzy jej, że myśli i uczucia moje odwierciadlają się w jej wrażliwej duszy i sprowadzają rumieniec na jej cudne lica. Śmierć przy moim boku nie byłaby dla niej straszną, a ja czułem, że złożyłbym z chęcią życie moje u jej stóp.

Ale do tego nie przyszło. Należałoby wnosić, że nasze szklane osłony nie przewodziły głosu, ale faktycznie pewne drgania powietrzne przenikały przez nie łatwo, względnie wywoływały wewnątrz drgania podobne. Mam na myśli głośnie, metaliczne uderzenia, jakby dalekiego gongu. Nie wiedziałem, co miały oznaczać, ale towarzyszka moja nie wahała się ani chwili. Trzymając mnie za rękę, wstała i ciągle nad słuchując przypadła do ziemi, poczem zaczęła iść przeciw prądowi. Była to walka ze śmiercią, gdyż z każdą chwilą czułem na piersiach coraz większy ciężar. Widziałem, że drogie jej oczy szukają z niepokojem moich oczu, kiedy szedłem chwiejnym krokiem tam gdzie mnie wiodła. Wygląd i ruchy Mony świadczyły, że zapas powietrza w jej dzwonie szklannym nie był wyczerpany, jak w moim. Wytrzymałem, jak długo pozwoliła Natura, a potem zakręciło mi się w głowie, rozpostarłem ramiona i upadłem zemdlony na miękkie dno oceanu.

Ocknąłem się na łóżku mojem w Pałacu. Obok mnie stał stary kapłan w żółtej szacie, trzymając w ręku flaszeczkę z jakimś środkiem wzmacniającym. Maracot i Scanlan wpatrywali się we mnie zaniepokojeni, a Mona klęczała przy łóżku

z wyrazem tkliwej miłości na twarzy. Zdaje się, że dzielna ta dziewczyna pośpieszyła do bramy Schronu, gdzie w takich wypadkach uderzano zazwyczaj w wielki gong, aby ułatwić orjentar ję zbłąkanym wędrowcom. Tu opowiedziała, co się ze mną stało i stanęła na czele wyprawy ratunkowej, w której wzięli udział i moi dwaj towarzysze i która przeniosła mnie do Pałacu. Cokolwiek się ze mną stanie, życie moje należy do Mony, gdyż otrzymałem je od niej w darze.

Teraz, kiedy przybyła ze mną na ziemię, na ten świat kąpiący się w świetle słonecznym, dziwnem wydaje mi się to, że z miłości dla mojej Pani chciałem pozostać z nią w głębi morza na zawsze. Przez długi czas nie zdawałem sobie sprawy z łączącego nas głębokiego uczucia. Dopiero ojciec jej, Manda, dał mi wyjaśnienie, które było równie nieoczekiwane, jak zadawalające.

Patrzył z pobłażliwym uśmiechem na miłość budzącą się w naszych sercach - patrzył jak człowiek, który widzi, że urzeczywistnia się to, co przeczuwał. Potem pewnego dnia zaprosił mnie do swojego pokoju i posadził przed srebrnym ekranem, na który rzucał swoje myśli i wiadomości. Nie zapomnę nigdy, co mnie i jej pokazał. Siedząc obok siebie i trzymając się za ręce, przeglądaliśmy się, jak oczarowani, obrazom na ekranie.

Najpierw ujrzeliśmy półwysep, przeglądający się w błękitnej toni morza. Nie wspominałem dotychczas, że ten myślowy kinematograf - jeśli mogę użyć takiego określenia - oddaje równie dobrze kolory, jak kształty. Na tym półwyspie stał dom, wielki, z czerwonym dachem, białymi ścianami, piękny. Otaczał go gaj drzew palmowych. Zdaje się, że w gaju tym znajdował się obóz, gdyż

możliśmy widzieć białe płótna namiotów i błyszczącą tu i ówdzie broń, należącą prawdopodobnie do strażników. Z gaju wyszedł mężczyzna w średnim wieku, przybrany w zbroję, z okrągłą, lekką tarczą na ramieniu. W drugiej ręce dzierżył coś, ale nie mogłem dostrzec, czy to był miecz, czy oszczep. Kiedy zwrócił twarz w naszą stronę, poznałem na pierwszy rzut oka, że był to człowiek z rasy Atlantyjczyków. W istocie, mógłby być bratem Mandy, ale rysy twarzy jego świadczyły o brutalności i okrucieństwie. Jego wysokie czoło i wykrzywione w sardonicznym uśmiechu usta dowodziły, że był to człowiek przewrotny z natury, a nie przez nieświadomość złego i dobrego. Jeśli to miało być jakieś dawniejsze wcielenie Mandy - a z gestów jego wnosilem, że jest o tym głęboko przekonany - to trzeba przyznać, że od tego czasu pod względem duchowym Jeśli nie umysłowym, zmienił się na lepsze.

Kiedy się zbliżył do domu, ujrzelśmy na obrazie, że na spotkanie jego wyszła młoda kobieta. Przybrana była jak dawne Greczynki w długą, obcisłą, białą szatę, najpiękniejszy, chociaż najprostszy strój kobiecy. Zachowanie się jej świadczyło, że była to córka noszącego zbroję mężczyzny. Pragnęła go powitać, ale odepchnął ją i podniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć. Kiedy cofnęła się, promienie słońca padły na jej piękną, łzami zalaną twarz i wówczas ujrzałem, że była to moja Mona.

Kontury obrazu zatarły się, potem obraz zniknął, a w chwilę później zaczął się tworzyć nowy. Była to otoczona skałami zatoka; należała ona, zdaje się, do tego samego półwyspu, który widziałem poprzednio. Na pierwszym planie ujrzelśmy łódź o

dziwnych kształtach z sterczącymi w górę końcami. Była noc, ale księżyc świecił jasno. Na niebie błyszczały znane nam gwiazdy. Łódź posuwała się naprzód wolno i ostrożnie. Siedziało w niej dwóch wioślarzy i mężczyzna otulony ciemnym płaszczem. Kiedy przyплыли do brzegu, mężczyzna wstał i rozejrzał się. Ujrzałem jego bladą, poważną twarz w jasnym świetle księżyca. Mona ścisnęła mnie za rękę. Mężczyzną tym byłem ja.

Tak jest, ja. Cyrus Headley, wychowanek uniwersytetu w Nowym Yorku i Oksfordzie, ja, przedstawiciel nowoczesnej kultury, należałem niegdyś do tego potężnego, starożytnego narodu. Zrozumiałem teraz, dlaczego wiele symboli i hieroglifów, które widziałem dokoła, wydawało mi się dziwnie znajome. Zrozumiałem również, dlaczego pokochałem Monę od pierwszego wejrzenia. To przemówiły wspomnienia drzemiące w podświadomości mojej od dwunastu tysięcy lat.

Łódź przybiła do brzegu, a z zarośli wyszła jakaś biała postać. Wyciągnąłem ramiona, aby ją uściskać. Jeden krótki pocałunek i zaniósłem ją do łodzi. Nagle ogarnął mnie niepokój. Dałem znak wioślarzom, aby odbili od brzegu. Ale było już za późno. Z zarośli wypadło kilkunastu mężczyzn. Silne ręce chwyciły za brzeg łodzi. Napróżno starałem się uwolnić ją. W powietrzu błysnęła siekiera i spadła na moją głowę. Upadłem nieżywy na kobietę, plamiąc krwią jej białe szaty. Widziałem, że ojciec wyciągnął ją za włosy z łodzi - nawpół przytomną i wzywającą pomocy. Potem zasłona opadła.

I znów pojawił się obraz na srebrnym ekranie. Przedstawiał wnętrze, zbudowanego przez mądrego Atlanty języka tego samego pałacu, w

którym znajdowaliśmy się obecnie. Ujrzałem przerażonych jego mieszkańców w chwili katastrofy. I ujrzałem znowu moją Monę. Była sama, gdyż ojciec jej trwał jeszcze w swych błędach. Widzieliśmy, jak ogromny pałac drży w posadach, a przerażeni uciekinierzy czepiają się filarów lub padają na ziemię. Potem widzieliśmy, jak opada na dno morza... I znowu obraz zniknął, a Manda odwrócił się do nas z uśmiechem, oznajmiając, że wszystko skończone.

Tak jest, żyliśmy już dawniej, wszyscy troje i może żyć będziemy w przyszłości... Ja umarłem na ziemi i w następnych wcieleniach zbudziłem się do życia również na jej powierzchni. Mamda i Mona umarli w głębi morza i tutaj snuła się dalej nić ich przeznaczenia. Rąbek czarnej zasłony Przyrody uchylił się na chwilę i światło Prawdy błysnęło w mroku otaczających nas tajemnic.

Serdeczne stosunki, łączące mnie z Moną i Mandą uchroniły nas od złego w pewien czas później, kiedy przyszło do jedyne go poważnego zatargu między nami i mieszkańcami Schronu. - Ale być może, że mimo wszystko zatarg ten skończyłyby się dla nas bardzo smutnie, gdyby nie ważniejsza sprawa, która zwróciła uwagę Atlantyjczyków i zyskała nam ich głęboką cześć. Przyszło do niego w ten sposób.

Pewnego ranka - jeśli można użyć tego określenia w kraju, gdzie o porze dnia sędziliśmy tylko według naszych zajęć - siedziałem z profesorem w naszej wielkiej wspólnej sali. Maracot zajęty był właśnie krajaniem złowionego poprzedniego dnia gastrostomusa w jednym z kątów pokoju, gdzie urządził sobie pracownię. Na stole jego leżało mnóstwo obunogów i widłogonów,

piękne okazy Yalelli, Ianthin, Physalii i setek innych stworzeń, które pachniały bardzo nieprzyjemnie. Siedziałem obok niego i uczyłem się gramatyki Atlantyjczyków, gdyż przyjaciele nasi mieli wiele książek, drukowanych w dziwny sposób od strony prawej ku lewej, na materiale, który zrazu uważałem za pergamin, ale który się okazał zasuszonemi i odpowiednio spreparowanemi rybiemi pęcherzami. Spędzałem całe godziny nad alfabetem i zasadami języka Atlantyjczyków, chcąc osiąść klucz, któryby mi otworzył dostęp do ich wiedzy.

Tym razem przerwano brutalnie nasze studia, gdyż do pokoju wpadła dziwna procesja. Najpierw przybył Bill Scanlan, zaczerwieniony i rozgorączkowany, wymachując ręką w powietrzu, z wrzaskliwym i tfustem dzieckiem pod pachą. Za nim szedł Berbrix, inżynier atlantyjski, który pomógł Scanlanowi zbudować radjowy aparat odbiorczy. Był to człowiek tęgi, gruby, zazwyczaj jowialny, ale teraz na tłustej twarzy jego malował się smutek. Za nim szła kobieta, której jasne włosy i niebieskie oczy świadczyły, że nie była Atlantyjką, lecz należała do rasy niewolniczej, pochodzącej prawdopodobnie z Grecji.

- Posłuchaj pan! - zawołał wzburzony Scanlan. - Berbrix to chłop porządny i to samo mogę powiedzieć o jego babie. Musimy zająć się tą sprawą. Zdaje się, że kobieta nie ma tu żadnych praw i jest czemś w rodzaju murzynki. Ale to już rzecz jej męża.

- Zgadza się z tym - rzekłem. - Ale, o co chodzi?

- Chodzi o dziecko. Zdaje się, że tutejsi ludzie nie uznają potomstwa z takiego związku i składają je w ofierze bałwanowi - tam w dole. Jeden

z kapłanów porwał dziecko i chciał je zabrać ze sobą, ale przeszkodził mu w tem Berbrix wraz z żoną. Wyrzniętem w łeb tego pajaca, odebrałem dziecko i teraz wszyscy gonią za nami...

Przemowę Scanlana przerwały krzyki i tupot kroków na korytarzu. Otworzono drzwi i kilku strażników świątyni w żółtych szatach wpadło do pokoju. Za nimi zjawił się groźny i ponury kapłan z wielkim nosem. Skinął ręką, a strażnicy wystąpili naprzód, chcąc zabrać dziecko. Zatrzymali się jednak niezdecydowani, widząc, że Scanlan cisnął niemowlę na stół poza nim i, schwyciwszy za kij, stawiał czoło napastnikom. Ci dobyli noży. Wobec tego pośpieszyłem na pomoc Scanlanowi z żelaznym kijem w rękę, a Berbrix poszedł za naszym przykładem. Postawa nasza była tak groźna, że strażnicy Świątyni cofnęli się nie wiedząc, co czynić. - Mr. Headley, pan zna trochę ich język - zawołał Scanlan. - Powiedz im, że to tak łatwo nie pójdzie. Powiedz, że dziecka nie oddamy. Powiedz, że przyjdzie do bitki, jeśli nie odstąpią. Ah, masz, drabie! To ci narazie wystarczy!

Ostatnia część przemowy Scanlana odnosiła się do faktu, że dr. Maracot wbił nagle swój skalpel sekcyjny w rękę jednego ze strażników, który przyczołgał się do naszego mechanika i chciał go pchnąć nożem w plecy. Zraniony zaczął wyć i tańczyć po pokoju z trwogi i bólu, a towarzysze jego, podburzani przez starego kapłana, gotowali się do zaatakowania nas. Bóg jeden wie, co by się stało, gdyby nie zjawienie się Mony i Mandy. Manda przyglądał się scenie ze zdumieniem, zarzucając kapłana pytaniami. Mona podeszła do mnie i ulegając jakiemuś szczęśliwemu natchnieniu, wzięła niemowlę na ręce i zaczęła je tulić do piersi.

Manda stał ze zmarszczonemi brwiami. Nie wiedział, co ma robić. Odesłał kapłana i jego satelitów do świątyni, a potem zapuścił się w długie wyjaśnienia, które zrozumiałem i powtórzyłem towarzyszom tylko w części.

— Pani ta bierze w opiekę matkę i dziecko - rzekłem do Scanlana.

— To inna sprawa. Jeśli miss Mona bierze oboje w opiekę, jestem zadowolony. - Ale jeśli ten kapłan...

— Nie, nie, on nie będzie się wtrącał. Całą sprawą zajmie się Wysoka Rada. To nie drobnostka, gdyż Manda mówił, że kapłan jest w swoim prawie i że taki jest zwyczaj w tym kraju. Chodzi o zachowanie czystości rasy. Prawo głosi, że dzieci z małżeństw mieszanych mają umrzeć.

— Zobaczymy! To dziecko nie umrze.

— Mam nadzieję. Manda mówił, że dołoży wszelkich starań, aby Radę przekonać. Ale stanie się to dopiero za tydzień lub dwa. Narazie dziecku nic nie grozi i kto wie, co się może przytrafić w międzyczasie?

Tak jest, kto wiedział, co się mogło przytrafić? Kto mógł przypuszczać, co się przytrafi? Opiszę to w następnym rozdziale.

II.

Chwila przełomowa.

Wspominałem już, że w niedalekiej odległości od grzebanego w mule pałacu Atlantyjczyków, zbudowanego w przewidywaniu katastrofy, która doprowadziła do zagłady ich ojczyzny, znajdowały się ruiny wielkiego miasta, do

którego należał swojego czasu i ten pałac. Opisałem również, jak w naszych osłonach powietrznych wybraliśmy się na wycieczkę do zwalisk, które wywarły na nas ogromne wrażenie. Brak mi słów na określenie uczuć, jakie wywołały w naszej duszy te potężne ruiny, te ogromne rzeźbione słupy i gigantyczne budowle, spoczywające w milczeniu i martwocie w szarem, upiornym świetle głębinowem. Gdyby nie poruszane podmorskim prądem olbrzymie pętle wodorostów i cienie wielkich ryb, sunących przez otwarte drzwi i pływających w opustoszałych salach nie byłoby w nich najmniejszych śladów życia. Zwaliska te odwiedzaliśmy bardzo chętnie, spędzając w towarzystwie naszego przyjaciela Mandy całe godziny na przyglądaniu się dziwnym budynkom i szczątkom zmarłej cywilizacji, która, sądząc po tem, nacośmy patrzyli, przewyższała naszą pod wieloma względami.

Mam na myśli względy materialne. Wkrótce przekonaliśmy się, że pod względem duchowym dzieliła ją od nas ogromna przepaść. Historia wzniesienia się i upadku Atlantydy wskazywała, że największym niebezpieczeństwem, zagrażającym państwu, jest opanowanie duszy przez rozum. To stało się powodem zagłady tej starożytnej cywilizacji, a może doprowadzić do zguby i naszą.

Zauważyliśmy, że w jednej z dzielnic miasta znajdował się wielki budynek, który musiał stać na wzniesieniu, gdyż górował i obecnie nad resztą domów. Wiodły do niego długie i szerokie schody z czarnego marmuru. Z tego samego materiału zbudowany był i sam pałac, ale pokrywały go teraz masy obrzydliwego, żółtego grzyba, zwieszające się w mięsistych, śliskich wstęgach z każdego rogu, z

každěj

wystającej części. Nad główną bramą, rzeźbioną również w czarnym marmurze, widniała straszliwa głowa, jakby Meduzy, z otaczającymi ją wokół węzami. Ten sam symbol powtarzał się tu i ówdzie na ścianach. Kilka razy wyraziliśmy życzenie zwiedzenia tego ponurego budynku, ale przy każdej sposobności Manda, nasz przewodnik,„ okazywał największe wzburzenie i rozpaczliwymi gestami wzywał nas do powrotu. Było jasnym że w jego towarzystwie nigdy nie zdołamy zaspokoić dręczącej nas ciekawości i rozwiązać zagadki tego niesamowitego miejsca. Pewnego ranka rozmawiałem na ten temat z Billem Scanlanem.

— Zdaje mi się - rzekł - że jest tam coś takiego, co Manda chce ukryć przed nami. Ale tern bardziej pragnę przekonać się, co się tam znajduje. Nie potrzebujemy już przewodnika. Możemy wdziać szklane osłony i wybrać się na spacer sami. Pójdziemy do pałacu i zwiedzimy go.

— Dlaczego nie? - rzekłem, gdyż byłem równie ciekawy, jak Scanlan. - Co pan o tem sądzi, sir? - zapytałem dra Maracota, który wszedł właśnie do pokoju. - Może wybierze się pan z nami, aby zgłębić tajemnicę Pałacu z Czarnego Marmuru.

— Nazwijmy go Pałacem Czarnej Magji - rzekł profesor. - Czy słyszeliście kiedy o Władcy Ciemności?

Przyznałem, że nigdy nie słyszałem. Nie wiem, czy wspomniałem przedtem, że dr. Maracot był sławnym na cały świat znawcą dawnych wierzeń i prymitywnych religij. Pod tym względem nawet starożytna Atlantyda nie była rnu obcą.

- Wiadomości, jakie mamy o tym kraju, pochodzą przeważnie z Egiptu - rzekł. - Ośrodkiem, na którym zbudowano całą resztę - zarówno fakty,

jak legendy - jest to, co powiedzieli Solonowi kapłani świątyni w Sais.

— A cóż oni powiedzieli? - zapyta Scanlan.

— Bardzo dużo. Między innymi opowiedzieli mu legendę o Władcy Ciemności. Ciągłe mi się zdaje, że mógł nim być Pan Pałacu z Czarnego Marmuru. Uczeni twierdzą, że Władców Ciemności było kilku - ale o jednym z nich wiemy w każdym razie coś pewniejszego.

- A cóż to był za człowiek? - zapytał Scanlan.

- Sądząc z tego, co o nim mówią, był to człowiek obdarzony władzą i odznaczający się nadludzką przewrotnością. Co więcej, jego występki i zepsucie, którego stał się bezpośrednią przyczyną, spowodowały zagładę na cały kraj.

- Podobnie, jak na Sodomę i Gomorę.

- Właśnie. Zdaje się, że przychodzi czasem do takiej sytuacji, że cierpliwość Przyrody wyczerpuje się i jedynym sposobem ratunku jest zagłada tego, co istnieje i rozpoczęcie wszystkiego na nowo. Potwór ten - nie chcę nazywać go człowiekiem - był mistrzem sztuk tajemnych i zdobył przy pomocy czarnej magii nieograniczoną władzę, której używał do złych celów. Tak głosi legenda. Tłumaczyłoby to, dlaczego dom ten budzi wciąż jeszcze grozę w tych biednych ludziach i dlaczego Atlantyjczycy nie chcą, abyśmy się do niego zbliżali.

- To mnie jeszcze bardziej zaciekawia - zawołałem.

- I mnie również - dodał Bill.

- Przyznaję, że i ja miałbym ochotę zwiedzić go - rzekł profesor. - Sądzę, że nie wyrządzimy gospodarzom naszym najmniejszej krzywdy, jeśli wybierzemy się na wy cieczkę sami, gdyż przesady powstrzymają ich zawsze od towarzyszenia nam do

Czarnego Pałacu. Spróbujemy szczęścia.

Ale upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim nadarzyła się sposobność, gdyż nasze małe społeczeństwo było tak ściśle związane, że o odosobnieniu się nie mogło być mowy. Zdarzyło się jednak, że pewnego ranka - o ile na podstawie naszego prymitywnego kalendarza można było odróżnić dzień od nocy - wszyscy mieszkańcy Schronu zebrali się na jakieś uroczyste nabożeństwo, które pochłonęło całą ich uwagę. Korzystając ze sposobności, postanowiliśmy wybrać się na spacer. Zapewniwszy strażników, którzy pilnowali wielkich pomp w komorze wstępnej, że wszystko w porządku, znaleźliśmy się wkrótce na dnie ocenu w drodze do ruin starożytnego miasta. W wodzie słonej poruszać się można tylko powoli i mawet krótki spacer jest bardzo męczący, ale po godzinnym marszu stanęliśmy przed ogromnym czarnym budynkiem, który nas tak zainteresował. Nie przeczuwając nic złego, weszliśmy po marmurowych schodach do tego Pałacu Grzechu.

Był on o wiele lepiej zachowany, niż inne budynki w starożytnym mieście. Rzecz można, że mury pałacu nie były zupełnie zniesione, a tylko meble i kotary niszczały i zniknęły już dawno, ałe Przyroda stworzyła nowe zasłony, których widok przyprawiał o lęk. Było to miejsce ponure, tonące w mroku, z którego wylaniały się od czasu do czasu obrzydliwe, potworne polipy i ryby o dziwnych kształtach, straszne jak zmora nocna. Przypominam sobie zwłaszcza ogromne, purpurowe ślimaki morskie, które czołgały się po kątach i wielkie, płaskie, czarne ryby, które leżały na ziemi jak dywany, z długimi, ruchomymi, świecącymi się czułkami. Stąpaliśmy ostrożnie, gdyż cały budynek

był przepełniony obrzydliwymi stworzeniami, które mogły się okazać równie niebezpieczne, jak wstrętne.

Były tam bogato przyozdobione korytarze z przylegającymi do nich małymi pokojkami, ale środek budynku zajmowała wspaniała sala, która musiała być swojego czasu jedną z najpiękniejszych na świecie. W mdłym świetle nie widzieliśmy ani sufitu ani jej ścian, ale posuwając się wzdłuż murów, mogliśmy ocenić ogromne wymiary sali i cudowne ozdoby na ścianach. Były to albo posągi, albo ornamentacje, rzeźbione niezwykle misternie, ale odstrasające i straszliwe. Wszystko to, co stworzyć mógł najbardziej zdeprawowany umysł widniało na ścianach w obrazach, tchnących sadystycznym okrucieństwem i zwierzęcą żądzą. Z mroku wyłaniały się potworne podobizny i symbole, których wszędzie było pełno. Pałac był wistocie świątynią, wystawioną na cześć djabła. Nie brakowało i samego djabła gdyż na końcu sali, pod baldachimem ze złota, na wysokim tronie z czerwonego marmuru siedziało straszliwe bóstwo, istne wcielenie złego, groźne, urągające wszystkim, bezwzględne, podobne z wyglądu do Baala w kolonji Atlanty języków, ale o wiele bardziej odrażające. Było coś niesamowitego w tej straszliwej postaci. Przyglądaliśmy się oświetlając ją lampami, pogrążeni w zadumie, kiedy stało się coś niesłychanego, niepojętego... coś, co kazało nam zapomnieć o wszystkim. Ktoś w głębi sali, poza nami, roześmiał się straszliwie...

Głowy nasze osłonięte były szklannymi pokrywami, które, jak wspomniałem, nie dopuszczały do uszu żadnych dźwięków. A jednak wszyscy usłyszeliśmy szyderski ten śmiech zupełnie

wyraźnie. Obejrzawszy się, ujrzałem widok niezwykły.

Wsparty o jeden z filarów wielkiej sali, z rękami złożonymi na piersi stał jakiś mężczyzna i mierzył nas wzrokiem złośliwym i pełnym groźby. Nazwałem go mężczyzną, ale nie przypominał z wyglądu żadnego mężczyzny, z jakim się w życiu spotkałem, a fakt, że oddychał i mówił, jak nie mógł mówić, oddychać i porozumiewać się żaden człowiek, pouczył nas, że pod pewnymi względami różnił się od wszystkich ludzi. Na zewnątrz przedstawiał się wspaniale. Był wysoki co najmniej na siedm stóp i miał kształty atlety, które uwidoczniały się doskonale pod ubraniem zrobionem z czarnej, gładkiej skóry, która przylegała ściśle do ciała. Twarz jego przypominała twarz posągu z brązu - posągu, w którym jakiś wielki artysta chciał odtworzyć niespożytą siłę, ale i największe przestępstwa ludzkiej natury. Twarz ta nie była zmysłowa i nalana, gdyż świadczyłoby to o słabości, a słabości nie było w niej ani śladu. Przeciwnie, była to twarz o rysach regularnych, ostrych, z orlim nosem, ciemnymi oczyma, które płonęły wewnętrznym ogniem. Te bezlitosne, złośliwe oczy i piękne, ale okrutne, zacięte usta, nieubłagane, jak Przeznaczenie, czyniły twarz jego okropną i straszliwą. Każdy, kto na nią spojrzał, czuł, że istota ta, chociaż tak piękna, musiała być złą aż do szpiku kości, że spojrzenia jej były groźbą, a każdy uśmiech szyderstwem.

- I cóż, panowie - przemówił po angielsku, głosem, który rozbrzmiewał donośnie, jakbyśmy byli na ziemi. Spotkała was w przeszłości niezwykła przygoda, a w przyszłości spotka was jeszcze jedna, ale ta nie skończy się równie szczęśliwie. Lękam się,

że rozmowa ta jest raczej jednostronną, ale ponieważ mogę czytać wasze myśli i wiem o was wszystko, niema mowy o tern, abyśmy się nie porozumieli. Musicie się jednak nauczyć wielu... wielu rzeczy.

Spoglądaliśmy na siebie w bezradnem zdumieniu.

I wówczas rozległ się znowu ten przykry śmiech.

— Tak, trudno to pojąć. Ale zastanowicie się nad tem po powrocie, gdyż chcę abyście wrócili z poselstwem odemnie. Gdyby nie to poselstwo, wasza wizyta w moim domu skończyłaby się tragicznie. Ale najpierw chcę z wami trochę porozmawiać. Zwracam się do pana, doktorze Maracot, jako najstarszego i najmądrzejszego ze wszystkich, chociaż fakt, żeście się tutaj wybrali, niezbyt pochlebnie świadczy i o pańskim rozumie. Czy mnie dobrze słyszycie? Doskonale; wystarczy mi jeden gest, jedno skinienie głowy.

— Rzecz prosta, że wiecie, kim jestem. Zdaje się, że rozmawialiście o mnie niedawno. Nikt nie może mówić i myśleć o mnie bez mojej wiedzy. Nikt nie może wejść do tego domu, który jest moją dawną siedzibą i nie wezwać mnie równocześnie do powrotu. Dlatego te nędzne karły nie zaglądają do mojego pałacu i dlatego również nie chciały, abyście wy do niego zaglądali. Byłoby o wiele mądrzej, gdybyście ich usłuchali. Zawezwaliście mnie do siebie, a kiedy raz jestem wezwany, niechętnie się oddalam.

— Wysłacie mózg, chcąc rozwiązać zagadkę, którą przedstawiam. Jak mogę żyć bez tlenu? Nie żyję tutaj. Żyję na ziemi między ludźmi, w świetle słonecznem. Przybywam tutaj tylko na wezwanie, jak i tym razem. Jestem istotą

oddychając eterem, a tu eteru poddostatkiem. Ale i ludzie mogą żyć bez powietrza. Człowiek pogrążony w śnie kataleptycznym leży całe miesiące i nie oddycha, równie jak

ja, ale ja jestem w odróżnieniu od niego przytomny i pełen energii.

Dziwi was to, że mnie słyszycie. Przypomnijcie

sobie własności każdego radjowego odbiornika, chwytającego fale dźwiękowe. I ja umiem przesyłać słowa na odległość i nadawać im odpowiednie brzmienie wewnątrz waszych dzwonów, wypełnionych powietrzem.

— A moja angielszczyzna? Sądzę, że nie mam się jej czego wstydzić. Żyłem na ziemi długo... bardzo długo. Chyba jednaście lub dwanaście tysięcy lat. Miałem czas nauczyć się wszystkich języków. Mówię po angielsku ifie gorzej, niż inni.

— Zdaje się, że wyjaśniłem wam wiele rzeczy. Tak. Mogę widzieć, chociaż nie mogę was słyszeć. Ale teraz pomówimy o sprawach ważniejszych.

— Jestem Baal-Seepa. Jestem Władcą Ciemności. Jestem tym, który zgłębił wiele tajemnic Przyrody i nauczył się uragać nawet śmierci. Nie mogę umrzeć, chociażbym chciał. O zagładzie mojej musiałaby zdecydować wola od mojej silniejsza. Oh, śmiertelnicy, nie starajcie się nigdy przedłużać życia w nieskończoność. Wieczne życie jest straszniejsze od najstraszniejszej śmierci.

— Iść ciągle naprzód i widzieć jak wszystko dokoła przemija! Czyż trzeba się dziwić, że serce moje jest czarne i złe i że przeklina wszystkich ludzi? Szkodzę im, jak mogę. I czemużby nie?

— Pytacie, jak mogę im szkodzić? Mam środki, środki potężne. Umiem przyprawiać ludzi o szaleństwo. Jestem panem tłumu. Uczestniczyłem w najpotworniejszych przedsięwzięciach. Towarzystwem Hunom w ich wyprawie, która

obróciła w perzynę pół Europy. Szedłem z Saracenami, kiedy pod płaszczkiem religii wycinali w pień wszystkich, którzy się im sprzeciwiali. Huląłem w noc św. Bartłomieja. Handel niewolnikami był moim dziełem. Za moim podszeptem spalono dziesięć tysięcy starych wiedźm, które głupcy nazywali czarownicami. Ja byłem tym wysokim, czarnym mężczyzną, który wiodł motłoch w Paryżu, kiedy ulice spływały krwią. (Rzadko przychodziło do takich wypadków, ale użyłem sobie niedawno w Rosji Stamtąd przybywam. Zapomniałem już o tej kolonji szczurów wodnych, zagrzebanych w mule i upajających się legendami o wielkim kraju, w którym życie kwitnęło, jak nigdzie później. Przypomnieliście mi o istnieniu ich, gdyż dawny ten pałac połączony jest dotąd ukrytymi więzami, o których wiedza wasza nie ma pojęcia, z człowiekiem, który go zbudował i ukochał. Dowiedziałem się, że wszedł do niego ktoś obcy. Postanowiłem przekonać się, kto jest tym śmiałkiem. Przybyłem. A kiedy stanąłem na miejscu - raz pierwszy od tysiąca lat - przyszli mi na myśl ci ludzie. Plemię to żyło zbyt długo. Czas im odejść. Był swój zawdzięczają woli jednostki, która walczyła ze mną za życia i która zbudowała dla nich schron w przewidywaniu zagłady całego narodu. Ocaleli oni i ja. Mądrość jego uratowała im życie, a moje środki uratowały mnie. Alę teraz zgnotę tych, których on uratował i historia będzie skończona.

Sięgnął w zanadrze i wyjął jakieś pismo.

- Wręczcie to wodzowi szczurów wodnych - rzekł. - Przykro mi, że wy, ludzie inteligentni, będziecie musieli ich los podzielić, ale uważam to za rzecz słuszną, jesteście bowiem bezpośrednią przyczyną ich zguby. Zobaczymy się jeszcze.

Narazie polecam obejrzenie tych rzeźb i malowideł, które dadzą wam pojęcie, jak wysoko stała sztuka Atlantydy pod moimi rządami. Przekonacie się, że pod moim wpływem zaprowadzono tam ciekawe zwyczaje. Życie było bardzo urozmaicone, barwne i wielostronne. Dzisiaj nazwanoby je orgją przewrotności. Mniejsza o nazwę!... Żyłem tak, cieszyło mnie takie życie i nie żałuję tego. Gdybym miał możliwość, żyłbym dalej w ten sposób, ale nie starałbym się już o nieszczęsny dar nieśmiertelności Warda, którego przeklinam i którego powinienem był zabić, zanim udało się mu podburzyć lud przeciw mnie, postąpił mądrzej ode mnie. Odwiedza on ziemię od czasu do czasu, ale jako duch. A teraz idźcie! Przywiodła was tutaj ciekawość, moi przyjaciele. Sądzę, żeście ją zaspokoili.

A potem zniknął. Tak jest, zniknął w naszych oczach. Nie stało się to w jednej chwili. Opierał się o filar. Widzieliśmy go jeszcze przez chwilę zupełnie wyraźnie. Nagle oczy jego przygasły, rysy twarzy zaczęły się zacierać. Potem zmienił się w ciemny, wirujący obłok, który unióśł się w górę. Zniknął... Staliśmy, jak w ziemię wryci, patrząc na siebie i zastanawiając się nad dziwnymi przejawami życia.

Nie zatrzymywaliśmy się dłużej w tern straszliwym miejscu. Nie było to zbyt bezpieczne. Wychodząc z wielkiej sali, rzuciłem jeszcze raz okiem na groźne rzeźby - dzieło samego szatana - i na ściany budynku, poczem wybiegliśmy z pałacu, przeklinając chwilę, w której powzięliśmy zamiar zwiedzenia go. Widok podmorskiej równiny, tonącej w fosforycznym świetle i jasne, przejrzyste wody dookoła, natchnęły nas znowu otuchą. Zdjąwszy osłony, zebraliśmy się na naradę chcąc się zastanowić nad tern, co należało uczynić. Profesor i

ja byliśmy zupełnie wytrąceni z równowagi...
Jedynie Bill Scanlan zdawał się panować nad sobą.

- Ładna historia! - rzekł. - Ale się nam udało.
Ten wielki drab to chyba sam diabeł. Jak się do
niego zabrać - oto pytanie.

Dr. Maracot dumiał przez chwilę. Potem
zadzwoił i zwrócił się do przybranego w żółte szaty
służącego, który stanął w drzwiach.

- Manda - rzekł.

Nie upłynęła minuta, a przyjaciel nasz zjawił
się na jego wezwanie. Maracot wręczył mu groźny
list.

Przyznaję, że zachowanie się Mandy
wzbudziło we mnie podziw. Przynieśliśmy wieść o
grożącej jemu i jegożiomkom zagładzie, której
przyczyną była nasza nieuzasadniona ciekawość -
my, cudzoziemcy uratowani przez niego od
nieuchronnej zguby. A jednak, chociaż twarz jego po
prze czytaniu listu stała się śmiertelnie bladą, w
brunatnych, smutnych oczach, które mi na nas
spoglądał, nie wyczytałem żadnego wyrzutu.
Wstrząsnął głową, a gesty jego wyrażały bezbrzeżną
rozpaczą. „Baal-seepa! Baal-seepa!” - zawołał i
przycisnął ręce do oczu ruchem konwulsyjnym,
jakby je chciał zasłonić przed straszliwym widokiem.
Chodził po pokoju, jak człowiek złamany
cierpieniem, a w końcu opuścił nas, aby przeczytać
ziomkom fatalny list. W kilka minut później
usłyszeliśmy dźwięk wielkiego dzwonu, który
wzywał wszystkich na naradę do Sali Głównej.

— Mamy iść? - zapytałem. Dr. Maracot
wstrząsnął głową.

— Co możemy uczynić? Co oni mogą
uczynić? Jakie szanse mają w tej walce z istotą, która
rozporządza środkami demona?

- Takie, jak królik w walce z łasicą - rzeki Scanlan. Wywołaliśmy diabła, nie możemy zatem patrzeć z założonemi rękoma na zagładę ludu, który nam uratował życie.

— Co myślisz uczynić? - zapytałem gorączkowo, gdyż mimo rubaszości i lekkomyślności Scanlana uważałem go za człowieka trzeźwego i praktycznego.

— Mam przy sobie broń - rzekł. - Dobry rewolwer może zrobić swoje.

— Chcesz go zaatakować?

- To szaleństwo! - wtrącił doktor.

Scanlan podszedł do swojej skrzyni. Po chwili wrócił, trzymając w ręku wielki, sześciostrzałowy rewolwer.

- Cóż wy na to? - rzekł. - Znalazłem tę broń na statku i zabrałem ze sobą, sądząc, że może się przydać. Mam tu dwanaście naboí. Zrobię dwanaście dziur w jego ciele i wówczas zobaczymy, czy mu czary pomogą... Wielki Boże! Cóż to się dzieje?...

Rewolwer spadał na ziemię, a Scanlan objął dłonią swą prawą pięść, krzycząc z bólu. Chwycił go straszliwy kurcz, a kiedy dotknęliśmy jego ramienia, chcąc przynieść mu jakąś ulgę wyczuliśmy pod skórą mięśnie twarde i napięte, jak korzenie drzewa. Na czoło nieszczęśliwego wystąpił pot. W końcu, zbolący i wyczerpany, upadł na łóżko.

- Mam tego dosyć - rzekł. - Jestem unieszkodliwiony. Dziękuję... Czuję się już lepiej. Ale to mnie przekonało. Do walki z diabłem nie nadaje się rewolwer. Uznaję się za zwyciężonego.

— Masz dobrą (nauczkę - rzekł dr. Maracot.

— A więc pan sądzi, że sprawa nasza jest beznadziejna?

— Cóż możemy uczynić, jeśli - jak się zdaje

- on wie o każdym słowie i każdym czynie? Ale nie należy rozpaczać. - Siedział przez kilka minut, pogrążony w myślach. - Sądzę - rzekł po chwili - że ty, Scanlanie, powinieneś na razie pozostać w łóżku i to dopóki nie odzyskasz sił.

- Gdybym był potrzebny, proszę mnie zawezwać - rzekł nasz dzielny towarzysz, ale jego zboląła twarz i drżące członki świadczyły, że cierpiał wciąż jeszcze.

- Nie, nie będziesz potrzebny. Mamy nauczkę, że siłą nie da się nic zrobić. Wszelki gwałt jest beznadziejny. Będziemy działać na innej płaszczyźnie - płaszczyźnie ducha. Zostań tu, Headley'u. Pójdę do mojej pracowni. Może w samotności znajdę jakąś radę.

Zarówno Scanlan, jak i ja, nauczyliśmy się ufać Maracotowi. Jeśli istniał jakiś ratunek, jedynie jego mózg zdolny był znaleźć drogę do niego wiodącą. A jednak sytuacja nasza wymagała zastosowania środków ponad siły człowieka. Byliśmy bezradni, jak dzieci w obliczu niebezpieczeństwa, którego zrozumieć i ocenić nie umiejemy. Scanlan zapadł w głęboki sen. Siedząc przy nim, zastanawiałem się nie nad sposobami ratunku, ale raczej nad tem, gdzie i kiedy spadnie na nas śmiertelny cios. W każdej chwili spodziewałem się, że sufit spadnie nam na głowy, ściany runą i ciemne wody głębiny morskiej zamkną się nad grobem tych, którzy urągali im od tak dawna.

Nagle odezwał się znowu wielki dzwon.
Dźwięk jego

wstrząsnął całym mem jestestwem. Skoczyłem na równe nogi, a Scanlan usiadł na łóżku. Nie było to zwyczajne wezwanie. Dzwon bił na alarm - świadczyły o tem krótkie, nieregularne, szybko po sobie następujące uderzenia. Wzywał wszystkich i to bez zwłoki. Groził i nalegał. „Do mnie w tej chwili! Porzućcie wszystkie zajęcia! Do mnie!” - wołał dzwon.

— Trzeba iść - rzekł Scanlan. - Zaczyna się.

— Cóż my im pomożemy?

— Widok nasz doda im otuchy. Nie powinni uważać nas za dezerterów. Gdzie doktor?

— Poszedł do pracowni. Ale masz słuszość, Scanlanie. Pójdziemy, aby pokazać, że chcemy dzielić ich los.

— Ci biedacy są, zdaje się, zrezygnowani. Być może, że wiedzą więcej od nas, ale nie mają tyle hartu i wytrwałości, co my. Nie sądzę, aby zdobyli się na jakiś czyn stanowczy. Trudno! Jeśli to ma być potop...

W tej chwili w drzwiach stanął dr. Maracot. Ale czy ten pewny siebie człowiek, z którego groźnej twarzy promieniowała siła i energia był rzeczywiście doktorem Maracotem? Zamiast spokojnego uczonego ujrzeliśmy przed sobą nadczłowieka, wielkiego wodza, potężnego ducha, który mógł nagiąć ludzkość do swoich pragnień.

- Tak, przyjaciele, będziemy potrzebni. Wszystko może się jeszcze dobrze ułożyć. Ale nie ociągajcie się, aby nie było za późno. Wytlomaczę wam wszystko potem - o ile dożyjemy tej chwili. Tak, tak, idziemy.

Ostatnie te słowa, z odpowiednimi gestami, powiedziane były do kilku przerażonych Atlanty języków, którzy pojawili się w drzwiach, wzywając

nas do pośpiechu. Nie ulegało wątpliwości, że słowa kilkakrotnie - jak wspomniał Scanlan - złożyliśmy dowody hartu i okazali się energicznymi i bardziej przedsiębiorczymi od tych żyjących w odosobnieniu ludzi, pragnęli i teraz, w obliczu najwyższego niebezpieczeństwa szukać w nas oparcia. Pojawienie się nasze w wielkiej sali, gdzie przygotowano dla nas miejsca w pierwszym rzędzie, powitał szmer ulgi i zadowolenia.

A czas już był najwyższy. Straszliwa istota stała na wzniesieniu, spoglądając z okrutnym, demonicznym uśmiechem na zebrany przed nią tłum. Spojrzałem dokoła i przyszły mi na myśl słowa Scanlana o stadzie królików i łasicy. Atlantyjczycy padli na kolana, strwożeni, podtrzymując się wzajemnie i patrząc szeroko rozwartymi oczyma na przewyższającą ich wzrostem olbrzymią postać i bezlitosną, jakby z granitu wykutą twarz, spoglądającą na zdjęty grozą tłum. Zdaje się, że wyrok już zapadł i że wszyscy czekali na śmierć, jaką sprowadzić miała teraz ta nieubłagana istota. Manda stał, zgięty w kornym pokłonie, błagając o litość dla swego ludu, ale widzieliśmy, że prośby zdawały się tylko drażnić potwora, który słuchał ich z szyderskim uśmiechem. Nagle groźny przybysz wypowiedział kilka szorstkich słów, przerywając błagania Mandy i wznosił rękę w górę. Zebrany tłum wydał okrzyk rozpacz.

I w tej chwili dr. Maracot wskoczył na wzniesienie. Widok uczonego budził powszechne zdumienie. Jakiś dziwny cud zamienił całą jego istotę. Poruszał się i gestykulował, jak młodzieniec, ale wyraz jego twarzy świadczył o wprost nieziemskiej sile. Podszedł do smągłego olbrzyma, który spoglądał na niego ze zdumieniem.

— Czego chcesz ode mnie, marny człowieku? - zapytał.

— Chcę powiedzieć tylko, że przyszedł czas na ciebie - rzekł Maracot. - Zbyt długo urągałeś śmierci. Odejdź! Wracaj do piekła, które czeka na ciebie od wieków! Jesteś księciem ciemności. Czas ci odejść w ciemność.

Oczy demona zabłyśły.

- Jeśli czas mój przyjdzie, o ile kiedyś przyjdzie, dowiem się o tym nie z ust nędznego śmiertelnika - rzekł olbrzym. - Kim jesteś, który się ważysz mnie opierać? Mogę zniszczyć cię jednym ruchem.

Maracot spojrział śmiało w te straszliwe oczy. Zdawało się nawet, że olbrzym nie mógł wytrzymać jego spojrzenia.

- Nieszczęsna istoto - rzekł Maracot. - To ja mam siłę i moc unicestwienia cię. Zbyt długo byłeś klęską dla świata. Zbyt długo niszczyłeś i paczyłeś wszystko, co piękne i dobre. Ludzie odetchną, kiedy odejdiesz... Słońce będzie jaśniej świecić...

— Co to ma znaczyć? Kim jesteś? Co oznaczają twoje słowa? - wyjąkał przybysz.

— Czyż mam cię uczyć, na czym polega prawdziwa mądrość? Wiedz, że na każdej płaszczyźnie dobro jest silniejsze od zła. Anioł zawsze pobije diabła. W tej chwili jestem na tej samej płaszczyźnie, na której przebywałeś od dawna i trzymam w rękach zwycięstwo. Danem mi było zwyciężyć cię. Dlatego, powtarzam, odejdź! Ruszaj do piekła, do którego należysz! Precz! Precz, powtarzam. Precz!

I stał się cud. Przez minutę lub dwie - trudno oznaczać czas w takich chwilach - obie istoty, śmiertelnik i demon, spoglądały na siebie

nieruchome jak posągi, mierzyły się wzrokiem, a twarze ich wyrażały nieugiętą wolę. Nagle olbrzym zachwiał się. Twarz wykrzywiła mu się z wściekłości, podniósł w górę ramiona... „To ty, Warda, ty przeklęty! Poznaję twoje dzieło! Oh, przeklinam cię, Warda! Przeklinam!” Głos jego ucichł, kontury smukłej, ciemnej postaci zaczęły się zacierać, głowa opadła na jego piersi, kolana ugięły się pod nim, zaczął się słaniać na nogach, wreszcie upadł. Padając, zmieniał kształt. Zrazu była to postać człowieka na czworakach, potem ciemna, nieregularna masa, a w końcu w jednej chwili zmienił się w czarną, obrzydliwą, śmierdzącą kałużę. Równocześnie pośpieszyłem wraz ze Scsnlanem na pomoc drowi Maracotowi, który zupełnie wyczerpany upadł z głośnym jękiem na ziemię...

- Zwyciężyliśmy! Zwyciężyliśmy! - szepnął i stracił przytomność.

W ten sposób kolon ja Atlanty języków uchronioną została przed najstraszliwszym niebezpieczeństwem, jakie jej mogło zagrażać i w ten sposób przepędzono złego ducha, który wieki całe był przekleństwem świata. Minęło kilka dni, zanim dr. Maracot mógł nam opowiedzieć swoją historję, a kiedy to uczynił byliśmy skłonni zrazu uważać wszystko za majaczenia chorego człowieka. Wistocie, gdyby nie osiągnięte wyniki, całe jego opowiadanie możnaby uważać za bajkę. Muszę nadmienić, że z chwilą, kiedy niebezpieczeństwo minęło stracił on swe niezwykle własności i stał się znowu tym samym cichym, spokojnym uczonym, któregośmy znali.

— Że się to mnie musiało przytrafić! - zawołał. - Mnie, materialście, nie uznajęmu żadnych nadzmysłowych czynników. To przekreśla dotychczasowe moje pojęcia o życiu i wszechświecie.

— Sądzę, że wszyscy otrzymaliśmy dobrą nauzkę - rzekł Scanlan. - Jeśli kiedykolwiek wrócę do ojczyzny, będę mógł wiele opowiedzieć.

— Im mniej będziesz opowiadał, tern lepiej. Chyba, że zależy ci na sławie największego łgarza Ameryki - rzekłem. - Sądziś, że uwierzylibyśmy komuś, gdyby nam opowiedział, co się tu przytrafiło.

— Być może, że masz słusność. Ale powiedz, doktorze, jak się do tego zabrałeś. Ten wielki, czarny djabeł został pokonany raz na zawsze. Nie wróci już. Nie ma tu dla niego miejsca. Nie wiem, gdzie uciekł, ale ja go szukać nie będę.

— Powiem wam, co się stało - rzekł doktor. - Przypominacie sobie, że opuściłem was i poszedłem do pracowni. Miałem mało nadziei, ale czytałem swojego czasu wiele o czarnej magji i sztukach tajemnych. Wiedziałem, że dobro zawsze pokona zło, jeśli się zdoła wznieść na tę samą płaszczyznę. On był na płaszczyźnie o wiele ode mnie silniejszej - nie chcę powiedzieć - wyższej. To stanowiło poważną trudność.

- Nie widziałem wyjścia. Rzuciłem się na łóżko i modliłem się - tak jest, ja zatwardziały materialista modliłem się - o pomoc. Kiedy ziemskie środki zawiodą, nie pozostaje nic innego, jak wyciągnąć błagalne dłonie w mgłę, która nas otacza. Modliłem się - i modlitwa moja w cudowny sposób została wysłuchana.

Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że nie jestem sam w pokoju. Przede mną stał wysoki, brodaty mężczyzna o cerze tak smagłej, jak zła istota, którą zwalczyliśmy, ale o rysach twarzy dobrych, miłych i świadczących o życzliwości. Widok jego wpoił we mnie przekonanie, że rozporządza on również niezwykle środkami, ale używa ich w dobrych celach i że wpływ jego zdolny jest zwyciężyć złe moce, które pierzchną przed nim, jak mgła przed promieniami słońca. Spoglądał na mnie łaskawie, a ja wpatrywałem się w niego, siedząc na łóżku, tak zdumiony, że nie mogłem ust otworzyć. Coś we mnie - jakieś natchnienie czy intuicja - powiedziała mi, że był to duch wielkiego i mądrego Atlanty języka, który zwalczał zło za życia i który nie mogąc zapobiec grożącej jego ojczyźnie zagładzie, przedsięwziął kroki wiodące do ocalenia bardziej wartościowych jednostek, chociażby te zmuszone były do przebywania w głębi oceanu. Ta cudowna istota zjawiała się teraz, aby nie dopuścić do zniszczenia swego dzieła i zagłady swoich dzieci. Zrozumiałem to w jednej chwili, jakby mi sam powiedział i otucha wstąpiła w moje serce. Potem, uśmiechając się wciąż, podszedł do mnie i dłonie swoje złożył na mojej głowie. Nie ulega wątpliwości, że chciał przelać na mnie własne swoje cnoty i siłę. Czulem, że w żyły moje przenika jakiś dziwny ogień. W tej chwili ważyłbym się na wszystko. Miałem wolę i moc czynienia cudów. I teraz usłyszałem dźwięk dzwonu, świadczący, że przyszła chwila przełomowa. Kiedy wstałem z łóżka, duch, którego uśmiech zdawał się dodawać mi odwagi, zniknął. Potem przyszedłem do was... Resztę wiecie.

- Tak, sir - rzekłem. - Sądzę, że zyskałeś wielką sławę. Gdybyś nawet chciał ogłosić się

bożkiem, nie napotkałbyś na trudności.

— Udało ci się lepiej, niż mnie, doktorze - rzekł Scanlan skromnie. - Ale, jak sobie tłumaczyć, że ten diabeł nie wiedział, co pan zamyśla. Ze mną załatwił się bardzo prędko...

— Przypuszczam, że byłeś na płaszczyźnie materji, a my w danej chwili byliśmy na płaszczyźnie ducha - rzekł doktor zamyślony. - Tego rodzaju sprawy uczą człowieka skromności. Tylko wówczas, kiedy uda się nam wznieść ponad poziomy, zdajemy sobie sprawę z tego, jak nędznymi jesteśmy stworzeniami. Nie zapomnę w przyszłości o udzielonej mi nauczce.

Tak skończyła się najdziwniejsza z naszych przygód. W krótki czas potem powzięliśmy plan przesłania na powierzchnię wieści o naszym ocaleniu i wydostania się z głębi morza przy pomocy napełnionych levigenem kul szklanych, które wyłowiono w sposób opisany przezemnie w „Głębinie Maracota”. Dr. Maracot myśli rzeczywiście o powrocie. Chodzi mu o wyjaśnienie pewnych zagadnień z dziedziny ichtjologii. Scanlan, jak słyszę, ożenił się ze swoją dżierlatką w Filadelfji i został werkmistrzem w warsztatach Merribanka, ło też wątpię, by szukał nowych przygód, podczas gdy ja - mnie morze obdarzyło bezcennym klejnotem i niczego już więcej nie żądam.

GROŻNA MASZYNA.

Profesor Challenger był w humorze możliwie najgorszym. Stojąc we drzwiach jego pracowni, z ręką na klamce i nogą na dywanie, usłyszałem monolog, wypowiedziany grzmiącym głosem, którego echo rozlegało się donośnie w całym domu.

- Tak, to już drugie niepotrzebne wezwanie. Drugie dzisiejszego ranka. Czy pan sobie wyobraża, że człowiek nauki ma czas odrywać się od ważnej pracy i spieszyć do telefonu na każde wezwanie jakiegoś idjoty? Nie życzę sobie tego. Proszę natychmiast posłać po kierownika. Ah! Pan jest kierownikiem. Dlaczego pan tego nie dopilnuje. Dlaczego pan nie dopilnuje, aby nie odrywano mnie od pracy, której znaczenia mózg pański pojąć nie potrafi? Proszę zawezwać dyrektora! Niema go? Tak przypuszczałem. Zaskarżę pana do sądu, jeśli się to jeszcze raz przytrafi. Nie dam drwić z siebie. Zażalenie na piśmie? Zastanowię się nad tern. Do widzenia!

W tern miejscu zdecydowałem się wejść do środka. Chwila była niezbyt szczęśliwie wybrana. Stałem przed nim, kiedy odwrócił się od telefonu - prawdziwy lew w gniewie. Jego wielka, czarna broda najeżyła się, potężne piersi dyszały z oburzenia, a jego bezczelne, szare oczy mierzyły mnie od stóp do głowy, kiedy wyładowywał resztki swej wściekłości.

- Przeklęte, leniwe, przepłacone łajdaki! - ryczał. - Słyszałem, jak śmieli się, kiedy wnosiłem moje słuszne zażalenie. Uknuli spisek, aby mnie dręczyć. A teraz ty, Malone, przychodzisz, aby mi zepsuć do reszty ten nieszczęśliwy ranek. Powiedz,

czy składasz mi zwyczajną wizytę, czy też chodzi ci o interwiew na rachunek tej twojej szmaty? Jako przyjaciel masz pewne przywileje - jako dziennikarz stoisz poza nawiasem.

Zacząłem szukać w kieszeni listu Mc Ardle'a, kiedy nagle przypomniał sobie coś nowego. Jego wielkie, włochate ręce przetrząsały przez chwilę papiery na biurku, i w końcu znalazły wycinek z gazety.

— Byłeś tak dobry wspomnieć o mnie w jednym ze swoich wypracowań - rzekł, podnosząc do góry papier. - Mam na myśli twoje niezbyt mądre uwagi na temat świeżych wykopalisk w Solenhofen. Rozpocząłeś ustęp słowami: „J. E. Challenger, jeden z naszych największych uczonych”.

— I cóż, sir? - zapytałem.

— Skąd te zawistne określenia i ograniczenia? Może mi wymienisz nazwiska tych wybitnych uczonych mężów, których uważasz za równych mi względnie wyższych odemnie?

- Źle się wyraziłem. Powinienem był powiedzieć: „Nasz największy żyjący uczonec”, dodałem. Ale działałem w dobrej wierze. - Słowa moje zmieniły zimę w lato.

- Drogi mój przyjacielu, nie sądz, że jestem wymagający, ale otacza mnie tylu wojowniczych i nierozsądnych kolegów, że muszę upominać się o to, co mi się słusznie należy. Nie znoszę zarozumiałości, ale uważam za konieczne stawić czoło przeciwnikom. Chodź teraz! Siadaj! Co jest powodem twojej wizyty?

Musiałem działać oględnie, gdyż wiedziałem, jak łatwo było pobudzić lwa do gniewu. Otworzyłem list Mc Ardle'a. - Czy mogę to przeczytać, sir? List pisał mój wydawca Mc Ardle.

- Przypominam go sobie... Jak na dziennikarza, robi sympatyczne wrażenie.

- Jest w każdym razie pańskim wielbicielem. Zwracał się do pana zawsze, ilekroć chodziło o sprawę pierwszorzędnej wagi. Tak jest i w tym wypadku.

— Czego sobie życzy? - Challenger puszył się, jak dziki ptak, pod wpływem pochlebstwa. Usiadł opierając się łokciami na biurku, ze złożonemi razem małpiemi rękoma, z najeżoną brodą i wielkimi, szaremi oczyma, którymi przyglądał mi się dobrotliwie z pod na wpół zamkniętych powiek. Był jak zawsze imponujący, a jego dobroć robiła jeszcze większe wrażenie, niż złośliwość.

— Przeczytam panu jego list. Pisze:

„Bądź łaskaw złożyć wizytę naszemu znakomitemu przyjacielowi, profesorowi Challengerowi i poproś go o współdziałanie w następujących okolicznościach. W „Wbite Friars Mansions, w Hampstead, mieszka Łotysz nazwiskiem Teodor Nemor, który utrzymuje, że wynalazł tajemniczą maszynę, mogącą rozłożyć na atomy każdy przedmiot w obrębie jej działania.

Materia ulega rozkładowi i wraca do stanu molekuł lub atomów. Proces ten odbywa się i na odwrót. Sprawa jest w istocie czymś niezwykłym, a jednak mamy świadectwa, że opiera się na pewnych podstawach i że człowiek ten dokonał jakiegoś epokowego wynalazku. Nie potrzebuję podkreślać rewolucyjnego charakteru takiego odkrycia i jego niesłychanego znaczenia, jako groźnej broni w czasie wojny. Mocarstwo, któreby mogło rozkładać na atomy okręty wojenne i unicestwiać bataljony wojska, chociażby na krótki czas, zapanowałoby nad światem. Ze względów społecznych i politycznych należy w czasie możliwie jak najkrótszym zbadać całą sprawę. Człowiek ten chce sprzedać swój wynalazek i dlatego widzenie się z nim nie będzie przedstawiać żadnych trudności. Załączony bilet otworzy drzwi jego domu. Pragnę, abyś pan i profesor Challenger złożyli mu wizytę, oglądnięli jego wynalazek i napisali dla „Gazety” odpowiedni artykuł o wartości odkrycia. Spodziewam się, że dziś w nocy otrzymam od pana odpowiedź. - R. Mc Ardle”.

— Oto moje instrukcje, profesorze - dodałem, składając list. - Mam nadzieję, że wybierze się pan ze mną razem, gdyż nie czuję się na siłach wygłaszać sądów w takiej sprawie - sam.

— To prawda, Malone! To prawda! - mruzczał wielki człowiek. - Jakkolwiek nie brak ci inteligencji, zgadzam się z tobą, że sprawa ta przerasta twoje siły. Ci nieznośni ludzie z telefonu zepsuli mi cały ranek tak, że nie zrobi mi to wielkiej różnicy. Przygotowuję odpowiedź temu włoskiemu pyszałkowi, Marottiemu, którego zapatrywania na rozwój larw podzwrotnikowych termitów wzbudziły we mnie pogardę i lekceważenie ale mogę

wstrzymać się ze zdemaskowaniem tego oszusta do wieczora. Tymczasem, jestem do twoich usług.

I tak znalazłem się tego październikowego ranka wraz z profesorem w kolej i podziemnej, która nas wiozła w północne dzielnice Londynu na jedną z najciekawszych przygód mego niezwykłego żywota.

Przed wyjazdem z Enmore Gardens stwierdziłem przez „nadużywany” telefon, że człowiek nasz był w domu i zapowiedziałem mu naszą wizytę. Żył w wygodnym mieszkaniu w Hampstead i kazał nam czekać przez całe pół godziny w przedpokoju, podczas gdy sam prowadził ożywioną rozmowę z grupą gości, których głosy - kiedy wkońcu żegnali się w hallu - upewniły mnie, że byli Rosjanami. Widziałem ich przelotnie przez uchylone drzwi i zrobili na mnie wrażenie ludzi bogatych i inteligentnych w swoich płaszczach z kołnierkami astrachanowymi, w błyszczących cylindrach i całym stroju typowych burżujów, który tak chętnie przywdziewa każdy komunista w chwilach pomyślności. Drzwi od hallu zamknęły się za nimi, a w chwilę potem zjawił się Teodor Nemor. Stał w świetle słonecznym, zacierając długie, chude ręce i przyglądając się nam z jowialnym uśmiechem swemi bystreimi, żółtawymi oczkami.

Był to niskiego wzrostu, tęgi mężczyzna, którego budowa nasuwała na myśl istnienie jakiegoś kalectwa, chociaż trudno było powiedzieć, na czym polegały jego fizyczne braki. Możliwyby rzecz, że był garbusem bez garbu. Jego szeroka, pulchna twarz przypominała niedopieczony budyń, gdyż miała ten sam kolor i konsystencję, podczas gdy zdobiące ją krosty i brodawki uwydatniały się tembardziej na bladym tle. Oczy miał kocie i kocie wąsy - długie, cienkie, sztywne nad zmysłowemi, oślinionemi,

lepkiemi ustami. Wszystko w nim budziło odrazę aż do brwi koloru piasku. Ponad nimi widniał wspaniały łuk czaszki. Nawet kapelusz Challengera nadawałby się na tę przepyszną głowę. Dołem możnaby uważać Teodora Nemora za nędznego, płaszczącego się spiskowca, ale w górze mógł mierzyć się z największymi myślicielami i filozofami świata.

— Panowie przyszli - rzekł, głosem aksamitnym, z ledwie uchwytnym śladem cudzoziemskiego akcentu - o ile wnioskuje z naszej rozmowy telefonicznej, aby dowiedzieć się czegoś o Desintegratorze Nemora. Czy to prawda?

— Tak jest.

— Czy panowie są przedstawicielami Rządu Brytyjskiego?

— Nie. Ja jestem korespondentem „Gazety”, a to jest profesor Challenger.

— Znane nazwisko - europejskie nazwisko. - Jego żółte kły zabłysły w obleśnym uśmiechu. - Chciałem właśnie powiedzieć, że Rząd Brytyjski stracił dobrą sposobność. Później przekona się, co jeszcze stracił. Może panowanie nad światem. Wynalazek mój byłem gotów sprzedać każdemu Rządowi, któryby mi za niego dobrze zapłacił i jeśli nabyli go ludzie dla was nieprzyjaźnie usposobieni, nie we mnie należy szukać winy.

— A więc pan sprzedał swoją tajemnicę?

— Za odpowiednią cenę.

— I nabywca będzie miał monopol?

— Bez wątpienia.

— Ale o tajemnicy pańskiej wiedzą i inni ludzie.

— Nie, sir. - Dotknął ręką wielkiego czoła. - Tajemnica moja zamknięta jest w tym schowku - a schowek to lepszy, niż zamknięta na klucz stalowa komora. Kilku ludzi zna pewne szczegóły; kilku ma jakieś pojęcie o całej tej sprawie. Ale nikt na świecie poza mną nie wie wszystkiego.

— A ci panowie, którzy kupili ten wynalazek.

— Nie sir; nie jestem tak głupi, aby wyjawiać na czym polega tajemnica, jak długo mi za nią nie zapłacą. Mnie kupują, a razem ze mną ten schowek - znów dotknął ręką czoła - z całą jego zawartością. Ja dotrzymam przyrzeczenia - bez zastrzeżeń. A potem, zmieniają się losy świata. - Zatarł ręce i roześmiał się szydersko.

— Proszę mi wybaczyć, sir - odezwał się Challenger, który siedział dotąd w milczeniu, ale którego wyrazista twarz oświadczyła, że Teodor Nemor zupełnie mu się nie podoba - ale chcielibyśmy przekonać się przed omówieniem sprawy, czy warta jest, aby o niej dysputować. Nie zapomnieliśmy jeszcze o owym Włochu, który twierdził, że może na odległość zapalać miny, a który okazał się oszustem. Historia może się powtórzyć. Pan wie, sir, że cieszę się sławą uczonego i to nie tylko w Europie - jak pan raczył nadmienić - ale i w Ameryce. Ostrożność winna cechować każdego uczonego, to też nie będziemy traktować poważnie pańskich słów, dopóki nam nie przedstawisz dowodów.

Żółte oczka Nemora spojrzały na mojego towarzysza z szczególną złośliwością, ale jowialny uśmiech jeszcze bardziej się uwydatnił.

- Jesteś pan godny sławy, jaką się cieszysz, profesorze. Mówiono mi, że pana nikt na świecie nie

zdoła w błąd wprowadzić. Gotowy jestem zademonstrować mój wynalazek i przekonać pana o jego wartości praktycznej, ale wpierw muszę powiedzieć na czym polega jego zasada.

— Proszę, uprzytomnić sobie, że to urządzenie, które mam w pracowni jest tylko modelem, chociaż model ten W swoim zakresie działa doskonale. Nie napotkałbym np. na żadne trudności, gdyby chodziło o - rozłożenie pana na atomy i złożenie z powrotem, ale Rządowi, który zgodził się na zapłacenie mil jonowej ceny za mój wynalazek nie chodzi o takie drobnostki. Model mój jest raczej zabawką naukową. Tylko jeśli zastosuje się te same środki na wielką skalę,” można osiągnąć olbrzymie rezultaty w praktyce.

— Czy możemy zobaczyć model?

— Nie tylko, że go pan zobaczy, profesorze Challenger, ale zademonstruję jego działanie na pańskiej osobie, jeśli tylko masz tyle odwagi.

— Jeśli! - lew zaczął ryczeć. – Pańskie „jeśli” jest obrazą.

— Dobrze, dobrze. Nie mam zamiaru dyskutować o pańskiej odwadze, chcę tylko powiedzieć, że dam panu sposobność przekonania się o wartości wynalazku. Ale wpierw wspomnę w kilku słowach, w jaki sposób można sobie wytłumaczyć działanie mojej maszyny.

— Kiedy pewne kryształy np. sól lub cukier znajdują się w wodzie, rozpuszczają się i znikają. Nikt nie pozna, że tam kiedyś były. Jeśli przez odparowanie lub w inny sposób zmniejszy pan ilość wody, pojawiają się znowu w takiej samej formie. Czy może pan wyobrazić sobie proces, którego wynikiem byłoby rozpuszczenie pana - istoty organicznej - w kosmosie, a potem złożenie na

powrót w takich samych warunkach?

— Porównanie jest fałszywe - zawołał Challenger.- Gdybym nawet przyjął” że jakaś potworna siła zdołałaby rozłożyć nas na drobiny, skąd pewność, że złożyłaby je w takim samym porządku, jak przedtem.

— Słuszna uwaga, ale mogę tylko odpowiedzieć, że składa je właśnie w ten sposób. Każda cegielka wpada na swoje miejsce w niewidzialnym rusztowaniu. Pan się uśmiecha, profesorze, ale wkrótce zapomnisz o nieufności i śmiechu.

Challenger wrzucił ramionami, i - Zgadzam się na próbę.

— Chciałbym zwrócić waszą uwagę, panowie, jeszcze na jeden fakt, który ułatwiłby wam zrozumienie mojego pomysłu. Słyszeliście zapewne o znanych w magji Wschodu i w Zachodnim okultyzmie *apportach*, kiedy jakiś przedmiot przyniesiony zostaje niespodzianie zdaleka i zjawia się na howem miejscu. Zjawisko to wytłomaczyć można tylko rozłożeniem takiego przedmiotu na drobiny, które zostają przeniesione na falach eteru i złożone w takiej samej formie, jak przedtem, wskutek działania jakiejś przemożnej siły. Działanie mojej maszyny byłoby analogiczne.

— Nie można wyjaśniać zagadkowych rzeczy rzeczami, które są również zagadkowe - rzekł Challenger. - Nie wierzę w pańskie *apporty*, Mr. Nemor, równie jak w pańską maszynę. Czas mój jest drogi i jeśli chce nam pan coś zademonstrować, nie róbmy ceremonij.

— A więc proszę za mną - rzekł wynalazca, Zaprowadził nas na dół po schodach do małego ogrodu i do leżącego za nim domku, który otworzył.

Weszliśmy do środka.

Wewnątrz był wielki, świeżo wybielony pokój z niezliczoną ilością drutów miedzianych zwisających w girlandach z sufitu i potężnym magnesem, umieszczonym na piedestale. Nawprost niego stał szklany pryzmat, długi na trzy stopy i mający stopą średnicy. Na prawo znajdowało się krzesło, ustawione na cynkowej platformie, nad którym wisiała tarcza z polerowanej miedzi. Zarówno od tarczy, jak i od krzesła odchodziły grube druty, a w kącie stało coś w rodzaju mechanizmu zegarowego, składającego się z zębatego kółka poruszanego przy pomocy gumowej rękojeści, którą można było przesunąć, w odpowiednie miejsca, oznaczone numerami. Rękojeść leżała na zerze.

— Desintegrator Nemora - rzekł ten dziwny człowiek, wskazując na maszynę.

— Oto model, który zyska kiedyś wiekopomną sławę, jako czynnik, który zmienił równowagę sił między mocarstwami. Właściciel jego trzyma w ręku losy świata. Odniosłeś się pan do mnie, profesorze Challenger, z pewnym - powiedziałbym - lekceważeniem. Czy odważy się pan usiąść na tern krzesło i czy pozwolisz mi na zademonstrowanie na pańskim ciele działania nowej siły?

Challenger był odważny, jak lew i wszelkie złośliwe uwagi wprawiały go w szal. Chciał podejść do maszyny, ale chwyciłem go za ramię i powstrzymałem.

- Nie.- rzekłem. - Pańskie życie, jest zbyt wartościowe. To potworne. Nie ma pan żadnej pewności bezpieczeństwa. Przyrząd ten dziwnie mi przypomina krzesło elektryczne do tracenia skazańców, które widziałem w Sing Sing.

— Mam pewność bezpieczeństwa - rzekł Challenger - gdyż jesteś świadkiem, któryby natychmiast oskarżył tego osobnika o zabójstwo, gdyby mi się coś stało.

— Byłoby to marną pociechą dla naukowego świata, gdyby pan umarł, pozostawiając tyle prac niedokończonych. Pozwól mi pan przynajmniej spróbować najpierw, a potem, kiedy doświadczenie okaże się nieszkodliwym, możesz pójść w moje ślady.

Niebezpieczeństwo osobiste nie przeraziłoby Challengego, ale myśl, że prace jego mogłyby zostać nieskończone, uderzyła go nieprzyjemnie. Zawahał się, a zanim odzyskał równowagę, podszedłem do krzesła i usiadłem na niem. Ujrzałem, że wynalazca położył dłoń na rękojeści. Usłyszałem słaby zgrzyt. Potem przez chwilę doznawałem dziwnego wrażenia; zakreśliło mi się w głowie, i zaćmiło w oczach. Kiedy się ocknąłem, wynalazca stał przede mną, uśmiechając się szydersko, a Challenger błady i zmieszany patrzył gdzieś w kąt pokoju.

- Dalej, zaczynajcie! - rzekłem.

- Już po wszystkim. Doświadczenie z panem udało się wspaniale - odparł Nemor. - Zejdź pan z krzesła, gdyż profesor Challenger zechce pewnie sam spróbować.

Nigdy nie widziałem mojego starego przyjaciela tak zmieszanego. Jego stalowe nerwy zawiodły go tym razem. Chwylił mnie za ramię drżącą ręką.

- Na Boga, Malone, to prawda - rzekł. - Zniknąłeś. To nie ulega wątpliwości. Widziałem przez chwilę mały obłoczek, a potem już nic.

Jak długo mnie nie było?

— Dwie lub trzy minuty. Byłeni, przyznam się, przerażony. Nie spodziewałem się, że wrócisz. Potem on przesunął dźwignię - jeśli to dźwignia - w inne miejsce i ujrzałem cię na krześle takim, jak zawsze. Odetchnąłem na twój widok! - otarł pot z czoła ową ogromną czerwoną chustką.

— Teraz, sir - rzekł wynalazca. - może nerwy odmówiły ci posłuszeństwa?

Challenger opanował się z widocznym wysiłkiem. Potem, odsunawszy mnie na bok, usiadł na krześle. Rączka zatrzymała się pod numerem trzecim. Zniknął.

„Gdyby nie zupełny spokój operatora, zdjęłaby mnie groza. - To interesujący proces, nieprawdaż? - zapytał. - Kiedy się weźmie pod uwagę potężną indywidualność profesora, trudno wierzyć, że jest on teraz chmurką molekulo w, unoszącą się gdzieś w tym budynku. Jest on, rzecz prosta, zdany na moją łaskę. Gdybym chciał pozostawić go w takim stanie, żadna siła na świecie nie mogłaby mi w tym przeszkodzić.

- Ja jużbym się o to postarał.

Usta jego wykrzywiły się znów w szyderskim uśmiechu.

— Proszę nie sądzić, że coś podobnego miałem na myśli. Broń Boże! Pomyśl pan - profesor Challenger rozłożony na atomy i pochłonięty na stałe przez wszechświat. To straszne! Straszne! Bądź co bądź jednak, możnaby mu dać nauczkę. Cóż pan na to?

— Nie, nie życzę sobie tego.

— Dobrze, nazwiemy to ciekawą demonstracją. Będzie to tematem do interesującego artykułu. Przekonałem się, np. że włosy jako zależne

od zupełnie odmiennych drgań eteru, jak reszta żyjących tkanek, mogą być włączone lub wyłączone zależnie od woli. Ciekawy jestem, jak wygląda niedźwiedź bez swoich kudłów. Patrz pan!

Usłyszałem zgrzyt dźwigni. W chwilę później Challenger siedział znowu na krześle. Ale jaki Challenger! Widok jego przypominał ostrzyżonego lwa. Jakkolwiek byłem wściekły, że splatano mu figla, zaledwie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

Jego wielka głowa była łysa, jak u dziecka, a podbródek tak gładki, jak u dziewczyny. Dolna część twarzy, pozbawiona zarostu przypominała kolano, podczas gdy cały jego wygląd upodabniał go do starego, wojowniczego gladiatora, pokonanego i złamanego na duchu, z szczękami buldoga ponad masywnym podbródkiem.

Być może, że sprawił to wyraz naszych twarzy - nie wątpię, że złośliwy uśmiech mojego towarzysza stał się jeszcze złośliwszym na ten widok - ale, bądź co bądź, Challenger dotknął ręką swojej głowy i zdał sobie sprawę ze swojego stanu. W następnej chwili zerwał się z krzesła, chwycił wynałazcę za gardło i rzucił go na ziemię. Znając niezwykłą siłę Challengeera byłem przekonany, że go zabije.

- Na Boga! Bądź pan ostrożny! Jeśli go zabijesz, pozostaniesz łysy na zawsze! - zawołałem.

Ten argument przekonał go. Challenger nawet w napadzie wściekłości nie tracił zdolności rozumowania. Zerwał się z podłogi, podnosząc drżącego wynałazcę.

- Daję panu pięć minut czasu - wykrztusił rozgniewany. - Jeśli w ciągu pięciu minut nie odzyskam dawnego wyglądu, zabiję cię, jak muchę.

Wszelkie dysputy z Challengeerem były

niebezpieczne. Najodważniejszy człowiek przestraszyłby się go w ataku furji, a Mr. Nemar nie grzeszył odwagą. Przeciwnie, pryszcze i brodawki na jego twarzy uwydatniły się jeszcze bardziej, kiedy kolor jej, przypominający zwyczajny kit, zmienił się na kolor rybiego brzucha. Drżał, jak osika i zaledwie mógł mówić.

- Doprawdy, profesorze - bełkotał, trzymając się ręką za szyję - nie potrzebuje pan uciekać się do gwałtu. To tylko niewinny żart. Chciałem zademenstrować siłę Mojej maszyny. Przypuszczałem, że zależy panu na pełnej demonstracji. Nie miałem zamiaru obrażać cię, profesorze.

W odpowiedzi Challenger usiadł z powrotem na krześle.

— Uważaj na niego, Malone. Wypraszam sobie wszelkie poufałości.

— Dobrze, sir.

— A teraz napraw pan to, coś zrobił, inaczej będzie źle.

Przerażony wynalazca podszedł do swej maszyny. Siła jednocząca atomy zaczęła działać w całej pełni i w chwilę potem stary lew odzyskał swą kudłatą grzywę. Przesunął z czułością rękę po brodzie i podniósł ją do czaszki, aby się przekonać, czy nastąpiło zupełne odnowienie. Potem zeszedł uroczyście z krzesła.

- Pozwoliłeś sobie na żart, sir, który mógł mieć dla pana bardzo przykre następstwa. Ale przyjmuję pańskie usprawiedliwienie, że uczyniłeś to wyłącznie w celach de-

monstracyjnych. A teraz, chciałbym zadać panu kilka pytań w sprawie wykrytej - jakoby przez pana - potężnej siły.

- Gotów jest odpowiedzieć na wszystkie pytania, wyjąwszy skąd bierze się ta siła. To jest moją tajemnicą.

— I pan na ser jo utrzymuje, że nikt na świecie nie zna jej oprócz pana?

— Nikt nie ma o niej najmniejszego pojęcia.

— Żaden pomocnik?

— Nie, sir. Pracuję sam.

— To bardzo interesujące. Przekonałeś mnie pan o istnieniu tej siły, ale nie rozumiem, jakie może być jej zastosowanie w praktyce.

— Mówiłem już, sir, że to tylko model. Ale zbudowanie przyrządu na wielką skalę nie przedstawia żadnych trudności. Model działa w kierunku pionowym. Pewne prądy w górze a inne w dole wywołują fale eteru, które albo rozkładają, albo jednoczą. Ale proces ten odbywać się może i na boki. Odpowiednio utawiony przyrząd panować będzie nad daną przestrzenią, zależnie od siły prądu.

— Proszę o przykład.

— Przypuśćmy, że jeden biegun umieszczony jest w małym naczyniu, a drugi w innym, okręt wojenny między nimi rozpadnie się poprostu na drobiny. Podobny los spotka oddział wojska.

— I pan sprzedałeś ten wynalazek jednemu z Mocarstw Europejskich z prawem wyłącznego użytkowania?

— Tak jest, sir. Skoro mi zapłacą, staną się najsilniejszym państwem na świecie. Pan nie zdaje sobie nawet sprawy w jak różnorodny sposób wykorzystać mogą podobny wynalazek ludzie,

którzy nie mają skrupułów. - Zła twarz naszego gospodarza wykrzywiła się w obleśnym uśmiechu. - Wyobraź pan - sobie dzielnicę Londynu, w której ustawiono takie maszyny. Pomyśl pan o skutkach działania odpowiednio silnego prądu. W istocie - parsknął śmiechem - możnaby oczyścić całą dzielnicę Tamizy i z tych mil jonów jej mieszkańców nie pozostałaby żywa dusza.

Słowa te przyprawiły mnie o dziwny lęk - a jeszcze więcej radosny ton, jakim zostały wypowiedziane. Ale na mojego towarzysza wywarły one, jak się zdawało, zgoła odmienne wrażenie. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu wybuchnął rubasznym śmiechem i wyciągnął rękę do wynalazcy.

- Muszę panu powinszować, Mr. Nemor - rzekł. - Nie ulega wątpliwości, że wykradłeś Przyrodzie tajemnicę, którą uda ci się wykorzystać dla dobra ludzkości. Przykra to rzecz, że wykorzystasz ją w celach destruktywnych, ale Nauka, nie zna uprzedzeń. Idzie tam, gdzie ją prowadzi wynalazca. Przypuszczam, że mimo zrozumiałych zastrzeżeń co do samego pomysłu, pozwoli mi pan na oglądnięcie maszyny, nieprawdaż?

- Proszę. Maszyna to tylko ciało. Duszy jej, ożywiającej ją zasady, tego pan nie zrozumie.

— Właśnie. Ale już sam mechanizm budzi podziw..- Przez pewien czas oglądał ją, dotykając ręką poszczególnych części. Potem usiadł znowu najizolowanem krześle.

— Chce pan jeszcze raz wyruszyć w wszechświat? - zapytał wynalazca?

— Później, może później! Ale tymczasem, o ile mi się zdaje, coś jest nie w porządku. Czuję wyraźnie słaby prąd.

— Niemożliwe. Krzesło jest izolowane.

— Ale zapewniam pana, że czuję. - Podniósł się z krzesła. Wynalazca zajął jego miejsce.

— Nic nie czuję.

— Jakto? Nie czuje pan mrowienia w całym ciele?

— Nie, sir, nie czuję.

Usłyszałem słaby zgrzyt i człowiek zniknął. Spojrzałem ze zdziwieniem na Challengera. - Wielkie Nieba! Czy pan dotknął się maszyny, profesorze?

Uśmiechnął się do mnie dobrotliwie z wyrazem zdziwienia na twarzy.

— Mój Boże! Możliwe, że niechcący dotknąłem się rączki - rzekł. - W takim wypadku o nieszczęście nie trudno. Rączka powinna być ochroniona.

— Stoї na numerze trzecim. To miejsce, - w którym następuje rozkład.

— Tak mi się zdaje.

— Ale byłem tak podniecony, kiedy pana sprowadził z powrotem, że nie widziałem, które miejsce odpowiada procesowi jednoczenia drobin. Czy pan tego nie zauważył?

— Być może, że zauważyłem, młodzieńcze, ale nie zaprzętałem swego umysłu takimi drobiazgami. Jest tu szereg zatyczek, a my nie wiemy, do czego służą. Nie możemy robić doświadczeń, nie znając przyrządu. Mogłoby z tego wyniknąć jakieś nieszczęście. Lepiej będzie, jeśli pozostawimy wszystko, jak jest.

— Pan chciałby...

- Właśnie. Tak będzie lepiej. Interesująca osobistość Mr. Teodora Nemora rozplynęła się w wszechświecie, jego maszyna niema wartości, a pewien Rząd cudzoziemski stracił możliwość wykorzystania do swoich, może nieczystych, celów, groźnego wynalazku. Spędziliśmy rano pracowicie, młodzieńcze. Pańska szmata uzyska bez wątpienia interesujący artykuł o niewytłomaczonym zniknięciu łotewskiego wynalazcy wkrótce po wizycie jej specjalnego korespondenta. Ja zrobiłem ciekawe doświadczenie. To jedna z jasnych chwil w monotonnym życiu uczonego. Ale trzeba pomyśleć z kolei i o obowiązkach. Wracam do Włocha Marottiego i jego zapatrywań na rozwój larw podzwrotnikowych termitów.

Oglądałem się i przez chwilę wydawało mi się, że widzę wciąż jeszcze unoszącą się nad krzesłem oleistą mgłę.- Ale w tym wypadku... - zacząłem.

- Pierwszym obowiązkiem szanującego prawa obywatela jest nie dopuścić do morderstwa - rzekł profesor Challenger. - Zrobiłem to. Dość, Malone, dość! Nie chcę dyskutować na ten temat. Zbyt długo zajmowałem się głupstwami.

CONAN DOYLE

EKSPERYMENT

PROFESORA CHALLENGERA

Z upoważnienia autora przełożył BRONISŁAW FALK

WARSZAWA - 1930

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

Przypominałem sobie, jak przez sen, że przyjaciel mój Edward Malóne z „Gazety” mówił mi o profesorze Challengerze, z którym przeżył swojego czasu jakieś niezwykle przygody. Jestem jednakże tak zapracowany i firma moje ma tyle spraw do załatwienia, że interesować mnie muszą tylko wypadki, owiązane z moim zawodem. Przypomniałem sobie, że Challenger miał opinię dzikiego geniusza o gwałtownym i bezwzględny charakterze. To też ze zdziwieniem przeczytałem przesłany mi list tej treści: - 14 (Bis), Enmore Gardens, Kenńsington.

„Panie, - „Szukam eksperta, znającego się na wierceni u artezyjskich studzien. Nie chcę ukrywać, że mam bardzo złą opinię o ekspertach wogóle, gdyż przekonałem się, że każdy, jak ja, zrównoważony człowiek stoi o całe niebo wyżej od jednostki poświęcającej się wyłącznie jakiejś specjalności (która najczęściej nie zasługuje nawet na miano specjalności). Ale mimo wszystko chcę spróbować. Przeglądając listę znawców studzien artezyjskich, zwróciłem przypadkowo uwagę na pańskie nazwisko, a zasięgnąwszy informacji, dowiedziałem się, że jesteś znajomym mojego młodego przyjaciela, Mr.

Edwarda Malone. Proszę pana zatem, abyś zgłosił się do mnie na krótką rozmowę, gdyż jeśli odpowiesz moim wymaganiom (w co wątpię), jestem skłonny powierzyć Mu sprawę pierwszorzędnej wagi. Nie mogę narazie nic więcej powiedzieć, jest to bowiem tajemnica, o której można dyskutować tylko w cztery oczy. Proszę pana, abyś nie umawiał się z nikim na oznaczony termin i zechciał zgłosić się do mnie pod podanym adresem o 10.30 rano w przyszły piątek.

„pozostaje, sir, jak na początku „Jerzy Edward Challentger”.

Wręczyłem list urzędnikowi, który zawiadomił pisemnie profesora, że Mr. Peerless Jones stawi się u niego w oznaczonym czasie. Była to zupełnie grzeczna odpowiedź, ale zaczynała się zwrotem: „Otrzymaliśmy Pański list (bez daty) „. W rezultacie dostałem od profesora drugą epistołę:

„Panie - pisał, a pismo jego wyglądało jak zasieki z kolczastego drutu. - Jak widzę, uraziło cię to, że list mój nie miał daty. Zwracam jednak pańską uwagę na fakt, że Rząd nasz ma zwyczaj umieszczać na kopercie małą, okrągłą pieczętkę, która zaopatrzona jest w datę wysłania listu na pocztę. O ile pieczętki tej brakowało lub o ile była zatarta, ma pan prawo wniesienia skargi do odpowiednich władz. Co do mnie, radziłbym zajmować się sprawami zawodowymi, a nie interesować się zewnętrzną formą moich listów.”

Było jasnym, że miałem do czynienia z warjatem, postanowiłem zatem przed zgłoszeniem się do profesora porozumieć się z moim przyjacielem Malone'm, którego znałem jeszcze z czasów studenckich i zapytać go o zdanie w tej sprawie. Przywitał mnie serdecznie i przeczytał z uśmiechem

listy Challengeera.

— To jeszcze nic, mój chłopcze - rzekł. - Przekonasz się sam po pięciu minutach rozmowy, że trudno z nim wytrzymać. Wyzywa do walki cały świat.

— I świat sobie na to pozwala?

— Cóż znowu. Jeśli policzysz wszystkie pozwy sądowe, wszystkie sprzeczki, wszystkie bitki...

— Bitki?

— Zapewniam cię, że drobnostką dla niego jest zrzucić ze schodów osobnika, który się mu narazi. Jest to człowiek jaskiniowy. Z pałą w jednej ręce i krzemiennym nożem w drugiej wyglądałby wspaniale. Pewni ludzie rodzą się o sto lat zapóźno, ale on powinien urodzić się tysiące lat temu. Należy do okresu neolitycznego; to pewne.

— I jest profesorem?

— To jest właśnie najdziwniejsze. Jest to najgenialniejszy mózg w Europie... Rozporządza tak wielkim zasobem energii, że urzeczywistnić może najśmielsze zamysły. Koledzy nienawidzą go, gdyż trzeba nadludzkiej cierpliwości, aby znieść wszystkie jego uchybienia... Nic sobie nie robi z nikogo...

— Dobrze - rzekłem. - Zrzeknę się więc pracy na jego korzyść i nie pójdę wcale na wyznaczone spotkanie.

— Tego ci nie radzę. Mógłbyś narazić się na wielkie nieprzyjemności. Zresztą, nie bierz zbyt serjo tego, co mówiłem o starym Challengerze. Każdy, kto go bliżej pozna, musi go pokochać. Ten stary niedźwiedź nie wyrządzi nikomu krzywdy. Pamiętam, jak niósł na plecach dziecko chore na ospę, na przestrzeni stu mil, kiedyśmy szli w kierunku rzeki Madeiry. Jest pod każdym względem wielki. Nie zrobi ci najmniejszej przykrości, jeśli potrafisz się zabrać do niego.

— Dziękuję. Nie mam zamiaru.

— Nie bądź głupi. Czy słyszałeś o Tajemnicy Hengist Down - szybu na Wybrzeżu Wschodnim?

- O ile wiem, chodzi o jakieś towarzystwo, które buduje w tajemnicy kopalnię węgla Mai one zmrużył oczy.

- Nie mogę udzielić ci objaśnień w tym względzie, dopóki on sam na to nie zezwoli. Zobowiązałem się milczeć. Ale mogę powiedzieć ci to, co podały gazety. Niejaki Betterton, człowiek który dorobił się pieniędzy na kaloszach, zapisał Challengerowi przed kilku laty cały swój majątek z zastrzeżeniem, że użyje go na cele naukowe. Była to suma olbrzymia - kilka milionów. Challenger kupił majątek Hengist Down, w Sussex. Było tam kilkanaście morgów nieużytków, które otoczył drutem kolczastym. W środku tego terenu znajdowała się głęboka rozpadlina. Tu zaczął kopać. Ogłosił, że w Anglii znajduje się nafta i że chce to udowodnić. Zbudował - tu Malone znowu zmrużył oczy - małą kolonię robotniczą, której mieszkańców zobowiązał do milczenia, płacąc im wysokie pensje. Rozpadlina, jak i cały majątek, otoczona jest kolczastym drutem. Pilnują jej psy gończe. Kilku

dziennikarzy o mało co nie przypląciło życiem spotkania się z niemi, nie wspominając już o ich garderobie. Jest to przedsięwzięcie, zakrojone na olbrzymią skalę. Roboty prowadzi firma sir Tomasza Mordena, która zobowiązała się również do zachowania tajemnicy. Obecnie szukają inżyniera, znającego się na wierceniu studzien, artezyjskich. Byłoby szaleństwem z twojej strony odmawiać pomocy człowiekowi takiemu, jak Challenger i wyrzekać się doskonałego zarobku.

Argumenty Malone'a przekonały mnie i w piątek rano wybrałem się do Enmore Gardens. Bałem się spóźnić, to też nic dziwnego, że stanąłem na miejscu o dwadzieścia minut za wczas. Przed bramą czekał wspaniały Rolls-Royce z srebrną strzałką na drzwiach - wóz, który jak wiedziałem, należał do Jakóba Devonshire'a, wspólnika wielkiej firmy Morden. Był to człowiek bardzo spokojny, to też zdziwiło mnie jego nagłe zjawienie się i wzburzenie malujące się na jego twarzy. Wypadłszy z bramy, wznosił ręce ku niebu i zawołał głośno: „A niech go djabli wezmą”!

— Co ci się stało, Jack? Jesteś nie w humorze.

— Ah, Peerless. I ty tutaj? Nie zazdrozczę ci.

— Spotkało cię coś przykrego?

— Chciałem się widzieć z Challengerem. Polecił mi przez odźwiernego, abym się zgłosił w odpowiedniejszym czasie, gdyż je właśnie jajka. A tu chodzi o czterdzieści dwa tysiące funtów, które nam winien. - I nie chce płacić?

- Nie; trzeba przyznać, że ten stary goryl jest bardzo choiny. Ale płaci, kiedy chce i jak chce i nie zależy mu na nikim. Bądź co bądź jednak spróbuj, a

może ci się uda. - I wskoczył do swego auta.

Czekałem z zegarkiem w ręku aż przyjdzie oznaczona godzina. Muszę przyznać, że byłem bardzo niespokojny. Nie lękałem się, gdyż przypuszczałem, że sprostam temu szaleńcowi, gdyby chciał się na mnie rzucić, ale doznawałem dziwnego uczucia, na które składała się obawa przed publicznym skandalem i niezadowolenie z możliwości utraty zarobku. Jednakże jestem człowiekiem czynu. Spojrzawszy jeszcze raz na zegarek, zadzwoniłem do bramy.

Otworzył ją stary odźwierny o drewnianej twarzy, która świadczyła, że przyzwyczajony był do wszelkich emocyj i że nic na świecie nie mogło go już zadziwić.

— Pan przychodzi wezwany? - zapytał.

— Rzecz prosta.

Spojrzał na listę, którą trzymał w ręce.

:- Pańskie nazwisko, sir?... Ah, Mr. Peerles Jones. Dziesiąta trzydzieści. Wszystko w porządku. Musimy mieć się na baczności przed dziennikarzami, Mr. Jones. Profesor, jak pan może wie, nie znosi dziennikarzy. Tędy sir. Profesor Challenger przyjmuje.

Jeszcze chwila i stanąłem przed jego obliczem. Wobec tego, że przyjaciel mój Ted Malone opisał tak dobrze Challengego w swoim „Świecie Zaginionym”, wszelkie moje próby sprostania mu pod tym względem nie mają szans. Wspomnę więc tylko, że ujrzałem mężczyznę olbrzymiego wzrostu z wielką czarną brodą w kształcie łopaty i parą szarych oczu, nawpół przysłoniętych przez powieki. Siedział za biurkiem, z głową przechyloną w tył. Cała jego postać świadczyła o aroganckim lekceważeniu.

— Czego ten chce, u diabła? - czytałem z jego twarzy. Położyłem na stole mój bilet wizytowy.

— Ah, tak - rzekł, rzuciwszy na niego okiem.- Rzecz prosta. Pan jesteś, t.zw. ekspertem... Mr. Jones... Hm! Proszę siadać... Czytałem pańską broszurę o naszych prawach do Półwyspu Sinaj. Czy pan ją sam pisał?

— Naturalnie, sir. Podpisana jest mojem nazwiskiem.

— Tak... Tak... Chociaż to niczego nie dowodzi. Ale przyjmuję do wiadomości oświadczenie pańskie. Mimo całej stylistycznej gmatwaniny, znalazł SJR w tej pracy i mądrzejsze miejsca. Czyś pan żonaty?

— Nie, sir.

— A więc jest nadzieja, że zachowa pan powierzona mu tajemnicę.

— Jeśli się do tego zobowiązę, przyrzeczenia dotrzymam.

— Tak pan mówi. Mój młody przyjaciel, Malone - mówił, o Tedzie, jak o dziesięcioletnim chłopczyku - wystawił panu pochlebne świadectwo. Twierdzi, że mogę panu zaufać. Chodzi o rzecz wielkiej wagi... Kończę właśnie przygotowania do jednego z największych eksperymentów... mógłbym powiedzieć nawet największego eksperymentu w dziejach świata. Proszę o pańską pomoc.

— Wielki to zaszczyt dla mnie.

— W istocie, to wielki zaszczyt. Przyznaję, że nie dzieliłbym się z nikim trudami, ale przedsięwzięcie zakrojone jest na olbrzymią skalę i wymaga drobiazgowego opracowania. Krótko mówiąc, chodzi o udowodnienie, że ziemia na której żyjemy jest sama również żyjącym organizmem i że posiada swój własny system nerwowy, własne

narządy oddychania, krążenia itd.

Zaiste człowiek ten był chyba szaleńcem.

— Widzę, że pański mózg nie stoi na wysokości zadania. Ale postaram się wytłumaczyć stopniowo, co mam na myśli. Zapewne zwróciło pańską uwagę podobieństwo wrzosowisk do sierści jakiegoś wielkiego zwierzęcia. A potem, przypomnij pan) sobie wzniesienia i spadki terenu, które wskazują na powolne oddychanie stworzenia. Wkońcu, weź pan pod uwagę drobne poruszenia się i skurcze, które naszym lilipucim organizmem odczuwamy jako trzęsienia ziemi.

— A wulkany? - zapytałem.

— Właśnie. Te odpowiadają aparatowi regulującemu dopływ ciepła w naszym ciele.

Zakręciło mi się w głowie. Nie umiałem znaleźć odpowiedzi na te monstrualne twierdzenia.

- A temperatura? - zawołałem. - Czyż nie jest faktem, że ta podnosi się raptownie w miarę posuwania się w głąb ziemi? Czyż nie uczono nas, że centrum jej pozostało w stanie płynnym dzięki panującemu tam gorącu?

Machnął ręką.

— A czy nie uczono pana, że ziemia jest spłaszczona na biegunach? Znaczyłoby to, że bieguny znajdujące się bliżej środka ziemi niż jakiś inny punkt na jej powierzchni, powinny być bardziej wystawione na działanie tego gorąca, o którym wspominasz. Czemuż nie panują tam tropikalne upały?

— Wszystko to jest dla mnie zupełnie nowe.

— Rzecz prosta. Przywilejem oryginalnego myśliciela jest głosić idee nowe i niezrozumiałe dla pospolitego tmotłochu. Czy pan wie, co to jest? - Pokazał mi mały przedmiot, który wziął ze stołu.

— Powiedziałbym, że to jeżowiec.

— W istocie - zawołał zdziwiony, jakby nie spodziewał się odemnie rozsądnej odpowiedzi. - Jest to jeżowiec - pospolity jeż morski. Przyroda powtarza się w wielu formach, różniących się od siebie tylko wielkością. Jeżowiec ten jest modelem, pierwowzorem świata. Ma kształt kulisty, ale jest spłaszczony na biegunach. Twierdzą, że ziemia jest olbrzymim jeżowcem. Cóż pan na to?

Myśl ta wydała mi się absurdem, ale nie śmiałem mu tego powiedzieć. Starąłem się wycofać z dyskusji, jak najostrożniej.

- Zwierzę potrzebuje pokarmurzekłem. -

Skąd ziemia mogłaby pobierać pokarm dla swego olbrzymiego cielska?

— Doskonały argument - doskonały - rzekł profesor tonem protekcyjnym. - Na ogół orientuje się pan szybciej, niż przypuszczałem. W jaki sposób ziemia pobiera pokarm? Wróćmy do jeżowca, mój przyjacielu. Woda, która go otacza, przepływa przez cewki tego małego stworzenia i zaopatruje je w materiał, potrzebny do życia.

— A więc pan sądzi, że woda...

— Nie, sir. Eter. Ziemia krąży w przestrzeni, a eter przedostaje się do jej wnętrza i zaopatruje ją w czasie ciągłej wędrówki w substancje odżywcze. Inne światy - jeżowce, Mars, Venus i td. pobierają pokarm w ten sam sposób.

Człowiek ten był szaleńcem, ale trudno było dyskutować z nim. Milczenie moje wziął za zgodę i uśmiechnął się do mnie łaskawie.

— Zaczynamy rozumieć - rzekł. - Zrazu oszalał to i ogłupiał, ale można się wkrótce przyzwyczaić. Słuchaj pan dalej. Zajmiemy się jeszcze tym małym stworzonkiem w mojej ręce.

— Przyjmijmy, że na tej twardej jego skorupie żyją małe owady. Czy jeż morski zdaje sobie sprawę z ich obecności?

— Sądzę, że nie.

— Podobnie i ziemia nie ma najmniejszego pojęcia, że rasa ludzka wykorzystuje ją do swoich celów. Nie zdaje sobie sprawy z istnienia drobnych żyjątek, które rozmnożyły się na jej powierzchni, nie wie nic o roślinności pokrywającej jej skorupę nakształt pleśni. Tak się sprawa miała do dnia dzisiejszego. Postanowiłem to jednak zmienić.

Spojrzałem na niego zdumiony. - Pan chce to zmienić?

— Zamierzam dać do zrozumienia ziemi, że jest przynajmniej jeden człowiek, Jerzy Edward Challenger, który chce zwrócić na siebie jej uwagę - który domaga się tego. Zapewne, że będzie to próba jedyna w swoim rodzaju.

— I w jaki sposób chce pan to uczynić?

— Zawezwałem pana właśnie w tym celu. Proszę znowu zwrócić uwagę na to interesujące stworzonko, które trzymam w ręce. Pod ochraniającą je skorupą znajdują się nerwy uczuciowe. Rzecz zrozumiała, że jakiś pasorzyt mógłby zwrócić jego uwagę jedynie wówczas, gdyby wywiercił dziurę w ochraniającej je skorupie i zadrażnił jego narządy czuciowe.

— Zapewne.

— Podobnie rzecz się ma z muchą lub moskitem, na które zwracamy uwagę dopiero wówczas, kiedy nas ukłują swoim żądłem. Czy pan domyśla się do czego zmierzam?

— Wielkie nieba! Pan chce wykopać studnię, drążącą przez ziemską pokrywę?

Przymknął oczy z wyrazem niewysłowionej błogości na twarzy.

- Ma pan przed sobą - rzekł - pierwszego człowieka, który przebije tę rogową pokrywę. Mogę powiedzieć nawet, który ją przebił.

— Przebił?

— Tak jest. W ciągu kilku lat bezustannej pracy, we dnie i w nocy, przy użyciu najlepszych narzędzi, świdrów, zgniataczy, środków wybuchowych - dokonałem tego. Wspierała mnie wydatnie firma Morden et Cie. Jesteśmy już prawie u celu.

— Chce pan powiedzieć, że ziemską pokrywa została przebita?

— Jeśli słowa pańskie oznaczają przestach, pomnę je milczeniem. Jeśli oznaczają niedowierzenie.

— Niech mnie Bóg broni!

- Proszę przyjąć do wiadomości to, co powiem. Przebiliśmy ziemską skorupę. Grubość jej wynosiła dokładnie czterdzieści tysięcy czterysta jardów, t. j. w przybliżeniu osiem mil. Może zainteresuje pana wiadomość, że natrafiliśmy w czasie naszych robót wiertniczych na pokłady węgla, których wartość przewyższa znacznie koszta przedsięwzięcia. Pewne trudności sprawiało nam usunięcie wody z dolnych warstw piasku i kredy, ale trudności te zostały pokonane. Jesteśmy w ostatnim stadium robót, a ostatnim stadium jest... Mr. Peerless Jones. Pan ma odegrać rolę moskita. Pański świder artezyjski będzie żądłem. Zrozumiałeś pan?

— Osiem mil! - zawołałem. - Ależ najbłębsza ze znanych studzien artezyjskich, zbudowana na Górnym Śląsku, ma sześć tysięcy dwieście stóp głębokości!

— Nie rozumie mnie pan, Mr. Peerless. Nie wydawałbym milionów na kopanie ogromnej studni, gdybym mógł osiągnąć cel przy pomocy sześciocalowego świdra. Nie żądam od pana niemożliwości. Chodzi mi, po prostu, o przygotowanie ostrego świdra, długiego na sto stóp i poruszanego przy pomocy elektryczności.

— Dlaczego przy pomocy elektryczności?

— Jestem tu na to. Mr. Jones, aby wydawać rozkazy, a nie aby udzielać wyjaśnień. Zanim skończymy, może się zdarzyć - może się zdarzyć, powiadam - że życie pańskie zależeć będzie od tego, czy świder da się wprawić w ruch z pewnej odległości przy pomocy prądu elektrycznego. Sądzę,

że da się to zrobić?

— Owszem.

— A więc proszę wszystko przygotować. Na razie obecność pańska nie jest nam potrzebna, ale czas już przystąpić do przygotowań. Skończyłem.

— Chciałbym zapytać się jeszcze o jeden ważny szczegół - rzekłem. - Muszę wiedzieć jaki grunt ma przebić mój świder. Piasek, glina lub wapień wymagają zupełnie odmiennego postępowania.

Powiedzmy - galaretę - rzekł Challenger. - Tak jest; przyjmijmy, że ma pan zapuścić swój świder w galaretę. A teraz muszę zwrócić panu uwagę, Mr Jones, że mam do załatwienia kilka spraw pierwszo rzędnej wagi... Dowidzenia. Proszę przedłożyć formalny kontrakt z obliczeniem kosztów mojemu Kierownictwu Robót.

Ukloniłem się i zawróciłem do drzwi. Ale ciekawość przemogła. Pisał już coś na papierze i spojrzał na mnie z gniewem, widząc że nie wychodzę.

— Pan jeszcze tutaj?

— Chciałem zapytać tylko, sir, co może być celem tak niezwykłego doświadczenia?

— Precz, precz - zawołał rozgniewany. - Zapomnij pan chociaż na chwilę o interesach! Wznieś się ponad poziom niskich i przyziemnych potrzeb han dlarza i kupca! Chodzi o zdobycze naukowe, o wzbogacenie wiedzy ludzkiej. Chodzi o przekonanie się, czym jesteśmy i dlaczego żyjemy, a znalezienie odpowiedzi na te pytania jest najszczytniejszym naszym dążeniem.

Czarna, wielka głowa jego pochyliła się znowu nad papierami. Pióro zaczęło skrzypieć jeszcze głośniejsze. Wyszedłem. W głowie zakręciło mi

się na myśl, że stałem się uczestnikiem tak
niezwykłego przedsięwzięcia..

Wróciłem do biura i zastałem tam
czekającego na mnie Teda Malone'a. Z wiele
mówiącym uśmiechem zapytał o rezultat mojej
wizyty.

— I nic więcej? - zawołał, kiedy
powtórzyłem mu moją rozmowę z Challengerem. -
Żadnych obelg i wygrażeń? Okazałeś wiele taktu. A
co o nim sądzisz?

— To człowiek w najwyższym stopniu
arogancki, bezwzględny i uparty, ale...

— Właśnie! - zawołał Malone. - Wszyscy
przy chodzą do tego „ale”. Rzecz prosta, że sąd twój
jest trafny, lecz z drugiej strony jest to człowiek
niezwykły i trzeba mu wiele wybaczyć. Nie sądzisz?

— Znam go bardzo mało i nie mogę
wydawać o nim sądu, ale przyznaję, że jest jedynym
w swoim rodzaju, o ile mówi prawdę i o ile słowa
jego nie są przechwałkami megalomana. Ale czy to
prawda?

— Rzecz prosta, że prawda. Challenger
nigdy nie kłamie. Ale, co ci właściwie powiedział?
Wspomniał o Hengist Down?

— Bardzo pobieżnie.

— Zapewniam cię jednak, że
przedsięwzięcie zakrojone jest na olbrzymią skalę...
Zarówno pomysł, jak i wykonanie są gigantyczne.
Challenger nie lubi dziennikarzy, ale ja cieszę się
jego zaufaniem, gdyż wie on, że nie napiszę nic nad
to, co sobie życzy. Dlatego znam jego plany, a
przynajmniej niektóre z nich. Jest on bardzo skryty i
nigdy nie można wiedzieć, do czego właściwie dąży.
Bądź co bądź, wiem tyle, że mogę cię pod pewnymi
względami uspokoić. Hengist Down jest

przedsięwzięciem realnym i prawie ukończonym. Radzę teraz, poprostu, czekać, a w międzyczasie przygotować wszystko, co potrzebne. Sądzę, że wkrótce albo on albo ja będziemy ci mogli udzielić bliższych wyjaśnień.

Udzielił mi ich sam Malone. Zjawił się w moim biurze w kilka tygodni później, jako poseł.

— Przychodzę od Challengeera - rzekł. - Wszystko gotowe. Teraz na ciebie kolej, a potem może się rozpocząć przedstawienie.

— Uwierzę, jak zobaczę. Ale wszystko mam już przygotowane i zapakowane na wóz, który mogę wysłać w każdej chwili.

- A więc zrób to zaraz. Przedstawiłem cię jako człowieka energicznego, nie możesz mi więc zrobić zawodu. Pojedziemy razem koleją i wtedy powiem ci, na czym polega twoje zadanie.

Był to piękny poranek wiosenny - dokładnie 22-go maja - kiedy wybraliśmy się w podróż do miejsca dzisiaj już historycznego. W drodze wręczył mi Mai one list z instrukcjami od Challengeera.

„Sir” (czytałem).

„Po przybyciu do Hengist Down zgłosi się pan do Mr. Bartfortha, naczelnego inżyniera, który zna moje plany. Mój młody przyjaciel Malone, oddawca tego listu, jest również w stałej ze mną łączności i może zawiadomić mnie o każdym pańskim życzeniu. Zauważyliśmy ostatnio w szybie w głębokości czternastu tysięcy stóp i niżej pewne fenomeny, które przemawiają za słusnością zapatrywań moich co do natury ciała planetarnego, potrzeba jednak bardziej sensacyjnego dowodu, aby przekonać pogrążonych w odrętwieniu uczonych współczesnego świata. Dowodu tego pan mi dostarczy. Zjeżdżając w głąb szybu zauważy pan - o

ile posiadasz jakiś zmysł obserwacyjny - że ściany jego stanowi od góry począwszy najpierw warstwa wapienia potem pokolei węgiel, złoża formacji Dewońskiej i Kambryjskiej, a wkońcu granit, przez który wiedzie większa część tunelu. Dno jego przykryte jest obecnie płótnem nieprzemakalnym, którego radzę nie zdejmować, gdyż wszelkie niezgrabne manipulacje mogą wywołać przedwczesne skutki przez zadrażnienie czulej błony zewnętrznej ziemi. Z mojego rozkazu umocowano w szybie w odległości dwudziestu stóp od jego dna dwie silne belki, pomiędzy którymi znajduje się szpara. Belki służą do podtrzymania pańskiej rury artezyjskiej. Świder powinien być długi na stóp pięćdziesiąt, z czego dwadzieścia stóp będzie znajdować się poniżej belek tak, aby koniec jego dotykał prawie płótna nieprzemakalnego. Jeśli panu życie miłe, radzę przestrzegać ściśle odległości. Trzydzieści stóp świdra sterczeć będzie zatem do szybu, a kiedy go pan spuści, należy się spodziewać, że conajmniej czterdzieści stóp żelaza zagłębi się w ziemskiej substancji. Ponieważ substancja ta jest bardzo miękka sędzę, że proste spuszczenie rury wystarczy, aby własnym ciężarem zaryła się w odsłonięty pokład. Instrukcje te powinny wystarczyć każdemu inteligentnemu człowiekowi, ale nie wątpię, że będzie pan potrzebował dalszych, których udzielię za pośrednictwem naszego młodego przyjaciela Malone'a.

Jerzy Edward Challenger”.

Łatwo pojąć, że kiedy przybyliśmy do stacji Storrington, w pobliżu północnego krańca Wydm Południowych, byłem w stanie ogromnego napięcia nerwowego. Czekala tu na nas stara drynda, na której przebyliśmy sześć czy siedem mil ciężkiej drogi.

Droga ta była jednak mimo jej odosobnienia - jak świadczyły ślady wielu kół - bardzo uczęszczana. Połamany wózek, leżący w trawie w jednym punkcie wskazywał, że i inni doznali na niej niezbyt przyjemnych wrażeń. W jednym miejscu natrafiliśmy na sterczące z piasku jakieś żelaziwo, które przypominało z wyglądu zjedzone przez rdzę klapy i tłok pompy hydraulicznej.

— To dzieło Challengeera - rzekł Mai one z uśmiechem. - Znalazł w niej jakiś defekt i wyrzucił po prostu na śmieci. Ten stary diabeł z niczem się nie liczy.

— Ciągłe zatargi, nieprawdaż?

— Zatargi? Mój drogi, powinniśmy mieć osobny sąd do załatwiania naszych spraw! Ale jesteśmy na miejscu. Dobrze, Jenkins, możecie nas przepuścić.

Jakiś wysoki człowiek zaglądnął do wnętrza wozu. Na widok mojego towarzysza przyłożył rękę do czapki, pozdrawiając nas.

- W porządku, Mr. Malone. Myślałem, że to ktoś z Amerykańskiej Prasy Związkowej.

— Oh, chcą się czegoś dowiedzieć?

— Próbują dziś, jak ci z „Timesu”, próbowali wczoraj. Oh, kręcą się wszędzie. Popatrz pan! - Wskazał jakiś punkt na widnokregu. - Widzi pan ten błyszczący przedmiot? To teleskop **Daily News** z Chicago. Nie dają nam spokoju.

— Biedacy - rzekł Malone, kiedy wjechaliśmy do bramy w płocie ubezpieczonym wstęgami kolczastego drutu. - I ja należę do prasy i ja wiem, jak to smakuje.

W tej chwili usłyszeliśmy za nimi jakiś żalony głos. - Malone! Ted Malone! - wołał tłusty, mały jegomość, który nadjechał na motocyklu i

usiłował wyswobodzić się właśnie z uścisku rosnącego odźwiernego.

— Puść mnie! - stękał. - Precz z rękami! - Malone, odwołaj tego goryla.

— Puść go, Jenkins. To mój znajomy - zawołał Malone. - I cóż, przyjacielu? O co chodzi? Czego tu szukasz w Sussex?

— Wiesz dobrze, czego szukam - rzekł nasz gość. - Zobowiązałem się do napisania artykułu o Hengist Down i nie mogę wracać do domu bez niego.

— Przykro mi, Roy, ale nic na to nie poradzę. Musisz pozostać z tej strony płotu. Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, zgłoś się do profesora Challengeera.

— Byłem u niego - rzekł dziennikarz żalonym głosem. - Byłem dziś rano.

— I cóż ci powiedział?

— Powiedział, że mnie wyrzuci przez okno. Malone roześmiał się.

— Cóż ty na to?

- Powiedziałem, że wolę wyjść przez drzwi i ledwie miałem czas ulotnić się tą drogą. Ale nie przypuszczam, Ted, abyś pochwalał postępowanie tego assyryjskiego byka w Londynie i tego dzikusa tutaj...

— Nic ci nie mogę poradzić, Roy; doprawdy, nie mogę. Zapewniam, że za kilka dni, kiedy stary pozwoli, dostarczę ci potrzebnych informacji.

— A więc niema sposobu, abym się dostał do środka?

- Niema.

— Pieniądze?

— Sądzę, że już próbowałeś.

— Mówią mi, że to tunel do Nowej Zelandji?

— Dowidzenia, Roy. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

— To Roy Perkins, korespondent wojenny - rzekł Malone, kiedy ruszyliśmy dalej pieszo. - Chytra sztuka, ale tym razem nie udało mu się. Swojego czasu pracowaliśmy razem. Oto domki robotników - wskazał na grupę ładnych budynków, pokrytych czerwoną dachówką. - Doskonali pracownicy ale i dobrze płatni. Wszyscy są kawalerami, nie piją i umieją milczeć. Zobowiązali się do przestrzegania tajemnicy. Oto ich boisko footballowe, a w tym domku mieści się biblioteka i czytelnia. Stary jest doskonałym organizatorem. Ale oto i Mr. Barforth, nasz pierwszy inżynier.

Stanął przed nami długi, chudy, melancholijny mężczyzna, na którego twarzy widać było niepokój.

— Pan jest, jak sądzę, budowniczym studzien artezyjskich -? rzekł głosem ponurym. - Czekałem na pana. Cieszę się, że przybyłeś, gdyż wszystko to zaczyna mi już działać na nerwy. Pracujemy ciągle, a nie wiem nigdy, czy w najbliższym czasie nie natrafimy na wodę, węgiel, naftę lub ogień piekielny.

— Czyżby na dole było tak gorąco?

— Jest bardzo gorąco. Nie przeczę. Ale być może, że odgrywa tu rolę ciśnienie barometryczne i zamknięta przestrzeń. Rzecz prosta, że wentylacja jest okropna. Pompujemy na dół powietrze, ale ludzie nie mogą tam pracować dłużej, jak dwie godziny. Profesor był na dole wczoraj i zdaje się, że jest zadowolony. Pójdziemy na śniadanie, a potem się pan rozpatrzy.

Po krótkim posiłku zaprowadzono nas do oddziału maszyn, który mieścił się w osobnym domku. Wokół niego leżały stosy żelaza i zużytych przyrządów. Po jednej stronie widniały części składowe hydraulicznej łopaty Arrola, której użyto do robót początkowych. Obok niej znajdowała się wielka maszyna wydobywająca z głębi szybu wykopany materiał. W hali maszyn pokazano mi szereg silnych turbin Escher Wyss, robiących sto czterdzieści obrotów na minutę, które wprawiały w ruch hydrauliczne akumulatory. Ciśnienie uzyskane dzięki działaniu tych akumulatorów, a wynoszące czterysta funtów na cal kwadratowy oddziaływało za pośrednictwem trzechcalowych rur zapuszczonych w głąb ziemi na cztery świdy skalne systemu Brandta. Obok oddziału maszyn znajdowała się elektrownia dostarczająca prądu dla całej osady, a obok stała osobna turbina o sile dwustu koni, która wprawiała w ruch dziesięciostopowy wentylator pompujący powietrze do szybu przez dwunastocalową rurę. Inżynier pokazywał mi wszystkie te cuda z pewną dumą, nie szczędząc wyjaśnień. Przerwano nam jednak wkrótce tę interesującą pogawędkę, gdyż przed dom zajechał z turkotem trzechtonowy wóz Leylanda, naładowany moimi narzędziami, pod kierownictwem zaufanego mojego Petersa i jego pomocnika. Obaj przystąpili odrazu do wyładowania moich rzeczy i do przenoszenia ich. Pozostawiwszy ich przy pracy, podszedłem wraz z pierwszym inżynierem i Malonym do szybu.

Był o wiele większy niż się spodziewałem. Ziemia i skały wydobyte z głębi w ilości tysięcy ton otaczały go półkolem, tworząc spore wzgórze. Wewnątrz tego półkola, złożonego z wapienia, gliny, węgla i granitu wznosiło się żelazne rusztowanie

szybu z jego pompami i windami. Murowany dom, w którym stały maszyny pędowe, zamykał w pomniane półkole. Gardziel szybu, wielka ziejąca studnia, o średnicy około czterdziestu stóp wyłożona była cegłą i cementem. Kiedy spojrzałem w tę straszliwą czeluść, głęboką, jak mi mówiono, na osiem mil, zakręciło mi się w głowie. Światło przenikało w głąb szybu zaledwie na kilkaset jardów, padając na brudnobiałe ściany wapienne, podtrzymywane w niepewnych miejscach przez obmurowania. W chwili, kiedy patrzyłem w dół, pojawiła się w oddali plamka świetlna, maleńki ale jasny, dobrze widoczny punkcik na czarnem, jak atrament, tle.

- Co to za światło? - zapytałem. Malone pochylił się nad studnią.

- To jedna z klatek wyjeżdża na powierzchnię - rzekł. - Cudowny widok, nieprawdaż? Dzieli ją od nas odległość co najmniej mili, a to małe światełko jest silną lampą. Będą tu za kilka minut.

Plamka świetlna rosła bardzo szybko... Wkrótce ściany szybu były już oświetlone tak jasno, że musiałem odwrócić oczy. W następnej chwili żelazna klatka zatrzymała się i wysiadło z niej czterech ludzi.

- Prawie wszyscy pracują - rzekł Malone. - A praca w tej głębokości, to nie żarty. Ale część twoich rzeczy jest już gotowa do drogi. Najlepiej zrobisz, jeśli zjedziesz ze mną na dół i rozpatrzysz się w sytuacji.

Zaprowadził mnie do sąsiedniego pokoiku sąsiadującego z halą maszyn. Na ścianach wisiały, ubrania z najłżejszego tussoru. Idąc za przykładem Malone, zdjąłem suknie i przywdziałem jedno z tych ubrań wraz z parą pantofli. Malone pospieszył się i wyszedł pierwszy z garderoby. W chwilę później usłyszałem jakiś hałas i wypadłszy z pokoiku ujrzałem, że przyjaciel mój tarzał się po ziemi, trzymając w objęciach robotnika, który pomagał wyładowywać moje rury artezyjskie. Usiłował on wydrzeć mu z ręki jakiś przedmiot, którego drugi rozpaczliwie bronił. Ale Malone okazał się silniejszy, wyrwał przedmiot z rąk powalonego i zgniótł go pod stopami. Dopiero wówczas spostrzegłem, że był to aparat fotograficzny. Mój robotnik zerwał się na nogi.

— Niech cię diabli wezmą, Malone - rzekł. - Maszyna była zupełnie nowa i kosztowała mnie dziesięć gwinei.

— Nic ci na to nie poradzę, Roy. Widziałem, że zrobiłeś zdjęcie i nie miałem wyboru.

— W jaki sposób przyczepił się pan do moich ludzi? - zapytałem ze słusznym oburzeniem.

Zagadnięty uśmiechnął się. - Są środki i sposoby - rzekł. - Ale nie bierz pan tego za złe swojemu werkmistrzowi. Przypuszczałem, że chodzi o żart. Zamieniłem ubranie z jego pomocnikiem i dostałem się do środka.

- I zaraz się stąd wyniesiesz - rzekł Malone. - Szkoda słów, Roy. Gdyby tu był Challenger,

poszczułyby psy na ciebie. Rozumiem cię jednak i dlatego nie będę surowy, chociaż w razie potrzeby mogę się okazać prawdziwym brytanem. Ale, czas w drogę.

I nasz przedsiębiorczy gość pomaszerował w towarzystwie dwóch zjadliwie się uśmiechających robotników. Tak przedstawiałaby się geneza fantastycznego czterospaltowego artykułu z nagłówkiem „Szalony pomysł uczonego” i podtytułem „Droga ido Australji”, który ukazał się w „Adviserze” w kilka dni później i o mało co nie przyprawił Challengeera o apopleksję, a naczelnego redaktora „Adviser’a” o najnieprzyjemniejszą rozmowę w ciągu jego całego życia. Artykuł był odpowiednio zmienionym i upiękuszonym opisem przygody Roy’a Perkinsa, „naszego doświadczonego korespondenta wojennego” i zawierał takie soczyste zwroty jak „ten byk z Erumore Gardens”, „teren, otoczony drutem kolczastym i pilnowany przez psy gończe” a w końcu „od wejścia do angloaustralijskiego tunelu odpędziło mnie dwóch drabów, z których jednego znałem ongiś z widzenia jako pokątnego gazeciarza, a drugi - niesamowita postać w cudacznym stroju - podawał się za inżyniera, chociaż wygląd jego przypominał raczej bandytę z Whitechapel”. Odmalowawszy nas w ten sposób, zapuścił się autor artykułu w szczegółowy opis rusztowania, wznoszącego się nad studnią i krętego tunelu, przez który miała iść kolej zębata. Artykuł ten przyczynił się do powiększenia liczby ciekawych obserwatorów na Wydmach Południowych, którzy czekali na jakieś wydarzenie. Przyszedł dzień, kiedy wydarzyło się w istocie coś niezwykłego, ale wówczas obserwatorzy mieli się z pyszna.

Mój werkmistrz zgromadził wraz z swoim pomocnikiem wszystkie moje przyrządy obok windy, ale Malone nalegał, abyśmy spuścili się do szybu sami. Wobec tego weszliśmy do klatki, zrobionej ze stalowych prętów i w towarzystwie pierwszego inżyniera zjechali na dół. Był to szereg automatycznych wind, z których każda miała własną stację, wykopaną z boku tunelu. Poruszały się one z wielką szybkością tak, że spuszczenie się na dno szybu robiło wrażenie raczej jazdy koleją, niż powolnego upadku.

Ponieważ klatka była okratowaną i jasno oświetloną mogliśmy widzieć dobrze, jakie warstwy mijamy. Widziałem pokłady wapienia, złoża Hastingsowe koloru kawy, złoża Ashburnskie, czarną glinę z domieszką węgla, a potem już błyszczał w świetle elektrycznym węgiel na przemian z wstęgami żelaza. Tu i ówdzie znajdowały się podmurowania, ale z reguły ściany nie były podparte. Wistocie, widok tunelu budził zdumienie i podziw dla ludzi, którzy dokonali takiego dzieła. Minęliśmy pokłady węgla i warstwę jakiejś zbitej masy, a potem otoczyły nas ściany granitowe, w których błyszczały, jak diamenty, drobne kryształki kwarcu. Jechał Ustny na dół - ciągle na dół - obecnie już w głębokości, do której nie dotarł żaden człowiek. Archaiczne skały mieniły się cudnymi kolorami... Nie zapomnę nigdy widoku szerokiej wstęgi czerwonego szpatu, który lśnił w świetle naszych potężnych lamp, zdumiewając swą nieziemską pięknnością. Mijaliśmy piętro za piętrzem, szyb za szybem, a powietrze stawało się coraz bardziej dusznym i ciepłym tak, że zaczęły nam ciążyć nawet lekkie ubrania z tussoru. Na skórę wystąpił nam pot. Wkońcu, kiedy myślałem już, że zemdleję, ostatnia winda zatrzymała się i

wysiedliśmy na wykutą w skale kolistą platformę. Zauważyłem, że Malone spojrział nieufnie na otaczające nas ściany. Gdybym go nie znał, jako człowieka wyjątkowo odważnego, powiedziałbym, że był ogromnie zdenerwowany.

— Dziwnie to wygląda - rzekł pierwszy inżynier, biorąc do ręki kawałek odłupanej skały. Podniósł go do światła i zwrócił naszą uwagę na błyszczące w nim żyłki. Mieliśmy tu na dole wstrząsy i przesunięcia terenu. Nie wiem, co to za materiał. Profesor jest, jak się zdaje, bardzo zadowolony, ale dla mnie wszystko to jest czemś zupełnie nowem.

— Muszę przyznać, że sam widziałem - jak ściana ta zadrżała - rzekł Malone. - W czasie ostatniej mojej bytności tutaj, umocowaliśmy te dwie belki, które mają podtrzymywać twój świder. Za każdym uderzeniem w skałę stwierdziłem kołysanie się ściany. Teorja starego wydawała się w solidnym Londynie absurdem, ale tu, w głębokości ośmiu mil pod powierzchnią, nie jestem już tak pewny siebie.

— Gdybyś pan widział to, co jest zakryte żaglowem płótnem, byłbyś jeszcze mniej pewny - rzekł inżynier. - Skała tu na dnie krajała się jak ser, a kiedy przebiliśmy ją, ukazała się naszym oczom nowa i zupełnie na ziemi nieznana formacja. „Przykryjcie dziurę! Nie ruszajcie tego I” rzekł Profesor. - I stosownie do jego polecenia przykryliśmy otwór płótnem żaglowem.

— Czy możemy zobaczyć?

Ponura twarz inżyniera zdradzała niepokój.

- Nie chciałbym występować przeciw zarządzeniom profesora - rzekł. - Jest on tak sprytny, że człowiek nigdy nie może być pewny siebie. Ale możemy zaglądnąć.

Skierował snop światła naszej lampy na czarne płótno żaglowe. Potem, chwyciwszy za linę, która przytwierdzoną była do rogu zasłony, podniósł płótno, pokazując nam kilka jardów kwadratowych powierzchni.

Był to widok niezwykle i budzący grozę. Dno składało się z jakiegoś szarego, szklistego i lśniącego materiału, który wznosił się i opadał ruchem powolnym i regularnym. Ruchy te nie były samoistne ale robiły wrażenie udzielonych i przeniesionych z głębi na powierzchnię. Pod tą powierzchnią, jakby pod szklaną osłoną, widniały białawe plamy lub pęcherzyki, których wielkość i kształt ustawicznie się zmieniał. Staliśmy trzej zdumieni, przyglądając się temu niezwykłemu widokowi.

- To wygląda jak obdarte ze skóry zwierzę - szepnął Malone. - Stary nie kłamał mówiąc o swoim jeżowcu.

— Wielki Boże! - zawołałem. - I ja mam zagłębić harpun w ciele tego potwora!

— To twój przywilej, mój synu - rzekł Malone - - Ale będę przy tobie, kiedy przystąpisz do dzieła.

— Ja nie mam ochoty - rzekł pierwszy inżynier tonem zdecydowanym. - Tego jestem pewny, a jeśli stary będzie nalegał, poproszę o dymisję. Wielki Boże, patrzcie I

Szara powierzchnia podniosła się nagle ku górze, wzdymając się jak fala, oglądana z brzegu. Potem, opadła z powrotem, ale pulsowanie i uderzenia w głębi nie ustawały. Bartforth opuścił linę i płótno opadło.

- Zdaje się, prosto, jakby zwierzę wiedziało o naszej tu bytności - rzekł. - Dlaczegożby

wykonywało takie ruchy? Sądzę, że światło musi je drażnić.

- Co mam teraz czynić? - zapytałem.

Mr. Bartforth wskazał na dwie belki leżące w poprzek studni tuż pod miejscem, gdzie zatrzymała się winda. Dzielili ją od siebie przestrzeń niespełna dziesięciu cali.

To pomysł starego - rzekł. - Sądzę, że możnaby je lepiej umocować, ale z tym warjatem nie można dyskutować. Lepiej i bezpieczniej czynić to, co każe. Życzeniem jego jest, abyś pan użył swego sześciocalowego świdra i umieścił go w jakiś sposób między temi dwiema belkami.

- To nie będzie trudne - odpowiedziałem. - Zabiorę się dziś do pracy.

Było to, jak sobie można wyobrazić, najdziwniejsze doświadczenie w mojem urozmaiconem życiu, w którym budowałem studnie we wszystkich częściach świata. Ponieważ profesor Challenger nalegał, aby zabiegu dokonano z pewnej odległości, co wydawało mi się teraz rzeczą bardzo rozsądną, musiałem założyć łączniki elektryczne. Nie przypawilo mnie to o większe trudności, gdyż cała studnia od dna aż do szczytu była podrutowana. Z ogromną ostrożnością przetransportowałem wraz z moim werkmistrzem Petersem nasze przyrządy na dno szybu. Ostatnia winda została nieco podniesiona w górę, aby zrobić nam miejsce. Ponieważ zamierzałem zastosować w danym przypadku system perkusyjny, nie chcąc polegać wyłącznie na sile ciężkości, poleciłem zawiesić nasz stofuntowy ciężar na bloku poniżej windy i umieścić pod nim rury z zakończeniem w kształcie litery V. Lina, na której wisiał ciężar przytwierdzoną była do ściany szybu, w ten sposób, aby włączenie prądu elektrycznego

mogło ją natychmiast odcepić. Była to trudna robota, a wykonaliśmy ją w upale więcej niż tropikalnym i w głębokim przeświadczeniu, że poślizgnięcie się lub upadek jednego z narzędzi na płótno pod nami może doprowadzić do jakiejś katastrofy. To, co się działo dokoła nas, budziło żywy niepokój. Ściany szybu trzęsły się i dygotały od czasu do czasu, a kiedy dotknąłem się ich ręką, doznałem wrażenia, że czuję jak się poruszają. To też z prawdziwą ulgą wyjeżdżałem z Petersem na powierzchnię ziemi po ukończeniu roboty, a złożenie raportu Bartforthowi, że profesor Challenger może przystąpić do swego doświadczenia w dowolnym czasie, sprawiło mi wielką radość.

Niedługo czekaliśmy. W trzy dni po ukończeniu naszej pracy otrzymaliśmy zawiadomienie.

Było to zwyczajne zaproszenie w rodzaju tych, jakie rozsyła się na „wieczorki tańcujące”. Brzmiało w ten sposób.

Profesor G. E. Challenger (b. prezydent Instytutu Zoologicznego, właściciel wielu honorowych tytułów i odznaczeń, których liczba jest tak wielka, że nie pomieściłaby się na tej karcie) zaprasza Mr. Jonesa (bez żony) na wtorek 21-go czerwca, godzinę 11.30 przed południem, aby zechciał być świadkiem zwycięstwa ducha nad materją w Hengist Down, Sussex.

Specjalny pociąg z dworca Wiktorji o 10.5. Pasażerowie płacą za bilet sami. Śniadanie – ewentualnie po doświadczeniu (zależnie od okoliczności). Stacja Storrington.

Listy z podaniem nazwiska wielkimi literami należy przesyłać pod adresem 14 Bis, Enmore Gardens, S.W.

Poszedłszy do Malone'a, zastałem go z podobnym biletem w ręku.

- Przysłał go nam jedynie dla żartu - rzekł z uśmiechem. - Musimy tam być przecież w każdym razie. Ale mówię ci że cały Londyn kipi. Stary jest w swoim żywiole.

W końcu nadszedł wielki dzień. Co do mnie, udałem się na miejsce wieczorem poprzedniego dnia, aby się upewnić, że wszystko w porządku, świder był odpowiednio nastawiony, ciężar przymocowany, łączniki elektryczne działały sprawnie. Byłem zadowolony, że rolę moją w tern niezwykle doświadczeniu odegrałem bez zarzutu. Prąd elektryczny miał być włączony w miejscu odległym o pięćset jardów od wejścia do tunelu, aby nie narazić obecnych na niebezpieczeństwo i tu umieszczono odpowiedni taster. Kiedy rankiem tego brzemiennego w następstwa dnia wyjechałem na powierzchnię uspokojony, wybrałem się na spacer na pobliskie wzgórze, aby przyglądać się przygotowaniom.

Zdawało się, że do Hengist Down przybył cały świat. Jak daleko mogłem sięgnąć wzrokiem, drogi roily się od ludzi. Automobile zwoziły pasażerów - kołysząc się i potykając na wybojach - i wysadzały ich przed bramą osiedla. Tu czekała cała armja odźwiernych, którzy nie zważając na obietnice i pieniężne datki wpuszczali do wnętrza tylko zaproszonych. Ci, którzy nie mogli pokazać biletu zebrali się tłumnie na stoku wzgórza, które przypominało obecnie z wyglądu Wydmy Epsom podczas Derby. Na terenie osiedla otoczonego drutem, pewne miejsca przeznaczono dla gości uprzywilejowanych. Znajdowały się tu ogrodzenia dla panów, dla członków Izby Niższej, dla

przedstawicielei towarzystw aukowych i dla sławnych uczonych, między którymi znajdował się Le Pellier Sorbony i Dr. Driesinger z Akademii Berlińskiej. Specjalne miejsca zarezerwowano dla trzech członków Królewskiej Rodziny.

O kwadrans na dwunastą przyjechali ze stacji omnibusami zaproszeni goście. Wróciłem do osiedla, aby asystować przy ich przyjęciu. Profesor Challenger stał obok ogrodzenia dla gości, przybrany we frak, białą kamizelkę i błyszczący cylinder, z wyrazem pewności siebie i wprost obrażającej pobłażliwości na twarzy. Sam prowadził a czasem zapędzał swoich gości na wyznaczane miejsca, a po pewnym czasie wstąpił na wzniesienie, zebrawszy dookoła siebie elitę towarzystwa i rozglądając się z miną przewodniczącego, który spodziewa się gorącego przyjęcia. Ponieważ jednak nikt nie przerywał milczenia, przystąpił od razu do rzeczy.

- Panowie - ryknął, a głos jego słycać było w najdalszych zakątkach osiedla. - Tym razem nie potrzebuję zwracać się do pań. Jeśli nie zapraszałem ich na to zebranie, to nie z braku szacunku, gdyż mogę powiedzieć - z niedźwiedzim humorem i szyderską skromnością - że stosunki, jakie mnie z nimi łączyły były zawsze znakomite, a nawet serdeczne. Prawdziwa przyczyna leży w tern, że nasze doświadczenie grozi pewnem niebezpieczeństwem, chociaż nie jest ono tak wielkie, aby mogło usprawiedliwić niepokój, jaki czytam na twarzy zebranych. Zapewne zainteresuje członków Prasy wiadomość, że zarezerwowałem dla nich miejsca na ławach, znajdujących się w bezpośredniem sąsiedztwie terenu operacyjnego. Wtrącali się oni tak często i tak bezczelnie w moje sprawy, że winienem teraz okazać zrozumienie dla

ich ciekawości. Jeśli nic nie nastąpi - co jest zawsze możliwe - nie będą mi mogli zarzucić, że odniosłem się do nich z lekceważeniem. Jeśli zaś coś się przytrafi, będą pierwsi w stanie zobaczyć to, o ile staną na wysokości zadania.

Rozumiecie, panowie, że człowiekowi nauki trudno wyjaśniać pospólstwu - jeśli użyję trochę drastycznego wyrażenia - dlaczego tak, a nie inaczej postępuje. Słyszę jakieś niegrzeczne okrzyki i proszę gentlemana z okularami w rogowej oprawie, aby przestał machać parasolem. (Głos: „epitety, jakie pan dajesz swoim gościom, są w najwyższym stopniu obrażające”.) Być może, że wyrażenie „pospólstwo” wzburzyło tak gentlemana. Nie będę się jednak zastanawiał nad głupstwami. Chciałem właśnie powiedzieć, zanim nie przeszkodziła mi ta niegrzeczna uwaga, że sprawą tą zajmowałem się i dokładnie ją omówiłem w mojej książce o ziemi, która ma się teraz ukazać i którą z całą skromnością nazwać mogę jednym z epokowych dzieł świata. (Ogólne przerywania i okrzyki: „Fakty”! Pomożmy tu przyjechałi”?, „Czy to żarty”?). Chciałem udzielić pewnych wyjaśnień i jeśli mi wciąż będą przerywać, będę zmuszony zastosować odpowiednie środki, celem zachowania porządku i spokoju. Sprawa ma się zatem w ten sposób, że wykopałem tunel w skorupie ziemi i mam obecnie zamiar podrażnić czułą jej błonę przy pomocy pewnego zabiegu, który dokonają moi podwładni Mr. Peerless Jones, budowniczy i znawca studzien artezyjskich, i Mr. Edward Mai one, który mnie w tym wypadku reprezentuje. Odsłonięta i czuła substancja ziemi będzie połaskotaną. Zobaczymy, jak na to zareaguje. Proszę zająć miejsca, a panowie ci zjadą do szybu i poczynią ostateczne przygotowania do

doświadczenia. Potem pocisnę ten guzik na stole i eksperyment będzie skończony.

Po każdej przemowie Challengera słuchacze czuli się zazwyczaj, jakby ich kto ukłuł w najwrażliwsze miejsca. I to zebranie nie było wyjątkiem. Zaproszeni goście zajęli przygotowane ławy, nie szczędząc krytycznych uwag i niepochlebnych wyrażań. Challenger siedział sam na szczycie wzgórza, za małym stolikiem, z rozwianą brodą i czupryną - postać zaiste imponująca. Niestety ani ja ani Malone nie mogliśmy podziwiać tej sceny. Trzeba było wykonać rozkaz profesora. W dwadzieścia minut później byliśmy już na dnie szybu i zdejmowali płótno z odsłoniętej powierzchni.

Przedstawił się nam widok niezwykły. Stara planeta zdawała się wiedzieć, jakby dzięki dziwnej kosmicznej telepatji, że wystawioną ma być na upokorzącą próbę. Odsłonięta powierzchnia przypominała z wyglądu gotującą się w garnku wodę. Wielkie, szare bańki powstawały i pękały z trzaskiem. Przestrzeń powietrzna i pęcherzyki pod skórą dzieliły się i łączyły ustawicznie. Poprzeczne smugi zaznaczały się wyraźniej i pulsowały silniej, niż poprzednio. W krętych połączeniach kanałów leżących pod powierzchnią pojawiła się ciemnopurpurowa ciecz. Wszystko tętniło życiem. W powietrzu unosił się przykry i trudny do zniesienia zapach.

Przypatrywałem się jeszcze temu dziwnemu widowisku, kiedy Malone chwycił mnie za rękę przestraszony. - Wielki Boże, Jones - zawołał - Popatrz!

Jeden rzut oka, jeden szybki ruch, uwalniający łączniki elektryczne - i wskoczyłem do windy. - Wsiadaj! - zawołałem. - Tu chodzi o życie!

To, cośmy ujrzeli, budziło wistocie najwyższy niepokój. Cała dolna część szybu zdawała się brać udział w obserwowanych przez nas zjawiskach. Ściany tętniły i pulsowały, jakby w sympatycznym odruchu. Poruszenia te udzieliły się wyżłobieniom w których spoczywały belki i było jasne, że tylko drobnego odchylenia - co najwyżej na kilka, cali - potrzeba, aby runęły w dół. A w tym wypadku ostrze mojego świdra zagłębiłoby się, rzecz prosta, w ziemskiej substancji niezależnie od włączenia prądu elektrycznego.

Chodziło o to, abyśmy wydobyli się ze studni pierwszej, nim przyjdzie do katastrofy. Krew ścinała się w żyłach z przerażenia na myśl, że znajdujemy się w głębokości ośmiu mil pod ziemią i że lada chwila nastąpić może coś straszliwego. Pędziliśmy na łeb, na szyję, na powierzchnię ziemi.

Czy zapomnimy kiedy tę straszliwą podróż? Winda gwizdała i huczała, a jednak minuty wydawały się nam godzinami. Na każdym piętrze wyskakiwaliśmy z klatki, wpadaliśmy do następnej i pocisnąwszy guzik, sunęliśmy w górę. Przez sufit ze stalowych prętów mogliśmy dostrzec w oddali mały krążek światła, oznaczający wejście do tunelu. Poszerzał się on z każdą chwilą, aż wreszcie stał się pełnym kręgiem i nasze uradowane oczy spoczęły na obmurowaniu wejścia, Sunęliśmy w górę szybko, jak strzała, wyżej, coraz to wyżej - aż wreszcie w chwili szalonej radości i zadowolenia wyskoczyliśmy z naszego więzienia i stanęli na zielonym trawniku. Ale nie było czasu do stracenia. Zaczęliśmy biec... Ubiegliśmy od szybu zaledwie na trzydzieści kroków kiedy tam na dole żelazny mój świder spadł na ganglion nerwowy Matki Ziemi i nadeszła chwila decydująca.

- Co się stało? Ani Malone, ani ja nie mogliśmy odpowiedzieć na to pytanie, gdyż porwał nas jakiś potężny cyklon i potoczył po trawniku, jak dwa kamienie po tafli lodu. Równocześnie do uszu naszych dobiegł najstraszliwszy krzyk, jaki słyszano na ziemi. Czy któryś z zebranych w Hengist Down setek gości mógłby go określić, mógłby go chociaż opisać? Było to wycie, wyrażające ból, gniew, groźbę i obrażony majestat Przyrody. Trwało przez minutę - tysiąc syren w jednej - przyprawiając o lęk wszystkich zebranych dziką swą gwałtownością,

płynąc w dal w cichym letnim powietrzu, budząc echo na całym Południowym Wybrzeżu i przedostając się nawet poza kanał do naszych francuskich sąsiadów. Żaden odgłos w historii świata nie mógłby mierzyć się z krzykiem skaleczonej Ziemi.

Zarówno Malone, jak i ja, odczuliśmy wstrząs i słyszeli wycie, ale o innych szczegółach tej niezwyklej sceny dowiedzieliśmy się dopiero później.

Najpierw wyleciały z głębi klatki windy. Reszta urządzeń, przytulona do ściany nie była narażoną na podmuch wiatru ale solidne podstawy klatek stawiały mu opór... W rezultacie czternaście klatek wyleciało w powietrze, jedna po drugiej, opisując wspaniały łuk. Jedna z nich wpadła do morza w pobliżu grobli Worthing, a druga na pole pod samym Chicestrem. Świadczy o tym wydarzeniu utrzymywali, że widok czternastu klatek szybujących w powietrzu, na tle niebios, był zaiste jedynym w swoim rodzaju.

A potem trysnął gejzer. Była to olbrzymia fontanna brudnej mazistej cieczy, która strzeliła w górę do wysokości około dwóch tysięcy stóp. Aeroplan krążący nad szybem został pochwycony, jakby przez trąbę powietrzną i zmuszony do wylądowania. Lotnik i maszyna sikajpani w mazi przedstawiali obraz nędzy i rozpacz. Straszliwa ta i cuchnąca okropnie ciecz była widocznie krwią planety, względnie, jak utrzymuje profesor Driesinger i szkoła Berlińska, ochronną wydzieliną podobną do wydzieliny gruczołów śmierdząca, którą Przyroda obdarzyła Matkę Ziemię dla obrony przed natarczywymi Challengerami. Jeśli tak było, to główny sprawca zamachu, siedzący na szczycie

wzgórza, wyszedł bez szwanku, podczas gdy nieszczęśliwi przedstawiciele Prasy, znajdujący się w linii ognia, zostali przemoczeni do nitki i tak ubabrani, że żaden z nich nie mógł pokazać się w towarzystwie przez szereg tygodni. Deszcz nieczystości uniesiony został przez wiatr na południe i opadł na tłum nieszczęśników, którzy tak długo i tak cierpliwie czekali na Wydmach na jakieś niezwykle wydarzenie. Nie było żadnego wypadku. Żaden dom nie został osierocony, ale wiele śmierdziało jeszcze przez długi czas.

A potem studnia zamknęła się. Podobnie jak Przyroda zamyka ranę od dołu ku górze tak i Ziemia leczy wszelkie skaleczenia swej życiowej substancji, tylko o wiele prędzej. Rozległ się przeciągły huk, kiedy ściany szybu zetknęły się ze sobą, huk dochodzący z głębi i rozbrzmiewający później coraz bliżej powierzchni, aż w końcu z ogłuszającym trzaskiem zawarło się obmurowane wejście do studni, podczas gdy wstrząśnienie ziemi zważyło w dół podpory i spięrzyło w miejscu, gdzie był otwór, stos żelaziwa i odłamów skał w formie piramidy wysokiej na pięćdziesiąt stóp. Eksperyment profesora Challengera był nie tylko skończony, ale i zagrzebany raz na zawsze. Gdyby nie obelisk, wystawiony niedawno przez Towarzystwo Królewskie potomkowie nasi nie domyśliliby się nigdy, gdzie rozegrało się to niezwykle i epokowe widowisko.

A potem przyszedł wielki finał. Przez długi okres czasu po tych szybko po sobie następujących zjawiskach panowało głucho milczenie. Ludzie musieli zebrać myśli i uprzytomnić sobie, co się właściwie stało i jak do tego przyszło. A potem

nagle zrozumieli... Ocenili niezwykły pomysł, jego genialne szczegóły, zdumiewające przeprowadzenie w praktyce i ulegając zgodnemu impulsowi zwrócili się do Challengeera. Zewsząd dochodziły okrzyki podziwu. Profesor mógł widzieć ze szczytu swego wzgórza morze skierowanych ku niemu twarzy i powiewające, na wietrze chusteczki. Kiedy sięgnę pamięcią w przeszłość, widzę ten obraz, jak na dłoni. Challenger wstał z krzesła, z oczyma przymkniętymi, z uśmiechem zadowolenia na twarzy, wsparł lewą rękę na biodrze a prawą założył za klapę fraka. Zapewne obraz ten będzie uwieczniony, gdyż słyszałem wokół trzask fotograficznych migawek. Czerwone słońce ścieliło do jego stóp swe złote promienie, a on stał, kłaniając się z powagą na wszystkie strony. Challenger uczony, Challenger arcyinżynier, Challenger, pierwszy człowiek, który dał znać o sobie Matce Ziemi.

Jeszcze słowo, jako epilog. Rzecz prosta, że o doświadczeniu dowiedział się świat cały. To prawda, że nigdzie zraniona planeta nie ryknęła tak głośno, jak w miejscu doświadczenia, ale zjawiska obserwowane

w innych krajach dowodziły jasno, że była ona wistocie niepodzielną jednostką. Przez wszystkie szczeliny i wszystkie wulkany krzyczała rozgniewana. Hekla ryczała tak, że Islandczycy spodziewali się katastrofy. Szczyt Wezuwjusza wyleciał w powietrze. Etna wypłula potoki lawy, a do sądów włoskich wniesiono skargę przeciw Challengerowi o pół miliona lirów odszkodowania za zniszczone winnice. Nawet w Meksyku i w Ameryce Centralnej były objawy wielkiego plutonicznego wzburzenia, a wycia Stromboli słyszano na Wschodzie, w całym pasie podzwrotnikowym. Ziemia uważała za punkt honoru zwrócić na siebie uwagę całego świata. Ale zasługą jednego tylko Challengeera było pobudzenie jej do krzyku.

Arthur Conan Doyle - Życie i twórczość

Stojąc u szczytów powodzenia pisarskie swe credo Arthur Conan Doyle formułował tak:

„Wszystkie metody i szkoły, romantyzm i realizm, symbolizm i naturalizm, mają jeden cel - zainteresować. Są dobre, dopóki go osiągają, całkiem niepotrzebne, gdy poczynają chybiać. Strudzeni robotnicy i zmęczeni próżniacy zwracają się do pisarza i żądają, by oderwał ich myśli od nich samych i rutyny codziennego żywota. W granicach moralności wszystkie metody, którymi możemy to osiągnąć, są uzasadnione. Każda szkoła ma rację, twierdząc, że jest sensowna, i żadna szkoła nie ma racji, starając się dowieść, że jej rywalki są bezsensowne. Masz prawo uczynić swą książkę przygodową, masz prawo uczynić ją teologiczną, masz prawo uczynić ją informacyjną, kontrowersyjną czy idylliczną albo humorystyczną, ponurą czy jakąkolwiek inną, ale musisz uczynić ją interesującą. - To najważniejsze - reszta jest drobnostką. Nie ma nic niekonsekwentnego w pisarzu, używającym wszystkich metod po kolei, tak długo, jak długo fascynuje on czytelnika i odwraca uwagę od jego egoistycznych spraw.

...I wciąż znajdują się krytycy, którzy piszą: «Książka jest interesująca, ale wyznajemy, że trudno nam powiedzieć, jakiej pozytywnej sprawie służy. Jakby zainteresowanie samo w sobie nie było najważniejszym celem! Spytajcie człowieka wycieńczonego bezsennością, czuwającego przy łożu boleści, człowieka interesu, którego równowaga psychiczna zależy od wyrwania myśli z

jednej męczącej koleiny, strudzonego studenta, kobietę, której jedyna droga ucieczki z nie kończącego się plugawego bytowania wiedzie przez okno wyobraźni w zaczarowaną krainę - spytajcie ich, czy zainteresowanie służy pozytywnej sprawie. Życie pisarza przysparza własnych trosk, męczącego oczekiwania na pomysły, uczucia pustki, gdy okazują się zużyte, i rozpaczy najgłębszej, gdy myśl, która zdawała się być tak błyskotliwa i nowa, staje się w słowach tak szara i banalna. Ale oczywiście dostaje on w zamian pewne prawo, by mieć nadzieję, że jeśli tylko zainteresuje swych czytelników, wypełni wielki człowieczy obowiązek, pozostawiając innych ludzi odrobinę szczęśliwszymi niż przedtem.”

Wygłoszona dziś, taka maksyma mogłaby być pochwałą literatury komercyjnej. Ta przecież, realizując społeczne zamówienia, jest „interesująca” niemal z definicji; potrafi wykształcić sobie czytelnika reagującego tylko na system znaków ułożonych w określonym porządku, a serwując kolejne porcje ciekawostek, skutecznie zabija w czytelniku tym ciekawość.

Mechanizmy takie po części funkcjonowały już w czasach Conan Doyle’a, wszelako on sam - choć zaczął pisać dla pieniędzy i często publikował w magazynach - rychło wyobraził sobie swego czytelnika jako człowieka wykształconego i myślącego, któremu łatwo wyrządzić mimowolną krzywdę, nie doceniając gustów czy ambicji. Czy tedy kształt tekstu literackiego określały, jak w przypadku opowieści detektywistycznych, obiecujące rychły dochód potrzeby rynku, czy, jak w prozie historycznej, dawne fascynacje, czy wreszcie, jak w utworach z akcentami

spirytualistycznymi, fascynacje nowsze, atrakcyjność fabularną uczynił Conan Doyle wszechobecną wprawdzie, ale w żadnym wypadku nie jedyną swoją Muzą. „Zainteresowanie”, jakie budzą książki Conan Doyle’a, bywa nader szlachetnej natury...

Twórca Holmesa i Challengera pochodził z rodziny starej i wielce szlachetnej, wiodącej się jakoby od Foulkesa D’Oyley, który wojował pod Ryszardem Lwie Serce.

Ojciec Arthura, Charles Doyle, był architektem, malarstwo uprawiającym jako skrywane przed światem hobby. Podczas (dziś powiedzielibyśmy służbowego) pobytu w Edynburgu poznał Charles pannę Mary Foley, którą kilka lat później poślubił. I ona szczyciła się znakomitymi, choć odległymi parancłami, m.in. z Walterem Scottem i królami z rodu Plantagenetów.

Fascynację przeszłością potrafiła wszczepić synowi, który na świat przyszedł 22 maja 1859 roku, a trzymany do chrztu przez ojcowego wuja, Michaela Conana, stał się później znany światu jako Arthur Conan Doyle.

Katolicyzm rodziny sprawił, że edukację pobierał Arthur w szkole jezuickiej Stonyhurst, wielce tradycyjnej i surowej. Tam, w lecie 1873 roku, ogarnięty zapałem do nauki języka francuskiego pochłoniął kilka książek Julesa Verne'a - *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, *Pięć tygodni w balonie*, *Wokół Księżycy*. Skończywszy szkołę, wciąż niezdecydowany co do wyboru dalszej drogi, spędził rok w jezuickim kolegium Feldkirch w Tyrolu.

Po powrocie do kraju podjął studia medyczne w Edynburgu, a dwóch wykładowców miało pewien wpływ na kreację dwóch najgłośniejszych Conan Doyle'owych postaci: chirurg Joseph Bell użyczył cech Sherlockowi Holmesowi, a brodaty i obdarzony tubalnym głosem anatom Rutheford - profesorowi Challenge-owi. Choroba ojca postawiła Arthura w niełatwej sytuacji finansowej i zmusiła do poszukiwania własnych źródeł zarobku: przyjął pracę jako asystent lekarski i zaczął myśleć o „uzupełnianiu dochodu pracą literacką”. Wkrótce potem, w Październiku 1879 roku, *Chambers Journal* opublikował anonimowo „The Mystery of Sasassa Valley” a *London Society* - „The American Tale”.

Jeszcze przed ukończeniem studiów Conan Doyle odbył interesującą wyprawę na statku wielorybniczym „Hope”, gdzie niespodziewanie zaważowało miejsce lekarza okrętowego, oraz wydrukował w *London Society* dwa opowiadania

przygodowe - „The Gully of Bluemansdyke” i „Bones”. Wkrótce po uzyskaniu dyplomu i jeszcze jednej - tym razem niefortunnej - wyprawie na statku „Mayumba” Arthur powiadomił rodzinę o swojej dramatycznej i brzemienniej w skutki decyzji: zrywa z katolicyzmem, który stał się dlań pozbawioną religijnej treści formą. Agnostyczną pustkę, która I powstała naówczas w Conan Doyle’u, kilkanaście lat później wypełnił spirytualizm.

Rozpoczęcie praktyki lekarskiej i troski codzienne nie pozbawiły jednak jConan Doyle’a zainteresowania twórczością literacką, w 1883 roku bowiem *The Cornhill Magazine* zamieścił „Sprawozdanie Johna Habakuka Jephsona”, tekst osnuty wokół głośnej sprawy wraku „Mary Celeste”, a zarazem pierwsze znane opowiadanie autora *Głębiny Maracot*. Trzy lata później *The Strand Magazine* drukuje przyjęte przez *Cornhill* z wątpliwościami *Studium w szkarłacie*. Conan Doyle trafił wreszcie na swą złotą żyłę...

Uprzedzając chronologiczny bieg wydarzeń, przypomnijmy garść znanych faktów o najgłośniejszym cyklu Conan Doyle’a: po *Studium w szkarłacie* powstało jeszcze pięćdziesiąt dziewięć tekstów z Holmesem w roli głównej - trzy powieści (*Znak czterech. Pies Baskerville’ów* i *Dolina trwogi*) oraz pięćdziesiąt sześć opowiadań. Niemal wszystkie, przed edycjami książkowymi, ukazywały się w *Strand*. Wszystkie budziły zachwyt czytelników. Sherlock Holmes, któremu w Anglii malarz Sydney Paget, a w Stanach Zjednoczonych aktor William Gillette nadali zaakceptowane przez publiczność rysy, rychło, w najszerszym odczuciu, przestał być postacią literacką, stając się realną.

Zwracano się doń z prośbami, ofiarowywano usługi. Mit Holmesa znacznie przeżył samego Conan Doyle'a.

W 1888 powstaje pierwsza z historycznych powieści Conan Doyle'a, dziejący się w siedemnastym stuleciu i bliski formule romansu Waltera Scotta *Micah Ciarke*, rzecz napisana zręcznie i mimo bogactwa akcji nie wolna od szerszego przesłania. Stała się natychmiastowym sukcesem czytelnictwem, co utwierdziło Conan Doyle'a w przekonaniu, że tędy, tj. przez obszerne historyczne freski, wiedzie najkrótsza droga do wieczności. Jednak ani *The Refugees* (pierwotnie planowani jako dalszy ciąg *Micaha*), powieść o francuskich hugenotach, ani *Rodney Stone*, ani *Uncle Be mac*, ani wreszcie *Exploits of Brigadier Gerard* (wszystkie trzy dotyczące epoki napoleońskiej), choć i bez wyjątku dobrze lub bardzo dobrze przyjęte przez publiczność, nie udokumentowały autorskich ambicji wartością wyższą niż anegdota. Nieco inaczej ma się rzecz ze średniowiecznymi powieściami Conan Doyle'a - *The White Company* i *Sir Nigel*. Pierre Nordon powiada, że stworzył w nich pisarz „świat marzeń raczej niż świat historyczny i coś z siebie przeniósł na charakter bohatera. Bohaterowie obydwu powieści rycerskich są autobiograficzni. Każdy z nich, na inny sposób, wyraża ukryte, istotne cechy Conan Doyle'a. To są dwa stadia tego samego portretu, a dystans między nimi mówi nam niejedno o rozwoju pisarza. Postać Nigela Loringa najwyraźniej kreśli jego wizerunek wewnętrzny, a cała powieść pozwala nam wyraźniej dostrzec, czym Conan Doyle wyróżniał się ze swego stulecia.”

Kariera profesjonalnego pisarza nie ograniczyła w najmniejszym stopniu szerszych zainteresowań Conan Doyle'a - polityka i sprawy militarne odgrywały tu niebanalną rolę. Nic tedy dziwnego, że gdy wybuchła wojna burska, na ochotnika wstąpił do wojska (już wcześniej, podczas powstania Mahdiego, które nawiasem mówiąc zaowocowało w przypadku Conan Doyle'a powieścią *The Tragedy of the Korosko*, miał na to wielką ochotę) i pojechał do Południowej Afryki. Swe doświadczenia z kampanii zawarł w obszernej pracy *The Great Boer War*, która zrobiła wielką furorę tak wśród cywilnych jak i wojskowych czytelników, a w broszurze *The War in South Africa: its Cause and Conduct* wyjaśniał światu motywy postępowania Wielkiej Brytanii. W 1902 roku otrzymał szlachectwo, które po pewnych wahaniach przyjął.

W latach następnych jego obecność na arenie publicznej stała się jeszcze widoczniejsza: próbował kariery politycznej, występował przeciwko nieludzkiemu reżimowi, jaki w Kongo wprowadził król Belgów Leopold II, bronił niesłusznie oskarżonego o zabójstwo Oscara Slatera, był jednym z najgłośniejszych obrońców George'a EdahTego w sprawie, która zyskała miano angielskiej sprawy Dreyfussa.

Istnieje potoczne mniemanie, że zwrot Conan Doyle'a ku spirytualizmowi miał charakter gwałtowny, niespodziewany i wiązał się z tragicznymi doświadczeniami pisarza u kresu I wojny światowej (śmierć syna Kingsleya po zawieszeniu broni). W istocie sprawy wyglądają inaczej.

Już w 1880 roku odczyt „Czy śmierć jest

końcem wszystkiego?” i znajomość z architektem Ballem obudziła w Conan Doyle’u akademickie zainteresowanie sprawami nadprzyrodzonymi. Potem nastąpił okres, który tak opisuje Conan Doyle w autobiograficznych *Wspomnieniach i przygodach*: „Życie moje tak było pełne zajęć, że nie miałem czasu zastanawiać się wiele nad zagadnieniem religii, lecz wyczuwałem w sobie coraz większą skłonność do spraw psychicznych i zapisałem się do Towarzystwa Badań Psychiczych, do którego należę do dziś dnia, jako jeden z jego starszych członków. Odbyłem sam kilka doświadczeń psychicznych, lecz moja filozofia materialistyczna (...) była mocno ugruntowana, że niełatwo ją było ruszyć z posad. Lecz w miarę jak z roku na rok poznawałem coraz lepiej niezwykłą literaturę psychiczną, poświęconą zarówno wiedzy jak i doświadczeniom, silna postawa spirytualizmu czyniła na mnie coraz większe wrażenie, wzmocnione przede wszystkim lekkomyślnością, lekceważeniem i brakiem wiedzy, charakteryzującym jej przeciwników. Religijna strona tej dziedziny nie uderzała mnie jeszcze wtedy, czułem jednak coraz wyraźniej, że nie znajduję dostatecznej odpowiedzi na autentyczność zjawisk, zaręczaną przez ludzi tej miary, co Sir William Crookes, Barrett, Russell Wallace, Victor Hugo i Zollner.”

W 1915 czy 1916 roku jest już Conan Doyle wyznawcą owej liczącej zaledwie sześćdziesiąt lat religii i namiętym jej orędownikiem: w 1918 roku publikuje *The New Revelation*, a w 1919 - *The Vital Message*, jeździ z odczytami i pracuje nad monumentalną *History of Spiritualism*. Zakłada wreszcie księgarnię spirytualistyczną, której

poświęca wiele czasu. Z dwóch aspektów spirytualizmu - moglibyśmy je nazwać empirycznym (tu mieszczą się badania zjawisk paranormalnych) i religijnym - interesuje go bardziej ten drugi, dostrzega w nim bowiem wiarę wyzwoloną z instytucji: nie tylko kościołów i rytuałów, ale również piekła i nieba.

Świadom, że różne drogi wiodą do serc i umysłów, nie pomija narzędzi literackich. W 1925 roku pisze powieść *The Land of Misi*, w której profesor George Edward Challenger staje w obliczu spraw niepojętych i zmuszony jest do zaakceptowania spirytualistycznej eksplikacji. Tak, wprawdzie z niewłaściwego końca, dobrnęliśmy do tej części dorobku Conan Doyle'a, którą określa się mianem fantastyki.

Nietrudno wyśledzić jej patronów: to czytany w dzieciństwie Verne, to sąsiad ze szpalt *The Cornhill Magazine*, Robert Louis Stevenson, to wielki Wells, popularny w owym czasie piewca „światów zaginionych” Haggard, może - w odniesieniu do *Głębiny Maracot* - Bulwer-Lytton, a nade wszystko Edgar Allan Poe. „Nie tylko - powiada Conan Doyle - jest Pbe wynalazcą powieści detektywistycznej; wszystkie te historie, o poszukiwaniu skarbów i rozszyfrowywaniu kryptogramów idą od jego *Złotego żuka*, tak jak wszystkie pseudonaukowe Verne’owo-Wellsowe opowieści mają swe prototypy w „Nieporównanej przygodzie niejakiego Hansa Pfaalla” i „Prawdziwym opisie wypadku z p. Waldemarem”. Gdyby każdy człowiek, otrzymujący czek za opowiadanie, które zawdzięcza inspirację Poemu, płacił dziesiątą część na pomnik mistrza, miałby on piramidę wielką jak piramida Cheopsa.”

Niewielką grupę utworów zasługujących na miano science-fiction poprzedziły teksty fantastyczne wprawdzie, ale osnute wokół spraw nadprzyrodzonych bądź po prostu tajemniczych, nie spirytualistycznych jeszcze, lecz spirytystycznych czy okultystycznych. Mamy tu na myśli opowiadania, jak „The Horror of the Heights”, „The Leather Funnel”, „The Silver Mirror”, „Lot No. 249”, a nade wszystko „Playing with Fire”, mimo okultystycznych dekoracji bliskie istocie SF.

W roku 1912 powstaje *Świat zaginiony*, bez wątplenia najlepsza, pozycja cyklu Challengerowskiego, efekt żywego zainteresowania Conan Doyle’a paleontologią, jakie w latach 1909 - 1910, w okresie bezpośrednio poprzedzającym pracę nad *Światem zaginionym*, pisarz okazywał.

Haggardowski pomysł, że istnieją na naszym globie enklawy, w których zachowały się dawne formy życia czy dawne struktury cywilizacyjne - w późniejszej fantastyce zastępowany przyjęciem tezy o możliwości podróżowania w czasie - pokrzepiony zdrową brytyjską zdobywczością i przedsiębiorczością, jaką na wzór Robinsona Crusoe okazują bohaterowie, w doświadczonych rękach Conan Doyle'a doczekał się wielce satysfakcjonującego potraktowania. Conan Doyle nie przegapił żadnej z możliwych atrakcji...

Wykreował więc bohaterów bardzo od siebie różnych, ale w inności komplementarnych: nieokiełznany entuzjizm Challengera jest punktowany zgryźliwym sceptycyzmem profesora Summerlee, młodzieńczą odwagę Malone'a kontroluje doświadczenie Roxtona, a z kolei niedoświadczony romantyzm Malone'a wzbogaca poczynania grupki badaczy o ów ważny i nieprzewidywalny czynnik, jakiego nie może dostarczyć „dorosła” rozwaga. Na planie pierwszym jest, rzecz jasna, Challenger, geniusz o konstytucji troglodyty i obyczajach, jakie zagwarantowałyby mu poczesne miejsce w społeczności jaskiniowej, osobliwy kompromis między wizerunkiem genialnego dziwaka z książek Verne'a a tradycyjnym obrazem naukowca, tyle że o znakach jakby odwróconych. I znów w twórczości Conan Doyle'a zadziałała magia, która wcześniej sprawiła, że świat zaakceptował postać, jakiej życie nie zna i prawdopodobnie nie pozna - Challenger, jak Holmes, jest realny, choć tak bardzo literacki.

Narratorską klasę Conan Doyle'a zdradza również prowadzenie akcji: staranna ekspozycja problemu i bohaterów, rosnące napięcie wędrówki przez amazońską dżunglę, przekonujące okoliczności, w jakich rozpoczyna się robinsonada badaczy i wreszcie jej wewnętrzny podział. Początek pobytu w *Świecie zaginionym* to jakby noc w domu nawiedzanym przez duchy - tajemnicze odgłosy i przemożne wrażenie, że jest się śledzonym, przerażające i znakomicie opisane doświadczenia Malone'a w trakcie jego nocnej wyprawy. Potem następuje zaskakująca kulminacja, która niebezpieczeństwo nazywa po imieniu i sekwencja, powiedzie! byśmy, batalistyczno-

zdobywca, a w międzyczasie pojawia się humorystyczna perełka, Conan Doyle bowiem znajduje tabularne uzasadnienie dla budowy fizycznej Challengeera, którą tak osobliwie sobie wymyślił: profesor oto zdradza niezwykle podobieństwo do wodza krwiożerczych małpoludów i jest przezeń honorowany.

Zaludniając (może należałoby tu użyć połowę cudzysłowu) wyżynę dwoma rasami Conan Doyle złożył pokłon tradycji każącej wyróżniać dzikusów dobrych i złych; dobrzy wszelako stoją bezsilnie w obliczu pniącego się zła, dopóki do boju nie poprowadzą ich przedstawiciele rasy wyższej - biali. Z tym

poglądem, wyrażanym już w kategoriach kosmicznych, może połowa SF zdradza się bezkrytycznie po dziś dzień...

Po wytopieniu małopodów pozwala Conan Doyle napawać się bohaterom cudami wyżyny i myśleć o powrocie: finał powieści, utrzymany w formule fikcyjnego dokumentu, którą szanował Conan Doyle od czasów „Habakuka Jephsona”, jest znów majstersztykiem o silnie wypunktowanej dramaturgii wewnętrznej i efektownej kulminacji.

Fantastyczność *Świata zaginionego* jest jeszcze natury dekoracyjnej, przebija tylko niezwykłością te atrakcje, których potrafi dostarczyć rzeczywistość empiryczna i pełni służebną rolę wobec awanturniczej fabuły. W *Trującym paśmie*, napisanym w końcu 1912 roku, pisarz czyni krok naprzód, nie docierając jednak nadal do fantastyki ekstrapolującej czy nawet predykcyjnej - książeczka ta jest natomiast wprawką do literatury katastroficznej, która od Wellsa, przez Wyndhama i Hoyle'a po Ballarda stanowi brytyjską specjalność.

Źródła tej sytuacji tkwią w czasach Conan Doyle'a, latach poprzedzających pierwszą wojnę światową. Trzy ostatnie dekady dziewiętnastego stulecia i pierwsza dekada dwudziestego rozbudziły w Brytyjczykach zainteresowanie kwestią, co stałoby się, gdyby Wyspy padły ofiarą inwazji z zewnątrz. Odpowiedzi usiłowali udzielić autorzy broszur, opisujących wojny fikcyjne, w których doszło do takiej sytuacji - pułkownik Chesney w *The Battle of Dorking*, W. F. Butler w *The Invasion of England*, C. Forth w *The Surprise of the Channel Tunnel* czy William Le Queux w *The Great War in England* i wielu innych. (Sam Conan Doyle w

opowiadaniu „Danger” pisał o wojnie, w której łodzie podwodne staną się straszliwym narzędziem zniszczenia i agresji). Były to ostrzeżenia polityczne, ale i w sferze psychicznej Brytyjczyków zachwiały ich poczuciem bezpieczeństwa. Jeśli dorzucimy do tego fakt, że epoka żyła kanałami na Marsie, książkami Flammariona i w ogóle Wszechświatem, to geneza i *Wojny światów*, i *Trującego pasma*, które - niestety - jest raczej bładą repliką Wellsowego arcydzieła, w części przynajmniej staje się oczywista. Przy czym ciekawe, że właśnie otwarcie akcji, jakie w *Trującym paśmie* zaproponował Conan Doyle, stało się w latach późniejszych niemal kanoniczne: spotkamy je i u Hoyle’a, i Leibera, i u wielu innych.

Najkrócej mówiąc: profesor Challenger dostrzega niepokojące znaki na niebie i daremnie stara się przestrzec obojętny i głuchy świat. Zwołuje przeto swych przyjaciół, każąc im zaopatrzyć się w butle z tlenem, by na spokojnej obserwacji spędzić ostatnie godziny życia.

Umiejętności pisarskie nie zawiodły Conan Doyle’a w tej pierwszej sekwencji: Ziemia wkracza już w pasmo trującego gazu i fakt ten potrafi pisarz pokazać, a nie tylko zakomunikować - Roxton, Malone i Summerlee, których przymioty i charaktery znamy, których reakcje wydają się przewidywalne, zachowują się niezwykle. Dziwaczne również jest postępowanie innych, ale trudno powiedzieć, na czym właściwie ta dziwaczność polega. Wyjaśnia to dopiero Challenger.

I właśnie w momencie, gdy na, dobre powinna zacząć się akcja, Conan Doyle, optymistyczny i miłujący ludzkość, wycofuje się z

zamysłu, który tak, ustami Challengeera, przedstawia: „Wyobraźcie sobie winogrono - rzekł Challenger - pokryte jakimiś drobniutkimi, lecz szkodliwymi bakcylami. Ogrodnik odkaża je środkiem dezynfekującym. Być może, pragnie on, aby jego grono było bardziej czyste, być może, potrzeba mu pewnej przestrzeni, aby wyhodować jakieś nowe bakcyle, mniej szkodliwe niż te ostatnie. Zanurza je w truciźnie i bakcyle giną. Nasz ogrodnik zamierza, według mnie, zanurzyć nasz układ planetarny, a ludzki bakcyl, ten mały, śmiertelny krętek, który wije się i pełza po skorupie ziemskiej zostanie w jednej krótkiej chwili wysterylizowany i w ten sposób pozbawiony istnienia.”

Albowiem po dramatycznym oczekiwaniu, po samobójczym geście, po wędrówce przez martwą krainę okazuje się, że nie śmierć, a katalepsję sprowadziło na ludzkość trujące pasmo. Czytelnik, choć oddycha z ulgą jak po interwencji bakterii w *Wojnie światów*, czuje się nieco oszukany, bo przecież wywód Challengeera jest absolutnie przekonujący.

Ma jednak ta książka, choć generalnie, jako się rzekło, niezbyt udana, fragmenty ujmujące, a prym wśród nich wiedzie krótka wymiana myśli między Challengerem a wiernym służącym:

„- Oczekuję dziś końca świata, Austin. - Tak jest. O której godzinie, proszę pana?”

I ma sekwencje wiele mówiące o dochodzeniu Conan Doyle'a do swej nowej wiary: „Śmierć też może być przyjemna. Zużyty mechanizm ciała nie jest w stanie odtworzyć ostatecznego wrażenia, choć przecież dobrze znamy przyjemność, jakiej doznajemy w sennych

marzeniach lub w transie. Natura może stworzyć tu jakąś piękną bramę i zawiesić ją kilkoma zwiewnymi i skrzącymi się zasłonami, aby w ten sposób przygotować nasze zdziwione dusze na przejście do nowego życia. Zawsze kiedy stykałem się z rzeczywistością, odnajdywałem na dnie mądrość i dobroć; jeżeli kiedykolwiek przerażony śmiertelnik potrzebuje współczucia, to chyba wtedy, gdy dokonuje niebezpiecznego przejścia jednego życia w drugie.”

Apostolskie te słowa, godne „Wielkiej Nowiny” czy „Nowego Objawienia”, wygłasza Challenger, materialista!

Cykl Challengerowski uzupełniają dwa jeszcze opowiadania, które po raz pierwszy od pięćdziesięciu z górą lat niniejszy tom prezentuje polskiemu czytelnikowi: „Groźna maszyna” („The Desintegration Machine”) to rodzaj gadget-story z morałem, zaś „Eksperyment profesora Challenge’a” („When the World Screamed”) najbliższy jest może w całym dorobku Conan Doyle’a typowej SF. Mamy tu bowiem odkrycie (osobliwa teoria, iż Ziemia jest żywym organizmem monstualnych rozmiarów), eksperyment (próba zakłócenia spokoju Ziemi) i wreszcie skutki (jęk planety), które mogłyby zapewne być groźniejsze, gdyby nie pełniły funkcji przesłania.

A nakazuje ono po prostu ostrożność w badaniu wszystkiego, co niezgłębiona do końca przyroda rzucić może w przyszłości przed badacza szkiełko i oko...

Głębina Maracot (1927) jest najbardziej eklektyczną z Conan-Doyle'owych budowli literackich: antyszambry każą myśleć o Poeifl jako patronie, choć - wspominaliśmy już wyżej - fikcyjnych dokumentów i autor *Świata zaginionego* używał chętnie, często czyniąc z nich formalną osnovę opowiadań grozy. Dalej - zwłaszcza w sekwencji traktującej o podróży batyskafem - uśmiecha się Verne, by w części opisowej ustąpić miejsca tradycji utopii, a zwłaszcza jednemu partykularnemu dziełu: *The Corning Race* Bulwer-Lyttona. No i jest finalne zaskoczenie, które chętnie przypisywalibyśmy wpływowi np. Clarka Ashtona Smitha, gdyby nie fakt, że zainteresowanie mocami duchowymi powodowało Conan Doyle'em z ogromną siłą przez ostatnie piętnaście lat życia i że przypuszczalnie cała książka została napisana po to, by zawrzeć podobną „Władcy Ciemności” partię.

Punkt wyjścia powieści przypomina *Świat zaginiony*, bohaterowie, bledsi niż Challenger, Roxton i Malone, są im jednak podobni - w *Głębinie Maracot* jednak po raz pierwszy zawiodła Conan Doyle'a wynalazczość fabularna i w podwodnym mieście Atlantów dzieją się najwyżej epizody, a wątek romansowy sprawia wrażenie aplikacji przystębnowanej grubymi nićmi. Wygląda to na utratę kondycji pisarskiej przez zbliżającego się do siedemdziesiątki autora, bo przecież w szkicowo zasygnalizowanych faktach i sytuacjach tkwią załączki konfliktów, które mogłyby ożywić hieratyczną, utopijną strukturę centralnej części

Głębiny Maracot. Ot, choćby stratyfikacja społeczna Atlantów, tryb zależności roslých niewolników od krępych panów, pozycja sekty kapłańskiej i ofiary z ludzi... Conan Doyle zląkł się jednak przeciwstawienia garstki bohaterów całej społeczności i znów powtórzył wariant dobrych białych panów, który mógł zabrznieć nawet przekonywająco w odniesieniu do neolitycznych Indian ze *Świata zaginionego*, ale budzi sceptycyzm przymierzony do cywilizacji wielokroć starszej niż nasza.

Głębiny Maracot ratuje „Władca Ciemności” ze swym spiętrzeniem akcesoriów spirytualistycznych, które - trzeba to Conan Doyle’owi przyznać - wkomponowane są w tekst z niemałą zręcznością i czymś, co chciałoby się nazwać profesjonalizmem propagandowym. Oto bowiem podana jest seria faktów niewiarygodnych: istnienie bytów nieśmiertelnych o przymiotach boskich, ich ingerencja w sprawy świata empirycznego na poziomie wprawdzie zaskakująco banalnym („...Ja byłem tym wysokim czarnym mężczyzną, który wiódł motłoch w Paryżu, gdy ulice spływały krwią...”), wędrówka dusz wreszcie. Realności tych faktów doświadczają inteligentni, wykształceni ludzie z dwudziestego stulecia, a najinteligentniejszemu i najbardziej wykształconemu z nich jest w końcu dane przeżycie mistyczne o wadze dowodu ultymatywnego. Conan Doyle długo przekonywał czytelnika o racjonalizmie Maracota - podobnie jak wcześniej czynił to z Challengerem - przeto można założyć, że i konwersja profesora zostanie przełknięta bezboleśnie.

Jest to propaganda nieszkodliwa i

atrakcyjna, gdy traktować ją stricte literacko, szkoda tylko, że zabrakło Conan Doyle'owi instrumentów do w pełni satysfakcjonującego opisanego ostatecznego pojedynku Maracota z Baalseepą. Instrumenty takie zaczęto właśnie masowo produkować za oceanem.

Conan Doyle nie miał już okazji po nie sięgnąć. Z wzniesionym wysoko sztandarem spirytualizmu, niepomny na ostrzeżenia lekarzy, w 1928 i 1929 roku wiele podróżował po świecie, ze Skandynawii przywiózł zapalenie płuc, a wkrótce na wiele miesięcy przywiązał go do łóżka zawał serca. Kolejny atak, 6 lipca 1930 roku, okazał się ostatnim.

Andrzej Ziembicki

„KB”